Sylwester Latkowski

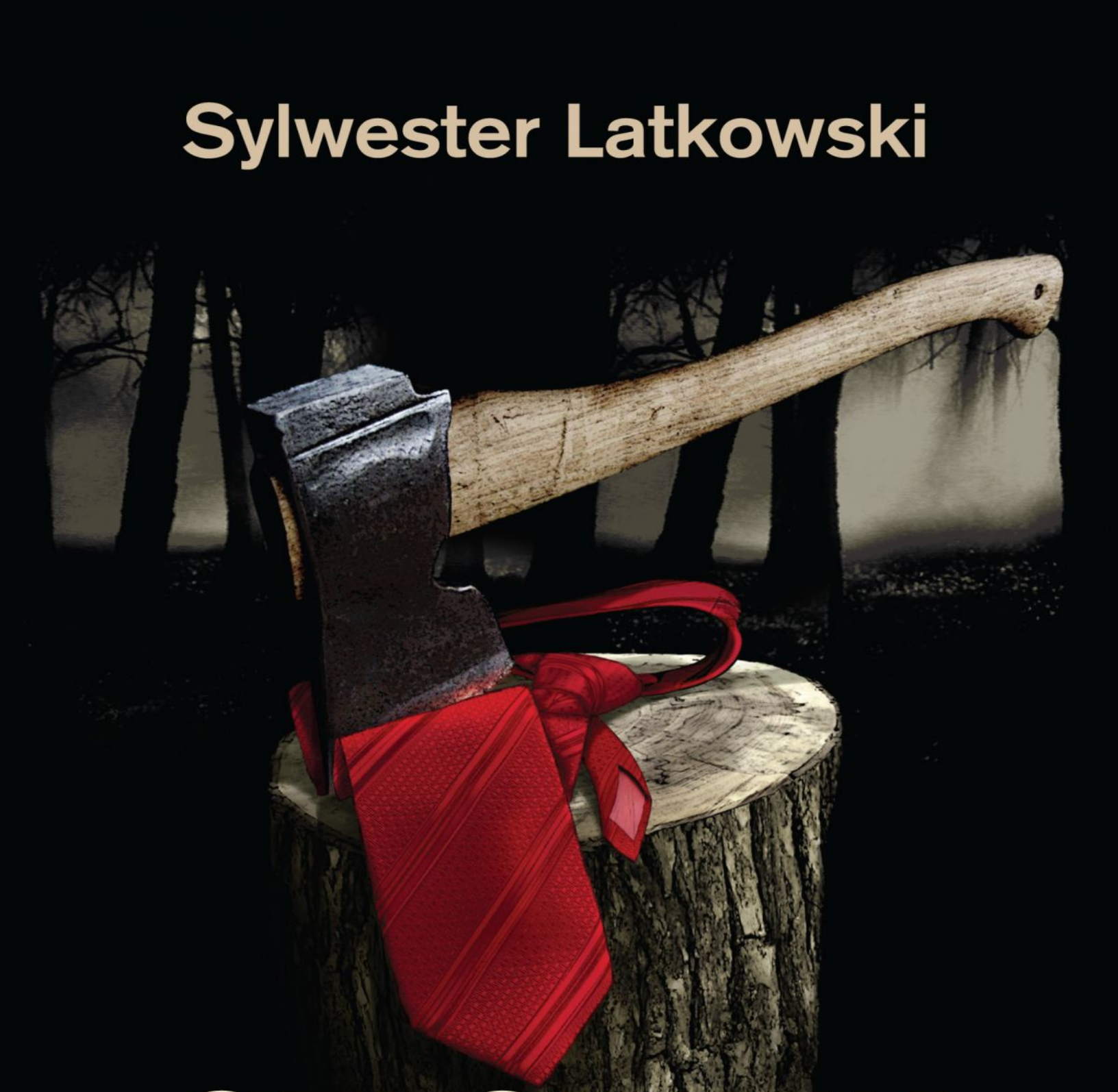

CZŁOWIEK Z LASU

POLSKA LOKALNA

Sylwester Latkowski

CZŁOWIEK Z LASU

POLSKA LOKALNA

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2014

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

Opracowanie tekstu
Małgorzata Denys

Projekt okładki
Magda Kuc

Ilustracja na okładce
© Robert Konrad

DTP
Paulina Labus

Korekta
Maciej Korbasiński

Text copyright © by Sylwester Latkowski, 2014
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2014

Wszystkie zdjęcia pochodzą z archiwum autora

Książka została wydana pod patronatem tygodnika „Wprost”

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-553-1

Wydawnictwo
CZARNA OWCA

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.czarnaowca.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

- Off the record (zamiast wstępu)
- Część pierwsza
  - Chłopaki, zastanówmy się, co robimy
  - Zwierzęta musiały zjeść
  - Poznaliśmy prawdę po trzech latach
  - Kilka miesięcy po rozmowie
- Część druga
  - Początek procesu
  - Akt oskarżenia
  - Trudno było przebić się przez ścianę strachu
  - Powiesił się w celi
  - Policjant ze sprawy Olewnika
- Część trzecia
  - Samobójstwo komendanta
  - To była jego policja
  - Leon

- To tylko lokalny temat
- Mogą spalić jej dom
- Pendrive Wysokiego
- To nie będzie bestseller
- Zabójstwo w Stąporkowie
- Mścili się na nagrobku mojego brata
- Ryży
- Truli psy dla zabawy
- Napad na tira z papierosami
- Busy w ogniu
- Broń dla camorry
- Kradzież za karę
- Napady

Część czwarta

- Tajemniczy zleceniodawca podpalenia
- Zlecenie Senatora

Część piąta

- Wszyscy się znamy

Część szósta

- Miejscowa władza skumplowała się z mafią
- Podsłuch ze Starachowic

Część siódma

- Rozmowa w Senacie
- Nie było woli
- Stacja BP
- Miasto
- Druga rozmowa z Senatorem, czyli pomówienia i anonim

Część ósma

- Jager
- Sesja rady miejskiej oczami lokalnego dziennikarza
- Senator pośredniczy w pożyczce
- Jeden z Braci z Rejowa
- Anonim Karola K.

Część dziewiąta

- Dziennikarz lokalnej gazety
- Zarząd partii
- Związki Senatora
- Kariera policjanta
- Rycerze Kolumba

Część dziesiąta

- Podpalenia Wtórpolu
- Ścigali mnie, a nie tych, co podpalali

Część jedenasta

- Uciekłem ze Skarżyska, bo bałem się o swoje życie

O autorze

Warszawa
Skarżysko-Kamienna
Bliżyn
Suchedniów
Łopuszno
Kielce
Włoszczowa

Jest to opowieść prawdziwa, rozgrywa się ona w miejscach – miastach i wioskach – położonych około 150 kilometrów od Warszawy, stolicy Polski. Dwie godziny jazdy samochodem.

Off the record (zamiast wstępu)

1.

Tylko niektórzy godzą się na rozmowę przy włączonym dyktafonie, pozostali pozwalają jedynie notować, a i tak chwilami z niepokojem patrzą na długopis kreślący na kartce wypowiadane przez nich słowa.

– Tylko off the record – żąda mój rozmówca, polityk, były minister.

– Czego się pan obawia? – pytam.

– Ludzi, ja tutaj mieszkam. Pan stąd wyjedzie, a ja tu zostanę – oznajmia z powagą.

2.

OSOBA 1, znająca tutaj wszystkich lokalnych polityków, kiedyś zaangażowana politycznie, dzisiaj najwyżej im doradzająca, pomagająca w kampaniach wyborczych. Właśnie zakończyła ostatnią kampanię. Z sukcesem – jej kandydaci dostali się do parlamentu:

– Jest taka zasada – rządzimy raz ja, raz ty – żyj i pozwól żyć. A jeśli ktoś z zewnątrz miesza – to wspólny wróg. Oni wszyscy przez lata się ułożyli, powstała jakaś hierarchia; politycy, lokalny biznes, policja. Jedni z tego układu korzystają, inni są po prostu słabsi albo głupsi i przegrywają.

3.

OSOBA 2: A wiesz, że te lokalne układy samorządowe istnieją dzięki wsparciu lokalnej prasy? Trochę to mechanizm korupcyjny.

Na przykład naczelny [tu pada nazwa jednego z lokalnych mediów – przyp. aut.] bierze od burmistrzów, prezydentów, posłów za przychylne publicity. Po parę tysięcy bierze od głowy.

4.

27 czerwca 2011 r., godz. 14.10. Wykręcam numer centrali Komendy Wojewódzkiej w Kielcach i słyszę automat: „Dzień dobry, Komenda Wojewódzka Policji w Kielcach, proszę czekać na zgłoszenie się operatora". I tak przez siedem minut, w kółko to samo. Operator się nie zgłosił. Próbuję po godzinie piętnastej, także bez efektu.

5.

Dramatyczne wydarzenia w hotelu Marki w Łopusznie. 32-letnia menedżerka hotelu została zastrzelona przez dwa lata starszego od niej męża, chwilę później on sam strzelił sobie w głowę. „Gazeta Kielecka" ustaliła, że mężczyzna od lat handlował bronią, był skazany m.in. za przemyt pistoletów maszynowych, które miały dotrzeć do neapolitańskiej mafii.

Kilka dni przedtem, 22 października 2011 r., wczesnym wieczorem, otrzymuję e-maila od – nazwijmy go Wysokim – zatytułowanego „Widmo rewolucji krąży po Człowieku z Lasu… Włoszczowa… Łopuszno… cdn.". W hotelu znaleziono dwa ciała z ranami postrzałowymi. Skąd tak szybko wiedział, że to odprysk tej samej sprawy? Intuicja? Policja dostała wezwanie o 16.45, kilkanaście minut później przybyli na miejsce tragedii. Media odkryły tło wydarzeń w hotelu Markiz dopiero kilka dni później.

„Gazeta Kielecka" donosiła:

Prokuratorzy znają już wstępny przebieg wydarzeń. – Nie brały w nich udziału żadne osoby trzecie. Około godziny 16.30 do hotelu przyjechał mąż 32-letniej pracownicy. Rozmawiali w pomieszczeniu socjalnym, inni pracownicy najpierw słyszeli kłótnię, a potem cztery strzały. Mężczyzna

postrzelił żonę w głowę, szyję i klatkę piersiową. Potem wybiegł z pokoju, być może próbował uciec, ale gdy natknął się na pracowników hotelu, wrócił do pomieszczenia i postrzelił się w głowę – mówi „Gazecie" o pierwszych ustaleniach śledztwa Rafał Orłowski z Prokuratury Okręgowej w Kielcach. Wiadomo, że sprawca broń miał nielegalnie.

– Mężczyzna pracował jako kierowca busa – wyjaśnia mi później autor e-maila, Wysoki. – Kojarzysz wojnę o szlak firm transportowych dowożących ludzi do pracy i domów?

– Podpalenie autobusów i busów w Bliżynie przez Człowieka z Lasu? – pytam, oczekując potwierdzenia.

– Tak. Ten mężczyzna pracował w konkurencyjnej firmie, która chciała wyeliminować z rynku przedsiębiorcę z Bliżyna. To kurier. Jego nazwisko pojawia się w sprawie przemytu broni dla camorry. Miał dwa wyroki za posiadanie i handel bronią w Polsce, ale siedział też we Włoszech. Wpadł tam z pistoletami maszynowymi Skorpion, broń była ukryta w skrytkach wbudowanych w ściany i podłogę busa.

– W e-mailu wspomniałeś także o Włoszczowie?

– Kilkanaście dni wcześniej [5 października 2011 r. – przyp. aut.] zadźgano tam nożem mężczyznę. Zajmował się między innymi handlem lewym olejem napędowym. Przedtem dawali mu ostrzeżenia, podpalali mu dom [kwiecień 2011 r. – przyp. aut.] i samochody [lipiec 2011 r. – przyp. aut.], aż wreszcie załatwili go pod śmietnikiem bloku, w którym mieszkał.

– To, że wsadzili za kratki Człowieka z Lasu, nie kończy tu niczego, nie zlikwidowano mafijnej sieci w świętokrzyskim. W Szydłowcu znowu pojawiły się haracze, „wykupki" samochodów. To głowa dana w ofierze, żeby reszcie dali spokój.

6.

Ta książka to zapis moich trzech lat bycia świadkiem, obserwatorem tego, co się dzieje niedaleko Warszawy, dwie godziny jazdy samochodem, w województwie świętokrzyskim. Opowiedziana histo-

ria przypomina mi klimaty, jakie poznałem, opisując porwanie i śmierć Krzysztofa Olewnika. Tutaj także spotkałem pełnomocnika rodziny Olewników mecenasa Ireneusza Wilka i policjanta Remigiusza M., który publicznie był obarczany błędami popełnionymi w śledztwie w sprawie porwania Krzysztofa (niedawno sąd oczyścił go z zarzutów). Tak jak w Świerczynku, Drobinie, Płocku, i tutaj ludzie w walce z przestępczością zostali pozostawieni sami sobie. Widzę taki sam dramatyczny przykład bierności potężnego aparatu państwa wobec tragedii jednostki. Kiedy w Sejmie siostra Krzysztofa, Danuta Olewnik-Cieplińska, powiedziała: „Ja już nie wierzę w to państwo!", wielu uznało, że też już nie wierzy. Przykłady tego widzieli na co dzień w swoich miejscowościach.

Przez kilka lat Olewnikowie i ich dramat nie skupiali większej uwagi. Ot, sprawa, jakich wiele. Ktoś zaginął, rodzina go szuka – zwykła rzecz. Wtedy co kilka dni w Polsce uprowadzano kogoś dla okupu, a z enigmatycznych komunikatów policyjnych wcale nie wynikało, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Panowała opinia, że wzajemne porwania to forma rozliczeń między gangsterami i lepiej się w to nie mieszać.

O porwaniu syna przedsiębiorcy z Drobina pod Płockiem media donosiły wstrzemięźliwie. Kilka razy wrócił do tej sprawy Michał Fajbusiewicz w swoim programie telewizyjnym „997", pojawiło się też trochę informacji prasowych. Jedna z niemieckich stacji telewizyjnych nakręciła o tym reportaż, ale jego głównym bohaterem był prywatny detektyw Krzysztof Rutkowski, zaangażowany przez Włodzimierza Olewnika już następnego dnia po porwaniu syna. Generalnie jednak w mediach panowała cisza.

Wydawcy telewizyjni i redaktorzy prasowi nie czuli w tej historii bluesa. Dziennikarze, którzy chcieli podejmować temat na nowo, słyszeli, że sprawa jest już skonsumowana. O czym tu jeszcze pisać, to już staje się nudne! Dzisiaj to zabrzmi jak anegdota, chociaż może mało zabawna: kiedy na kolegium redakcyjnym jednej z gazet reporter zgłosił chęć opisania porwania Krzysztofa Olewnika, usłyszał od szefa działu, że to temat przechodzony i żeby zajął się czymś ciekawszym. A po latach, kiedy Olewnikowie byli już na ustach całej Polski, ten sam szef działu grzmiał w programie telewizyjnym, że to

skandal, iż sprawę tego porwania zlekceważono i nawet media nie dostrzegły jej wagi.

Zainteresowanie wzrosło, kiedy schwytano sprawców i w październiku 2006 roku znaleziono ciało zamordowanego Krzysztofa. Potem przed płockim sądem odbył się proces gangu porywaczy, zapadły wyroki.

Rodzina ofiary wciąż przekonywała, że na ławie oskarżonych nie zasiadają wszyscy winni zbrodni, że ktoś odpowiada za błędy w śledztwie, a ktoś inny mógł porwanie zaplanować i teraz kryje się w cieniu. Olewnikowie opowiadali o bezdusznych politykach, których bezskutecznie błagali o pomoc, sugerowali, że osoby z ważnych gabinetów też w jakiejś mierze uczestniczyły w spisku na życie ich syna i brata. Ich wynurzenia traktowano jednak z dystansem. Przeżyli dramat i teraz wszędzie wietrzą spisek. Opinia publiczna nadal nie wykazywała szczególnego zainteresowania tą historią.

Wszystko zmieniło się, kiedy w płockim areszcie popełnił samobójstwo Sławomir Kościuk, jeden z morderców Krzysztofa. To było już drugie samobójstwo w tej sprawie. Rok wcześniej w areszcie w Olsztynie pozbawił się życia Wojciech Franiewski, uznany przez śledczych za szefa gangu. A do tej listy na początku 2009 roku dołączył trzeci główny sprawca, Robert Pazik. Powiesił się w płockim więzieniu. Taka seria podziałała na wyobraźnię. Spowodowała, że nagle wybuchło niebywałe zainteresowanie Olewnikami i ich tragedią.

Temat podjęły wszystkie media. Nagły wybuch ogólnonarodowej fascynacji sprawą Olewników to prawdziwy fenomen społeczny. Łzy ojca, drżący głos siostry i ich przejmująca opowieść o walce i bezradności spowodowały, że zaczęto się z nimi utożsamiać. Ich ból stał się bólem powszechnym. Reakcją na ich płacz był ogólny szloch. Zadawane przez nich pytania powtarzano jako własne. Dlaczego nie uratowaliście naszego syna i brata? Dlaczego zlekceważyliście nasze prośby? Dlaczego nie chcieliście w porę schwytać bandytów?

Dla wszystkich stało się jasne, że oto w majestacie państwa, pod okiem organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, popełniono straszną zbrodnię.

W 2011 roku na łamach „Rzeczpospolitej” ukazał się głośny artykuł Mai Narbutt „Skarżysko, miasto prywatne”. Przypomniała ona, że o tym, co dzieje się w Skarżysku-Kamiennej, dowiedziała się cała Polska:

Kiedy właściciel mającej tu siedzibę firmy Wtórpol oświadczył w styczniu 2007 roku, że nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa pracownikom i musi zamknąć zatrudniający niemal 800 osób zakład, do miasta zjechały ekipy telewizyjne i reporterzy. Ujawnione fakty szokowały wszystkich. Podpalenia budynków i ciężarówek, ostrzelanie z broni maszynowej domu jednego z pracowników, wrzucenie granatów na posesję, podłożenie ładunków wybuchowych pod mercedesa właściciela układały się w serię przemocy na pozór nieprzystającą do polskiej rzeczywistości.

– Któregoś dnia do firmy przyszedł późnym wieczorem nieznany mężczyzna. Powiedział, że to, co działo się do tej pory, jest niewinną zabawą. Zrozumiałem, że nasza rodzina jest śmiertelnie zagrożona. Nieznajomy zrobił jednak błąd – opowiada brat właściciela Marek Wojteczek. – Wyszedł do toalety, zostawiając na stole komórkę. Zadzwoniłem z niej do siebie i miałem jego numer telefonu.

Ale wtedy stało się coś, co sprawiło, że właściciele firmy zwątpili, czy mogą liczyć na pomoc policji. – Podczas konfrontacji z mężczyzną policjant na komendzie w Kielcach zachowywał się, jakby był jego adwokatem. Mówił, że mężczyzna przyszedł do firmy starać się o pracę – mówi Marek Wojteczek. – Ten policjant już zresztą tam nie pracuje.

Wezwanie mediów było aktem desperacji, zwróceniem się do czwartej władzy w sytuacji, gdy zawiodły instytucje państwowe.

Dramatyczna sytuacja w Skarżysku-Kamiennej, ujawniona opinii publicznej, wywołała wstrząs. Śledztwo objął osobistym nadzorem ówczesny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Zapowiadano, że „wyczyści się do gołej ziemi” lokalne mafie, które terroryzują małe i średnie miasta. Dochodzenie w sprawie Wtórpolu było priorytetowe, przyjęło jednak specyficzny kierunek – prokuratura podejrzewała długo że chodzi w tym wypadku o wewnętrzne rozgrywki mafii, i uważała, że właściciele Wtórpolu nie współpracują z nią wystarczająco.

Tak samo było w sprawie Olewników, w której ostatecznie głównymi winnymi stali się właśnie oni. Prokuratura apelacyjna w Gdańsku, prowadząca śledztwo, nie ukrywa, że to oni są na ich celowniku.

Maja Narbutt pisze dalej:

– Oglądałem w telewizji program o sprawie Olewnika i doszedłem do wniosku, że sytuacja jest podobna. Nasza firma zostanie przejęta, a jeśli się nie zgodzimy, wydarzy się tragedia – mówi właściciel Wtórpolu Leszek Wojteczek. Zwrócił się do adwokata Olewników, mecenasa Ireneusza Wilka.

– Detektywi, których wysłałem, odwiedzili emerytowanych policjantów. Bardzo szybko informacje z tych spotkań wyciekły do przestępców – opowiada mecenas Wilk. – Pojawienie się „obcych", ludzi z zewnątrz, w Skarżysku-Kamiennej niepokoiło środowisko przestępcze.

W tej książce opowiem między innymi o wspomnianej walce rodziny Wojteczków z lokalnym układem, kiedy to bandyci zbratali się z policjantami, prokuratorami i politykami.

Część pierwsza

Chłopaki, zastanówmy się, co robimy

1.

Zwą go przekornie Małym lub Kajtkiem, a jest szczupłym, wysokim, czterdziestoletnim mężczyzną z krótko ostrzyżonymi włosami. Kiedy pierwszy raz go widzę, ma na sobie ciemnografitowy tani garnitur, który zwisa z niego, jakby ktoś powiesił go na wieszaku. Kajtek wbił się w niego nie po to, by wyglądać elegancko; garnitur ma dodać mu powagi i wiarygodności i – co najważniejsze – odróżniać go od jego byłych kumpli, siedzących teraz za pancerną szybą, ubranych w czerwone stroje dla niebezpiecznych aresztantów, w najlepszym wypadku w swetry i dresy.

Stoi przed barierką, z twarzą zwróconą w stronę ławy sędziowskiej.

Przysłuchuję się jego zeznaniom w Sądzie Okręgowym w Kielcach, w sali, która z trudem mieści oskarżonych i obrońców. Nie mogąc się pomieścić, zajęli ławki dla publiczności. Słucham go tylko przez chwilę, niepotrzebnie sięgam do torby po aparat fotograficzny, na co reaguje ubrany w kominiarkę, z długą bronią w rękach, siedzący za mną policjant z AT (wydział antyterrorystyczny policji). Rychło oprzytomniał, tak jak i po chwili sędzia, kilka minut wcześniej pozwolili mi przecież spokojnie wejść do sali, zasiąść w jednej z ławek dla publiczności. Teraz okazuje się, że sprawa jest niejawna. Nie powinienem w ogóle tutaj się znaleźć. Kiedy wychodzę, Kajtek kieruje w moją stronę wychudzoną twarz i z zainteresowaniem mi się przygląda. W jego oczach widzę jakąś desperację.

2.

Kajtek: – To była niedziela, połowa maja 2002 r. W tym czasie odbywały się matury. Zadzwonił do mnie Łukasz, syn mojej siostry, i powiedział, że ma duży problem. Był w Sopocie z Piętusiem, Red Bullem i Ketchupem. Skończyły im się pieniądze, prosił, bym przyjechał po nich. Ratował. Dzień później Glizda podrzucił mnie do Warszawy i stamtąd o szóstej rano wsiadłem w ekspres. To był wtorek. W Sopocie na stacji czekał na mnie Łukasz. Poszliśmy coś zjeść. W czasie gdy jedliśmy, Łukasz powiedział, że zabili chłopaka.

Kajtek od razu pomyślał, że chodzi o maturzystę.

W Skarżysku-Kamiennej i okolicach było głośno o zaginięciu maturzysty, 19-letniego Bartka z Suchedniowa. Rodzina, koledzy Bartka porozwieszali wszędzie ogłoszenia, sporządzone na komputerze i powielone na ksero, z jego zdjęciem i prośbą o kontakt. Kajtek zobaczył jedno z nich na stacji CPN.

Sprawa była zagadkowa. Bartek zdawał właśnie maturę. Egzaminy szły mu świetnie. I nagle, przed ostatnim egzaminem, zniknął. Po południu wziął samochód ojca, bordową hondę civic sedan, i pojechał do Skarżyska. Miał wrócić szybko, bo chciał przygotować się do ustnej części egzaminu. Do domu już nie dotarł. Początkowo rodzice myśleli, że rozbił samochód i boi się wrócić. Były też przypuszczenia, że miał wypadek i mógł stracić pamięć.

Nie miał żadnych kłopotów z rówieśnikami ani rodzicami. Lubił piłkę nożną, pasjonował się internetem, w szkole uczył się świetnie. Nie miał również problemów finansowych, jego rodzice byli zamożni. Wszyscy powtarzali, że nigdy nie nawiązywał kontaktów z obcymi. W dniu zaginięcia Bartek ubrany był w oliwkowy sweter z wąskimi paskami na ściągaczach, ciemne dopasowane spodnie z kieszeniami i granatowe adidasy.

Ksiądz infułat z Suchedniowa, miejscowej parafii, cieszący się dużym autorytetem Józef Wójcik, wielokrotnie z ambony wzywał, apelował do sumienia sprawców, by przynajmniej zostawili w kościele kartkę, gdzie jest Bartek. Zapewniał anonimowość i tajemnicę spowiedzi. Bezskutecznie.

DANE DOTYCZĄCE ZAGINIONEGO

Bartłomiej
lat 19
mieszkaniec Suchedniowa

3.

Do poszukiwań syna bezradni rodzice wynajęli prywatnego detektywa Krzysztofa Rutkowskiego, wówczas była to gwiazda programu TVN „Detektyw”, który na oczach milionów widzów rozwiązywał sprawy, z jakimi policja nie dawała sobie rady, ale nic to nie dało.

4.

Kajtek: – Łukasz opowiedział, jak to się stało. W sobotę wracali z działek razem z Mamlą, Red Bullem i Ketchupem. Wracając, spotkali Minia – swojego kolegę. Miniu był razem z tym maturzystą, Bartkiem. Ten chłopak przyjechał samochodem marki Honda. Widziałem ten samochód później w Sopocie. Łukasz i jego koledzy chcieli, żeby Bartek ich podwiózł. On im ostro odmówił. Odjechał potem z Miniem. Tamci musieli wracać pieszo do miasta.

Gdy dochodzili pod swoje bloki, zobaczyli, że przed klatką Minia stoi ta sama bordowa honda. Miniu z niej wysiadł. Bartek ruszył dalej, miał jednak pecha, bo wyjechał wprost na nich. Stanęli mu na drodze, zatrzymał się. Nie miał zablokowanych drzwi, więc bez problemu wyciągnęli go zza kierownicy i wsadzili na tylne siedzenie.

Pojechali w kierunku Radomia. Prowadził Łukasz. Po drodze kilka razy dzwonił telefon chłopaka, pewnie któreś z rodziców. Nie po-

zwolili mu odebrać tego telefonu.

Z Radomia pojechali w kierunku Warszawy. Za Grójcem, już na trasie szybkiego ruchu, dwóch z nich wysiadło z maturzystą, a pozostała dwójka pojechała na stację CPN, żeby załatwić jakieś picie. Kiedy wrócili, pojechali dalej.

Bartek musiał usłyszeć, że wydali na niego wyrok.

Po drodze uderzyli go parę razy. Maturzysta zaproponował, aby zadzwonili do matki, to ona na pewno im zapłaci, ale oni obawiali się, że ich wyda.

Jadąc w kierunku Warszawy, z głównej trasy skręcili w prawo. Po ujechaniu około dwóch kilometrów wjechali do małego lasku. Wyprowadzili chłopaka z samochodu. Na głowę naciągnęli mu sweter, który wcześniej miał na sobie. Poszli kawałek w las. Kazali mu się położyć na ziemi. Na brzuchu.

„Chłopaki, zastanówmy się, co robimy" – powiedział Red Bull.

Piętek, który bał się, że Bartek go rozpozna, wziął w rękę spory kamień i rzucił w jego głowę.

Bartek błagalnie wycharczał: „Chłopaki!".

Łukasz podniósł ten sam kamień i ponownie rzucił w jego głowę. Z ust Bartka bryznęła krew, która ochlapała Red Bullowi spodnie.

Potem każdy z nich kolejno jeszcze kilka razy uderzał w głowę tym samym kamieniem.

Bartek jednak nadal żył.

Piętek miał nóż, wbił go w tył głowy chłopaka, wyciągnął i podał kolejnemu, i tak jak z tym kamieniem, każdy go brał i wbijał w Bartka, w plecy, szyję…

Aż nóż się złamał.

Bartek już nie żył. Przynajmniej tak się im wydawało.

Nieopodal był jakiś dół. Wrzucili do niego ciało, przysypali trochę piachem i przykryli gałęziami.

Pojechali w stronę Gdańska. Po drodze zatrzymali się w Ostródzie, zaszli na jakąś dyskotekę. Tam ukradli kobiecie torebkę. Z Ostródy pojechali do Sopotu.

Kiedy Łukasz skończył opowiadać o wszystkim, dałem mu chyba dwieście lub trzysta złotych. Mieli za to coś zjeść i kupić spodnie Red Bullowi. Krew nie dała się sprać wodą.

5.

Ojciec maturzysty tej nocy, kiedy zaginął Bartek, przebudził się o trzeciej nad ranem.

– Wiedziałem już wtedy, że syna musiał ktoś zabić – wspomina. – Przeczuwałem to, przez lata nie miałem tylko potwierdzenia… No i ciała…

Zwierzęta musiały zjeść

1.

Kajtek: – Do Skarżyska wrócili pociągiem, zamieszkali w moim mieszkaniu. Bali się, że ktoś mógł ich zobaczyć i rozpoznać, jak wchodzili do samochodu Bartka. Na pewno widział ich Miniu.

Kajtek dał im pieniądze na utrzymanie, niedużo, tak by wystarczyło na kilka pierwszych dni. Mieli sobie dorobić, pracując w gangu Śruty vel Człowieka z Lasu, w którym Kajtek trudnił się kradzieżami samochodów.

– Na mieście się pokazywali, ale nie było ich tak widać jak kiedyś – opowiada Kajtek. – Chcieli wyjechać ze Skarżyska, a na to były potrzebne pieniądze. Zgodziłem się, by ze mną ukradli dwa samochody.

Były to dwa dostawcze mercedesy, w jednym z nich, wypełnionym ziemniakami i kobiałkami z truskawkami, znajdowały się dokumenty. Ustalili numer właściciela.

Kajtek: – Zadzwoniłem. Odebrała żona, podała słuchawkę mężowi. Zapytałem, czy jest zainteresowany odzyskaniem samochodu za pieniądze. Zaproponowałem kwotę czterech tysięcy złotych. Zapytałem, czy zna kogoś, kto zna kogoś, kto mógłby pośredniczyć w przekazaniu pieniędzy. On wskazał Lecha, zwanego Komendantem [Lech, zwany Komendantem, na komendzie policji był uważany

za ważniejszego niż komendant powiatowy policji w Skarżysku; przyjaciel Grubasa – tak nazywali senatora Rzeczypospolitej – przyp. aut.]. Ponieważ go nie było, a truskawki mogły się zepsuć, zaproponowałem taksówkarza, który mógłby odebrać pieniądze. On się zgodził. Taksówkarz przywiózł nam pieniądze nad zalew, na Rejów [miejsce należące do Braci, nazywanych potocznie w Skarżysku Mafią znad Wody – przyp. aut.]. Samochód wystawiliśmy z towarem tego samego dnia na rynku [dzierżawionym wówczas przez Braci z Rejowa – przyp. aut.].

W wykupieniu drugiego samochodu miał pośredniczyć Lech, czyli Komendant, ale się wystraszył.

Kajtek wyjaśnia:

– Dużo dłużej zeszło ze sprinterem. Minęło parę dni, zanim doszło do wykupki. W tym czasie w związku z zabójstwem maturzysty przyjechał do Skarżyska detektyw Rutkowski. Obawialiśmy się, że Rutkowski może podejmować działania w związku z tym sprinterem. Dlatego czekaliśmy kilka dni. Lech vel Komendant nie chciał uczestniczyć, bo bał się obecności Rutkowskiego.

2.

Kajtek: – Ja w tym czasie dokonywałem kradzieży w grupie Śruty z Ciechostowic. Było tak, że Śruta zlecał mi samochody do kradzieży, za które następnie braliśmy okup. Pieniądze przechodziły przez niego. Jeżeli samochód był skradziony z okolic Skarżyska, to w wykupkach pośredniczył najczęściej Lech, Komendant. Ja w tym czasie pracowałem pod Śrutą, od dwóch lat.

Jego grupa zajmowała się napadami na hurtownie, porywaniem tirów z towarem, zbierała haracze. Później Śruta brał pieniądze za ochronę firmy Wtórpol, a po konflikcie z właścicielem, Leszkiem, dobrał się do niego.

Śruta zajmował się także handlem narkotykami.

Inne ksywy Śruty to Boruta i Człowiek z Lasu.

3.

Kajtek: – Po tych kradzieżach Piętuś zamierzał uciekać za granicę, poprosił, by zawieźć go do Warszawy, do jakiejś koleżanki, która przechowywała jego paszport. Wraz z resztą chłopaków chciał po drodze zajechać w miejsce, gdzie zabili maturzystę, mieli zamiar zobaczyć, w jakim stanie są zwłoki. Chcieli pożyczyć samochód, ale żaden z nich nie miał prawa jazdy, więc zgodziłem się ich zawieźć.

To było na początku czerwca. Pamiętam, że to był dzień, kiedy wypuszczono z aresztu Dominika S.; siedział na sankcji za materiały wybuchowe znalezione w jego domu. Podejrzewano go też o kradzieże samochodów. Poprosiłem go, by pojechał z nami, a on się zgodził.

W piątkę wyruszyliśmy do Warszawy. Od razu pojawił się problem, bo nie mogli sobie przypomnieć, gdzie byli wtedy z maturzystą. W końcu poznali stację CPN, na której kupowali picie. Dopiero później skojarzyli, że to jest obok wiatraka, który tam stoi; w Rembertowie należało skręcić w prawo.

Sporo czasu nam zeszło, zanim znaleźli to miejsce.

Po skręceniu należało przejechać dwa kilometry. Był tam mały lasek i zakręt. Zatrzymałem się zaraz za zakrętem. Poszli. Wrócili po pięciu minutach – powiedzieli, że znaleźli to miejsce i jest tak, jak to zostawili.

Wsiedli do samochodu, milczeli.

Po jakimś czasie odezwał się Piętuś i poprosił, byśmy wreszcie pojechali do Warszawy po jego paszport, który trzymał u dziewczyny pochodzącej ze Skarżyska. Tam go odebrał.

Kiedy wracaliśmy, nad ranem, na wylocie w Warszawie zatrzymała nas policja, ale tylko nas wylegitymowali.

4.

Wszyscy wiedzieli, że ciało maturzysty może być w każdej chwili odkryte, trzeba było więc przenieść jego zwłoki w miejsce, w którym nikt by ich już nie odnalazł. Postanowili to zrobić od razu.

Kajtek zgodził się i w tym im pomóc. W sklepie budowlanym w Skarżysku kupili piłkę do cięcia, trzy łopaty, duży worek wapna, dużą torbę, tak zwaną ruską, i rękawiczki. Po dziewiętnastej wyjechali ponownie w stronę Rembertowa.

Kajtek: – Zostawiłem ich na zakręcie przy tym samym lasku, tak jak poprzednio, i odjechałem. Uzgodniliśmy, że jak będą kończyć, to zadzwonią i wrócę po nich.

Pojechałem do Skarżyska.

Przed północą zadzwonili, że zejdzie im długo, bo ciężko im idzie. Poszedłem do domu spać. Dopiero o trzeciej nad ranem zadzwonili, że kończą.

Wróciłem po nich. Już było widno. Po półgodzinie wyszli z zagajnika. Mieli ze sobą tylko jedną łopatę, którą odrzucili na pole. Na polnej drodze pojawił się jakiś rowerzysta, ale nie zauważył nas chyba, bo szybko zapakowaliśmy się do samochodu i odjechaliśmy.

Początkowo nic nie mówili, byli ubrudzeni gliną, śmierdzieli, to był bardzo nieprzyjemny zapach. Po jakimś czasie zapytałem ich, jak się czuli, przenosząc ciało. Jak to znieśli? Odpowiedzieli, że praktycznie od pasa w górę nie miał już ciała i wnętrzności, tylko sam szkielet. Zwierzęta musiały zjeść. Jedna ręka jeszcze miała skórę i ciało. Po odkryciu ciała spod tego, czym było początkowo przykryte, najpierw poćwiartowali je. Według tego, co mówili, to nogi przecięli na pół, tułów także na pół, odcięli też głowę. Po przecięciu przenieśli te kawałki w inne, wybrane wcześniej miejsce, do dołu, zasypali wapnem i zakopali. Torbę też tam zakopali. Nie wiem, jak głęboki był to dół, ale miał być głęboki. Jeśli chodzi o pozostałe łopaty, to jedna się im złamała podczas kopania, drugą wyrzucili gdzieś tam niedaleko. Nie wiem, co się stało z piłką. Mówili, że często robili przerwy, bo robiło się im niedobrze.

Na trasie wyrzucili brudną odzież i buty do jednego z przydrożnych koszy na śmieci.

W samochodzie mieli rzeczy na zmianę.

Jechałem bocznymi drogami, dopiero przed Grójcem wyjechałem na trasę szybkiego ruchu. Wróciliśmy do Skarżyska.

Nie pamiętam, który z nich był bez butów, ale jak ich podwoziłem pod mieszkanie, które im wypożyczyłem, to przynieśli mu buty

z mieszkania.

5.

Po dwóch dniach z mieszkania Kajtka wyprowadził się Piętuś, dwa dni później Red Bull. Pozostał tylko Łukasz. Okazało się, że zaginęła mu srebrna bransoletka. Przeszukał mieszkanie, samochód, ale jej nie odnalazł. Zrozumiał, że mogła mu się odpiąć, jak przenosił ciało maturzysty. To był problem, ponieważ miała jego inicjały i była na tyle charakterystyczna, że po niej można było trafić do właściciela. Nie mieli wyboru i razem z Kajtkiem wrócili w miejsce, gdzie zamordowali i zakopali maturzystę.

Łukaszowi sprzyjało szczęście i po dłuższym czasie udało mu się odnaleźć bransoletkę. Kajtek wtedy poznał miejsce, gdzie zakatowali maturzystę, i to, w którym ostatecznie zakopano go pokawałkowanego w głębokim dole. Wrócili spokojnie do Skarżyska.

Wkrótce jednak szczęście opuściło Łukasza i kilkanaście miesięcy później znaleziono go martwego. Zaczadział w domu matki Kajtka, a swojej babci. Niektórzy jednak podejrzewają, że ktoś mu pomógł w zejściu z tego świata.

Poznaliśmy prawdę po trzech latach

1.

Siedzę z ojcem maturzysty w kuchni jego domu w Suchedniowie. Kilka lat temu kręcił się jeszcze po niej Bartek.

– Niewłaściwy czas, niewłaściwe miejsce – stwierdza zamyślony. – Poznaliśmy prawdę po trzech latach. Dopiero dwójka konkretnych policjantów z Kielc się wzięła za sprawę. Policja w Skarżysku olała ich… Tutaj, do nas, zadzwoniła znajoma, której syna pocięli ci sami bandyci, co zabili Bartka. Powiedziała: „Weźcie się za Piętka”. Pro-

kuratura to zlekceważyła… Tylko oni, policjanci z Kielc, doszli do jakiegoś finału, bo końca jeszcze nie widać. Przecież nie ma kości… Zostali skazani, teraz będzie apelacja, bo na pewno będzie apelacja z ich strony, walczą przecież o życie.

Piętusia sąd skazał na dożywocie, a Red Bulla, który w czasie popełnienia zabójstwa nie miał ukończonych 17 lat, na 25 lat pozbawienia wolności. Mamla, który poszedł na współpracę z organami ścigania, ujawnił przebieg wydarzeń i starał się pomóc w odnalezieniu ciała, poddając się hipnozie, dostał pięć lat więzienia. W całości odbył już karę. Przebywa na wolności.

Do kuchni wchodzi żona, która właśnie wróciła z pracy. Prowadzi kancelarię notarialną w Starachowicach. Omiata mnie chłodnym wzrokiem. Po chwili w bramie posesji pojawia się jakaś kobieta.

– Idź, Grażyna, bo znowu przyszła z jagodami i trzeba jej dać trzydzieści złotych – odzywa się mąż, patrząc w okno.

– O Jezu, nie mam. Kto jej kazał codziennie przychodzić z jagodami? – mówi podniesionym głosem, zirytowana. Znam przyczynę jej zdenerwowania: nie jest nią pojawienie się kobiety z jagodami, to ja przyniosłem do jej domu wspomnienie tego, co się wydarzyło dziewięć lat temu.

Mąż to zauważa i wychodzi z kuchni, po chwili wraca.

– Tylko przesypię jagody – rzuca do mnie.

Matka siada na krześle po mojej lewej stronie, naprzeciw ojca.

– A o czym mamy rozmawiać? – pyta, nie ukrywając zniechęcenia.

Milczę.

– Co takiego ciekawego ma pan do powiedzenia? – pyta szorstko.

– Przyszedłem posłuchać.

– Ja myślałam, że pan wie więcej na temat Bartka, niż my wiemy?

– Jak to możliwe, że przez tyle lat tacy ludzie jak Piętuś spokojnie sobie funkcjonowali? – pytam, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Taki system jest w Polsce – odpowiada sucho matka. – W Skarżysku układy, układziki, no to co zrobić? Przekupywali, mieli w kieszeni wszystkich, i już. Niech panu odpowiedzą skarżyszanie, elita, władza, jak to mogło tyle lat funkcjonować i funkcjonuje.

– Mąż mówił, że wcześniej pocięli kogoś?

– Nie, to było po zaginięciu Bartka. Gdyby ktokolwiek za to się wcześniej wziął i za te anonimowe telefony… Trzy lata nie wiedziałam, co się z synem stało… Prokuratorkę w domu mieliśmy. Wysłuchała taśmę. Na tej taśmie przedstawiła się kobieta, żebyśmy zainteresowali się Piętusiem, bo lata z nożem po Skarżysku i na pewno maczał palce w sprawie naszego syna. To wszyscy wyśmiali tę kobietę.

– Głównie ona – wtrąca mąż, mając na myśli prokuratorkę.

– A potem nas – dodaje żona. – Naprawdę, gdyby to nie wyszło z policji ze Skarżyska do Kielc, tobyśmy do dzisiaj chodzili i szukali syna. Gdyby ktokolwiek się wziął w Skarżysku do wyjaśnienia tej sprawy, tobyśmy wiedzieli po tygodniu, co się stało, znaleźli zwłoki i pochowali dziecko. A tak do dzisiaj nie mamy jego ciała i w życiu już nie znajdziemy. No bo jak się znajdzie, skoro jedyna osoba, która przekopywała, nosiła, rąbała, nie chce powiedzieć, gdzie leży ciało Bartka? A drugi, co był przy tym, nie żyje. A tamten to jest taki zły człowiek, tak opętany przez złe moce i szatana, bo mu tak z oczu patrzy, że on nigdy, nawet jakby go na krzesło elektryczne posadzili, i tak nic nie powie…

2.

Piętuś na początku przyznał się do zbrodni, ale potem wycofał się z zeznań. Kiedy jeszcze chodził na wolności, rozpowiadał w mieście o tym, kto uczestniczył w zabójstwie maturzysty i przenoszeniu jego zwłok. Wkurzyło to wspólników.

Kajtek wspomina: – W związku z tym zabrałem go razem z Dominikiem do lasku obok szpitala i tam dostał, co mu się należało, został dwa razy uderzony w brzuch. Upomnieliśmy go, żeby o tym nie rozpowiadał, bo jak się to powtórzy, to będzie inna rozmowa.

Wielu ludzi w Skarżysku wiedziało, co się stało z maturzystą i kto za tym stoi, ale milczeli. Czy jest możliwe, że nie dotarło to do policji i prokuratury? Dzisiaj wiadomo, że ludzie związani z Piętusiem, Kajtkiem, podlegli Człowiekowi z Lasu, mieli w policji swoje wejścia.

– Teraz na sprawie wychodzi ich wujek, który jest w tej całej ośmiornicy. Teraz jest mu przykro, bo chce coś ugrać, grozi mu bardzo duży wyrok… – kontynuuje matka Bartka. – Do nas docierało, dlaczego Skarżysko nic nie robi, za dużo ludzi było zamieszanych we wszystko. Słyszałam od znajomego policjanta, że pewna pani prokurator powinna zmienić zawód i sprzedawać warzywa, że jakiś tam pan sędzia powinien… To co ja mogłam albo ten policjant? Zresztą ten policjant wyniósł się ze Skarżyska, bo mówi, że już patrzeć nie może na to, co się tam dzieje.

Mąż dopowiada:

– Jakby nie interwencja znajomych, toby Skarżysko nie przyjęło w ogóle zlecenia. Uważali, że Bartek to dorosły człowiek, pochlał albo naćpał się i wróci. A ja już o trzeciej rano wiedziałem, że coś się stało.

– Jaka prokuratorka to zlekceważyła?

– Nie żyje, to po co to mówić? – odpiera żona i rozkłada bezradnie ręce.

– To była nasza znajoma – dodaje mąż.

– Głupio teraz wyciągać kobietę z grobu. Dotarliśmy do wszystkich, do kogo można. Przywiozła ją koleżanka, prokuratorka poprosiła na policji, żeby przyjęli od nas zgłoszenie o zaginięciu, to przyjęli, prosiła, żeby cokolwiek zaczęli robić, szukać dzieciaka… Jak jasnowidz powiedział, że na Rejowie trzeba szukać… to poprosiła, żeby kogoś tam wysłali i poszukali. Ale niestety zlekceważyła telefon od tej kobiety, powiedziała, że to jest oszołom, nawiedzona, histeryczka i psychiczna. A to nie była chora psychicznie kobieta… Miała rację, jej jedyny, pociachany nożem syn siedzi do dziś w Stanach, bo boi się wrócić.

– Może damy nazwisko? – wtrąca mąż.

– Po co? Ledwo uratowała syna, chce mieć spokój.

– Za jej zgodą… – mąż nalega.

– Podpalą jej mieszkanie…

Po namyśle matka maturzysty decyduje się opowiedzieć więcej.

– To było tak: zadzwoniła do mnie i przedstawiła się, powiedziała, że robi to dlatego, bo moje nazwisko jest jej znane, pracuje w geodezji i sporządzane przeze mnie akty notarialne do niej spływają – je-

stem notariuszem. Powiedziała, że zaraz po zniknięciu Bartka jej syn dostał osiemnaście ciosów bagnetem. Przeżył. Więc przyszli do szpitala i powiedzieli, że go tak samo uciszą i załatwią jak Bartka. Wszyscy wiedzieli w Skarżysku, co się stało. Plotki chodziły, że Piętuś tego maturzystę załatwił. Jednego dnia wołali go na przesłuchanie, a drugiego już biegał po mieście. Co oni dla nich znaczyli? Dlaczego ich kryli?

Przerywa. Nie jest w stanie tego pojąć. Proponuje herbatę, kawę. Dziękuję, nie chcę sprawiać kłopotu. Nabrała już większego zaufania, uspokoiła się trochę, choć widać, że wspomnienia ją rozdzierają. Cała jest obolała z tego wszystkiego.

– Jak składaliśmy zawiadomienie, to komendantem policji w Skarżysku był Michał Domaradzki z Suchedniowa.

3.

Michał Domaradzki. Nie wiedziałem wówczas, że jego nazwisko pojawi się wkrótce w opisywanej przeze mnie historii, wystąpi w dalszej części książki.

W lokalnym „Tygodniku Zamojskim" (21 czerwca 2013 roku) tuż po nominowaniu go na komendanta lubelskiej policji można było o nim przeczytać:

Nadinsp. Mirosław Schossler (zastępca komendanta głównego policji) podkreślał, że lubelska policja otrzymuje świetnego szefa i dobrego przełożonego. Ma on być gwarantem utrzymania wysokich standardów pracy Policji i szacunku wśród społeczeństwa.

Insp. Michał Domaradzki urodził się 14 lipca 1973 roku w Skarżysku-Kamiennej. Jest magistrem politologii. Pracę w policji rozpoczął w 1992 roku w pionie kryminalnym, w Komendzie Powiatowej Policji w Skarżysku-Kamiennej. W 1999 roku został Naczelnikiem Sekcji Kryminalnej.

Kolejnym krokiem w jego karierze zawodowej było powołanie w 2003 roku na stanowisko Zastępcy Komendanta Powiatowego w Skarżysku-Kamiennej, a w 2004 roku na stanowisko Komendanta ww. komendy.

Od 2006 roku do 2008 roku kierował Komendą Powiatową Policji w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Później objął kierownictwo kieleckiej policji. Od 2009 roku był Zastępcą Świętokrzyskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji w Kielcach. W lutym 2010 roku otrzymał nominację na Pierwszego Zastępcę Świętokrzyskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji w Kielcach.

30 stycznia 2012 roku został powołany na stanowisko I Zastępcy Komendanta Stołecznego Policji. Z dniem 21 czerwca 2013 roku powołany został na stanowisko Lubelskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji.

Jego zainteresowania to sztuki walki – jest instruktorem samoobrony. Najchętniej wolny czas spędza z rodziną lub przy dobrej historycznej lekturze.

Matka Bartka nie wspomina komendanta Domaradzkiego najlepiej.

– Przyjeżdżał do nas, siedział tutaj, w kuchni, jeździł, to, tamto… Na samym początku, jak ta pani powiedziała, że chodzą zawsze w czwórkę po Skarżysku… Kuzyn jest policjantem, jak usłyszał to nazwisko, to się za łeb złapał. B., tych…? Czyli wszyscy byli znani. Nikt palcem nawet nie kiwnął. Jedni ze strachu, inni z… Słyszał pan o Wojteczku, co mu Wtórpol podpalali i nic policja nie robiła? Ręce opadają. Nikt nie mógł sobie z tym poradzić… Nie wiem, kim był w tej grupie Kajtek. Na nas sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego, ładnie się wysławia. Wie, co mówi, czyli nie mówi tego, co wie, myśli nad każdym zdaniem, mimika, gesty, tonacja głosu, stopniowanie napięcia, jaką to on ma wiedzę…

– Czyli jak ta kobieta powiedziała, że to Piętuś z chłopakami porwał syna, komendantem w Skarżysku był Michał Domaradzki?

– Tak. Potem była próba okupu, przyjechali do mojej kancelarii… Nie, nie chcę opowiadać… – Załamuje się jej głos, widać, że na nowo przeżywa i nie ma siły do tego wracać.

– Kpinę sobie zrobili – wtrąca krótko mąż.

Matka maturzysty nabiera powietrza i kontynuuje:

– Tak, nic im nie działało, wszystko się im wyłączyło i nie nagrali…

Przerywa, nabiera powietrza i wyjaśnia:

– Dostaliśmy telefon o północy, po telewizyjnym programie „997”. Zadzwonił mężczyzna na nasz domowy numer. W jaki sposób dotarł do niego, nie wiemy do dzisiaj. Powiedział, że jak damy sto tysięcy złotych, to nam wszystko opowie… Wynajęliśmy detektywa Krzysztofa Rutkowskiego, bo człowiek się wszystkiego czepiał. Niech sobie pan wyobrazi, że on ustalił w piętnaście minut, skąd kto dzwonił, a jak policja zwróciła się do Telekomunikacji, dostali billing po miesiącu, i to bez tego dnia, kiedy był wykonany do nas telefon. Oni się pomylili i poprosili o dzień następny. A Rutkowski w sekundę ustalił…

Urywa, zdaje sobie sprawę, że opowiada chaotycznie, więc wraca do początku, do tamtej nocy.

– Temu mężczyźnie, co wymuszał pieniądze, mówię: „Człowieku, jest dwunasta w nocy, ja muszę zorganizować pieniądze, nie mam tak, że z szufladki wyciągam, zadzwoń rano”. Idę do komendanta Domaradzkiego. Nie powiem, przyjechali, byli gdzieś na ogródkach działkowych. Cały czas podsłuchiwał te rozmowy. Umówiliśmy się na ostatnią rozmowę u mnie, w kancelarii. Powiedziałam Domaradzkiemu, że przebywa tam dużo ludzi, nikt nie będzie kojarzył, czy to policjant, czy klient. Mówię: „Przyjedźcie, ja będę z nim rozmawiać spokojnie, a wy sobie nagrajcie, namierzcie człowieka”. Czterech ich było. I tak nagrywali, taki szum się zrobił, ktoś zaczął gadać, że tamten zareagował. „Co się dzieje? Ktoś nagrywa!” – i rzucił słuchawką. Coś im wysiadło, nie nagrało się nic. Potem już się nie odezwał. Na szczęście z czasem go namierzono, ustalono, że chciał sobie dorobić parę groszy… Ale dzięki temu, że sprawę wzięły Kielce… Zabrano Skarżysku.

4.

Sprawa trafiła do sądu, ale rodzina Bartka zbyt dobrze zna stan lokalnego wymiaru sprawiedliwości, by pozostawiać wszystko na jego łasce. Wynajęli prywatnie pełnomocników na oskarżycieli posiłkowych. Najlepszych z Krakowa.

– Wzięliśmy Widackiego – oznajmia mąż.

– Tu już są wszyscy za ciency… – dodaje żona. – Nie ma ciała… Jedynie kawałek spalonego dowodu Bartka znaleziono, co się zgadzało z zeznaniami Mamli, że spalili dowód, wrzucili do studzienki – i faktycznie się znalazł… Mamla zgodził się na eksperyment, na hipnozę, wariograf… Ale nie pomogło. Nie wskazał właściwego miejsca.

Mąż pokazuje zdjęcia z wizji lokalnej poszukiwania ciała Bartka. Na zdjęciach widać policję, koparkę. Przypominam sobie, co mówił Kajtek: „Jest to miejsce oddalone od pochylonego drzewa akacjowego, w głąb lasu, na odległość do około pięciu metrów, patrząc na wprost w kierunku drzewa, bardziej w prawą stronę. Wykop miał wymiary około dwóch metrów szerokości i dwóch metrów długości. Głębokość od metra do półtora metra, gdyż Łukasz był niewysoki i ciężko by im było głębiej kopać. Jeszcze raz powtarzam, że co do wskazanego kompleksu leśnego jestem całkowicie pewny, że w tym kompleksie zostały zakopane zwłoki maturzysty”.

Matka nawet nie chce patrzeć na zdjęcia, odwraca głowę w stronę okna i mówi:

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Piętuś ma dwu adwokatów z wyboru. Skąd on ma takie pieniądze, żeby ich opłacać? Mąż raz zobaczył jednego z adwokatów Piętusia na ulicy i chciał go pobić… Nie wytrzymał. Teraz też musimy wynająć adwokatów… Bo przed nami rozprawa apelacyjna. Zabójcy Bartka zaskarżają wyrok. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby wypuszczono ich na wolność.

– A prokuratura, nie wierzycie w nią?

Odpowiedzią jest wymowne milczenie i gest ręką, żebym „lepiej dał sobie spokój”.

5.

Na cmentarzu w Suchedniowie jest grób Bartka. Symboliczny. Na tablicy zaznaczono, że nie spoczywa tutaj jego ciało.

Kilka miesięcy po rozmowie

Kilka miesięcy po naszej rozmowie Sąd Apelacyjny w Krakowie uchylił dwa wyroki dożywocia na członków tak zwanego gangu zabójców z województwa świętokrzyskiego, oskarżonych o zabójstwa pięciu osób i usiłowanie zabicia kolejnych dwóch. Ich ofiary to właściciele, współwłaściciele lub pracownicy kantorów. Sprawcy zbrodni byli wyjątkowo brutalni: najpierw strzelali do ofiar, a dopiero potem sprawdzali, czy mają pieniądze.

W lipcu 2010 roku krakowski sąd skazał Tadeusza G. i Wojciecha W. na kary dożywocia, a Jacka P. na 15 lat pozbawienia wolności. Od tego wyroku apelowała prokuratura i obrońcy dwóch oskarżonych.

Sąd utrzymał w mocy wyrok 15 lat pozbawienia wolności dla Jacka P. Dodatkowo pozbawił go praw publicznych na 6 lat. Wyroki dożywocia w stosunku do Tadeusza G. i Wojciecha W. uchylił i sprawę skierował do ponownego rozpoznania przez Sąd Okręgowy w Krakowie. Z informacji uzyskanych przez PAP wynika, że głównym powodem uchylenia wyroku były kwestie formalne.

Tadeusz G. współpracował z Człowiekiem z Lasu, razem z nim siedzi na ławie oskarżonych.

Część druga

Początek procesu

1.

Dojazd zastawiony przez więźniarki, uzbrojeni po zęby antyterroryści i 144 pokrzywdzonych. Przed kieleckim sądem okręgowym rozpoczął się proces gangu, który stworzyć miał Leszek K., oskarżony m.in. o zabójstwo i serię napadów na skarżyski Wtórpol. To finał jednej z najgłośniejszych spraw kryminalnych ostatnich lat – od listopada ubiegłego roku zatrzymano ok. 60 osób, a po przesłuchaniu kilkuset świadków zgromadzono ponad 170 tomów akt. Żeby osądzenie było możliwe, prokuratura podzieliła proces na części, a do sądu trafiły już dwa akty oskarżenia.

Trudno się dziwić, bo chociaż na ławie oskarżonych zasiadły w poniedziałek 24 osoby, to samo rozpoczęcie procesu było sporym wyzwaniem logistycznym. 18 oskarżonych jest w zakładach karnych i dowożące ich samochody stały rano w kolejce przed dziedzińcem sądowym. W tym czasie na klatce schodowej kłębiły się rodziny zatrzymanych, żeby chociaż przez okno zobaczyć mężczyzn.

Tak Marcin Sztandera opisywał 25 października 2010 roku w kieleckiej „Gazecie Wyborczej" początek procesu gangu Człowieka z Lasu. Prokurator przez ponad trzy godziny odczytywał 350-stronicowy akt oskarżenia.

Jako pierwszego oskarżonego wymienił 46-letniego szefa gangu Leszka K., o którym w akcie oskarżenia można przeczytać: „pseudonim Śruta, Boruta, Człowiek z Lasu", urodzonego w Ciechostowicach, o wykształceniu podstawowym, żonatego, ojca trojga dzieci,

z zawodu operatora pieców emalierskich, przed zatrzymaniem niepracującego – bezrobotnego, pobierającego zasiłek dla bezrobotnych w kwocie około 500 złotych, współwłaściciela na zasadach małżeńskiej wspólności majątkowej gospodarstwa rolnego o powierzchni 3,56 ha. Wcześniej był już skazany, za wymuszenie, na karę 10 miesięcy więzienia w zawieszeniu. Aresztowano go 6 listopada 2010 roku i osadzono w celi dla niebezpiecznych przestępców.

To on miał zabić właściciela dyskoteki w Stąporkowie, Tomasza Piętka, posługując się bronią palną kaliber 12 mm, ze skróconą samodziałową lufą, tak zwanym obrzynem, oddając jeden strzał przy użyciu naboju myśliwskiego.

To on miał co najmniej od 2000 do 2009 roku w Skarżysku-Kamiennej, Radomiu, Końskich, Stąporkowie, Szydłowcu, Ciechostowicach kierować zorganizowaną grupą przestępczą o charakterze zbrojnym, zajmującą się kradzieżami samochodów, napadami rabunkowymi, wymuszaniem haraczy, podpalaniem mienia, handlem bronią i narkotykami.

Leszek K. nie przyznał się do winy. Zaprzeczył, że ma jakikolwiek pseudonim, według niego nie podlegała mu też żadna z 25 osób siedzących z nim teraz na ławie oskarżonych:

• 36-letni ochroniarz Paweł Ł., ksywa Guma;

• 37-letni Jacek Sz., pseudonim Mecan, z zawodu technik budowlany o specjalności zbrojarz;

• 31-letni nauczyciel wychowania fizycznego, jeden z dwóch oskarżonych mających wykształcenie wyższe, Dominik S.;

• 40-letni Mirosław T., z zawodu betoniarz zbrojarz;

• 47-letni murarz, ostatnio pracujący na gospodarstwie rolnym żony, Stanisław T.;

• 30-letni Dariusz M., ksywa Mamla, z zawodu technik telekomunikacji, pracujący jako kierowca;

• 36-letni technik budowlany, pracownik stacji benzynowej, Zbigniew K.;

• 53-letni Lech D., pseudonim Leon vel Komendant, z zawodu kierowca mechanik, przed zatrzymaniem rencista;

• 29-letni Robert K., pseudonim Koper, technik mechanik pojazdów samochodowych, przed zatrzymaniem właściciel siłowni;

• 51-letni cieśla budowlany Tadeusz G.;

• 37-letni Rafał S., pseudonim Cypis, rolnik, z zawodu technik budowlany;

• 44-letni Dariusz L., inżynier mechanik, przed zatrzymaniem pracujący jako doradca w prowadzeniu firm;

• 54-letni Andrzej M., z zawodu technik budowlany, prowadzący sklep ogólnospożywczy;

• 28-letni Marcin P., pseudonim Piętuś, bez zawodu, udało mu się jedynie ukończyć szkołę podstawową;

• 28-letni Michał B., także bez zawodu, o wykształceniu podstawowym;

• 32-letni Krzysztof Sz., pseudonim Gienia, technik odlewnik, prowadzący własną firmę remontowo-budowlaną;

• 26-letni Norbert R., pseudonim Red Bull, bez zawodu, o wykształceniu średnim;

• 38-letni Jacek H., z zawodu kierowca mechanik, prowadzący komis samochodowy;

• 46-letni kierowca Janusz Z.;

• 58-letni Szczepan P., ślusarz mechanik, prowadzący zakład blacharski i mechaniki samochodowej;

• 31-letni bezrobotny technik mechanik samochodowy Emil G.;

• 46-letni technik elektromechanik, przebywający na zasiłku chorobowym, Ryszard K.;

• 34-letni technik budowlany, prowadzący usługi remontowe, Marek Cz.;

• 46-letni technolog przetwórstwa mięsnego, pracujący w Norwegii jako murarz i płytkarz, Józef S.;

• 38-letnia matka trójki dzieci, prowadząca zakład betoniarski, Anna T.

2.

Kolejne procesy odbywają się już w spokojniejszej atmosferze, bez udziału mediów. Za każdym razem przyjeżdża na nie żona Człowieka z Lasu. Kiedy ją mijam przed wejściem do sądu, spogląda na mnie z nieukrywaną wrogością. Nie chce rozmawiać. Na jej temat mam mało informacji. Prowadzi sklep dla hodowców gołębi w Szydłowcu.

– Ona gra swoją rolę – mówi oficer operacyjny policji. – Przy zatrzymaniu cały czas była za mężem. Kiedy on siedział, jeździła do niego na widzenia, jest obecna na każdym procesie. Kiedy w jej sklepie dla gołębi założyliśmy technikę, była bardzo czujna. Pilnuje się, ma świadomość, że się nią interesujemy. Uważa w czasie rozmów. Potrafiła nas wiele razy wyprowadzić w pole. Sprawdzała, czy jej nie śledzimy. To nie była kobieta zagubiona, niewiedząca, jak się ma zachować. Zniknął jej mąż i ktoś się musiał zająć jego interesami. W środowisku jest właśnie kontakt na sklep. Ktoś, kto był zobowiązany do płacenia – haracze, lichwa na piętnaście procent miesięcznie – tam pieniądze kieruje. To jest, niestety, tylko wiedza operacyjna. Te osoby nie chcą nic powiedzieć do protokołu, żeby potem nie można było tego użyć procesowo.

3.

Kajtek: – Człowiek z Lasu praktycznie nie prowadził żadnych rozmów przez telefon. W jego domu nie było zasięgu na komórkę. Zasięg był tylko w pokoju córek na piętrze, i to bardzo słaby. On przez telefon wydawał jedynie krótkie polecenia: „Podjedź tutaj”, „Bądź tam”. Bał się podsłuchu na telefonie stacjonarnym i dlatego nigdy niczego przez ten telefon nie uzgadniał. Kiedyś dowiedział się, że podsłuchuje go policjant z Krakowa, nazywaliśmy go Bęben. Nie wiem skąd, ale się dowiedział. Ten policjant zatrzymał go w 2001 roku do sprawy napadu na hurtownię w Miechowie. Ale nic mu za to nie zrobili.

Napadu tego miał dokonać z Tomaszem G. „Bezwzględny typ” – charakteryzuje go Wysoki. W grudniu 2011 roku Sąd Apelacyjny w Krakowie uchylił mu wyrok dożywocia w sprawie o zabójstwa pięciu osób i usiłowanie zabicia kolejnych dwóch i skierował do ponownego rozpatrzenia.

Akt oskarżenia

1.

Prokuratura Okręgowa w Kielcach Wydział V Śledczy prowadzi śledztwo od 12 maja 2009 roku. Pękło wówczas dwóch ludzi z grupy – Zbigniew W., pseudonim Kajtek vel Mały, i Jacek Sz., pseudonim Mecen. Opisali oni ponad 220 przestępstw popełnionych przez członków gangu Człowieka z Lasu. Dzięki temu podjęto 124 śledztwa i dochodzenia, wcześniej umorzone wobec niewykrycia sprawców. Prokuratura przedstawiła zarzuty 66 podejrzanym, 25 z nich zostało aresztowanych. Spraw i podejrzanych nadal przybywa.

Według prokuratury grupę stworzył i kierował nią Leszek K., pseudonim Człowiek z Lasu vel Śruta. Grupa dzieliła się na kilka podgrup.

Pierwsza zajmowała się kradzieżami samochodów, odbieraniem za nie okupu i sprzedawaniem pojazdów na części. Odpowiedzialny za tę podgrupę był Zbigniew W., czyli Kajtek. Wraz z nim miało działać siedem osób.

Druga podgrupa gangu Śruty zajmowała się głównie kradzieżami z włamaniem do obiektów handlowych, napadami rozbójniczymi i podpaleniami. Działali w niej bracia Mecen i Gienia oraz Cypis. Podlegało im dziewięć osób.

Trzecia podgrupa zajmowała się handlem narkotykami; przewodzić jej miał właściciel siłowni Robert K., pseudonim Koper.

Najbardziej zaufanymi osobami Człowieka z Lasu byli Tadeusz G., Stanisław T. i Mirosław T. Tadeusz G. był drugą najważniejszą osobą w grupie. Ci trzej brali udział w najbardziej dochodowych przestępstwach, takich jak napad w Radomiu, włamanie do kantoru w Szydłowcu, rozboje w Sanoku, Miechowie i Jaworniku.

Pozostali podejrzani najczęściej współdziałali w przestępstwach incydentalnie lub, jak to miało miejsce w przypadku Dariusza L. i Lecha D., pseudonim Leon vel Komendant, działali zarówno w ramach grupy, jak i zlecali jej członkom za pośrednictwem i zgodą Człowieka z Lasu różnego rodzaju przestępstwa.

Prokurator w akcie oskarżenia zauważa: „W przypadku Lecha D. dla grupy bardzo cenne były jego kontakty w policji i innych urzędach".

2.

O Człowieku z Lasu w akcie oskarżenia czytam:

Jego władza była absolutna, o czym świadczy to, że żaden członek grupy nie miał prawa sam decydować o popełnieniu przestępstwa bez jego zgody, zaś w przypadku gdyby takie przestępstwo popełnił, to musiał mu je zgłosić. To Leszek K. decydował o składzie osobowym w większości przestępstw w ten sposób, że wyznaczał lub dawał przyzwolenie na udział konkretnej osoby w konkretnym czynie. To on wydawał też polecenia odstąpienia od dokonania przestępstwa, jak to miało miejsce w przypadku napadu na samochód ciężarowy z ładunkiem papierosów w Jaworniku. To on decydował o podziale korzyści uzyskanych w wyniku przestępstwa. To on także w zdecydowanej większości przypadków udzielał rad i dostarczał przedmioty ułatwiające ich popełnienie, o ile nie brał osobistego udziału w przestępstwie, np. środek Furagan do trucia psów, materiał łatwopalny służący do podpaleń w przypadku podpalenia samochodów ciężarowych na szkodę firmy Wtórpol, granaty służące do popełnienia przestępstwa na szkodę małżonków C. To on odbierał mienie uzyskane w wyniku popełnionego przestępstwa i dokonywał jego sprzedaży.

To on także przez posiadane znajomości umożliwiał uniknięcie ewentualnej odpowiedzialności członkom grupy. Świadczy o tym przypadek ukrycia butelki ze śladami linii papilarnych Jacka Sz. i Kamila K. przez Lecha D., po podpaleniu samochodu Grzegorza C. Miał dostęp do poufnych informacji policji dot. częstotliwości używanych przez policję, co wielokrotnie umożliwiało członkom grupy uniknięcie pościgu policji po popełnionym przestępstwie.

Jak już wyżej wskazano, grupa była podzielona na podgrupy, które specjalizowały się w różnego rodzaju typach przestępstw.

Członkowie poszczególnych podgrup mieli tylko ogólne informacje o zakresie działania i rodzaju popełnionych przestępstw przez członków innych podgrup. Tylko najbardziej zaufani i sprawdzeni członkowie, niejako w nagrodę, byli dopuszczani do udziału w przestępstwach, które przynosiły najwyższe korzyści. W przypadku Jacka Sz. był to napad na samochód ciężarowy z ładunkiem papierosów w Radomiu i włamanie do kantoru w Szydłowcu.

Grupa Leszka K. dysponowała co najmniej 6 jednostkami broni palnej, która była używana w zależności od potrzeb, przy dokonywaniu poszczególnych przestępstw. Najczęściej posiadał ją Leszek K. i wypożyczał na poszczególne przestępstwa. Ustalono, że były to bliżej nieustalony pistolet marki Walther, bliżej nieustalona dubeltówka, bliżej nieustalony samodział kaliber 12 mm ze skróconą lufą, tzw. obrzyn, karabin maszynowy typu kałasznikow, jak również co najmniej 120 sztuk amunicji do tej broni, pistolet typu glock oraz pistolet typu glauberyt. Broń ta była używana do popełniania przestępstw. Oprócz tej broni na stanie grupy były też co najmniej 2 granaty typu F1.

Taki podział powodował, że grupa była bardzo hermetyczna. Leszek K. przestrzegał określonych zasad w kontaktowaniu się z członkami grupy. Charakterystyczne było, że spotkania odbywały się tylko między nim a konkretnym członkiem grupy. Wyjątkowo w spotkaniach brało udział więcej osób, przy czym były to maksymalnie 4 osoby. Kontakty telefoniczne ograniczały się do wypowiadania pojedynczych słów, typu „przyjedź", „spotkamy się". Taki sposób działania powodował, że wielu członków grupy mimo popełnienia szeregu przestępstw pozostawało bezkarnych. Jednocześnie ich wiedza o szczegółach przestępstw popełnianych w innych podgrupach była szczątkowa.

O bezwzględności Leszka K. świadczy zdarzenie z udziałem Tomasza Piętka. Niewielka w skutkach sprzeczka doprowadziła do tego, że jedynym rozwiązaniem dla Leszka K. było zabójstwo przeciwnika. W innych przypadkach wystarczające dla niego było „ukaranie konkretnych osób", poprzez dokonanie na nich rozboju lub pobicia (jak miało to miejsce w przypadku rozbojów, o których wyjaśniał Jacek Sz.). Jednocześnie o kamuflowaniu faktycznej działalności Leszka K. świadczy to, że ww. nigdzie na dłużej nie pracował. Jeżeli już, to np. w latach 2001–2003 miał być zatrudniony w firmie Mirosława T., podobnie jak jego żona Barbara.

Inną charakterystyczną cechą działań grupy, co świadczyło o jej sile i mocy oddziaływania na lokalne środowisko, była postawa pokrzywdzonych, którzy nierzadko w obawie przed dalszą, dużo surowszą zemstą ze strony przestępców nie powiadamiali organów ścigania o popełnionych przestępstwach lub jeżeli już to zrobili, to nie ujawniali wszystkich okoliczności z nimi związanych.

Postawa taka jest najbardziej zauważalna w przypadku kradzieży pojazdów w celu uzyskania okupu w zamian za ich zwrot. Pokrzywdzeni woleli zapłacić żądany okup, aby odzyskać skradziony pojazd, niż zawiadomić organy ścigania. Jeżeli już to zrobili, czyli zawiadomili o przestępstwie, to w przypadku zapłaty okupu nie informowali o tym, zaś odzyskanie samochodu tłumaczyli przypadkowym jego odnalezieniem lub zwykłymi poszukiwaniami, które odniosły skutek.

Dopiero w toku czynności procesowych w ramach niniejszego śledztwa część z nich przedstawiła w uzupełniających zeznaniach faktyczny przebieg zdarzeń związanych z zapłaceniem okupu i odzyskaniem samochodu.

Wszystkie przestępstwa były zawsze szczegółowo planowane i przygotowywane, poprzedzone obserwacją, i to niekiedy wielokrotną, pokrzywdzonych. Przestrzegano zasad bezpieczeństwa, poprzez stosowanie środków uniemożliwiających późniejszą identyfikację (używano rękawiczek, kominiarek, obuwia tylko pod kątem konkretnego przestępstwa, ślady zapachowe zacierano, używając octu, niszczono tachografy w pojazdach). Charakterystyczna dla takiego postępowania jest wypowiedź Leszka K. do Jacka Sz. przy planowaniu jednego z rozbojów w Górnie,

że lepiej przyjechać jeden raz za dużo i wszystko dokładnie sprawdzić, niż miałoby być za mało.

Nie ustalono dokładnie, kiedy grupa dokładnie została zawiązana. Jej początków należy upatrywać na przełomie XX i XXI wieku, kiedy to przez organy ścigania rozbita została grupa przestępcza tzw. szlachty koneckiej i Leszka C. To w ich miejsce wszedł Leszek K. Jednak jej początki mogą być jeszcze wcześniejsze. Świadczą o tym skromne wyjaśnienia niektórych oskarżonych. I tak Tadeusz G. znajomość z Leszkiem K. datuje na lata 90. i spotkania na dyskotekach i siłowni, którą Leszek K. miał w domu. Inni wskazują, że Leszek K. w latach 90. prowadził w swoim miejscu zamieszkania dyskotekę oraz siłownię, stąd ich wspólna znajomość.

Trudno było przebić się przez ścianę strachu

Policjant operacyjny, oznaczam go numerem 1, należał do grupy rozpracowującej gang Człowieka z Lasu. Zrównoważony, ważący słowa, spokojnie opowiada:

– Zgłosił się do mnie człowiek. Po pięciodniowym urabianiu, przesiedzeniu kilku długich godzin w samochodzie, uspokajaniu i zapewnianiu, że nic mu nie grozi, że się nim zajmiemy, zgodził się zeznawać. Pokazał skatowane plecy. To było to, na co ja czekałem. I co ciekawe, ten człowiek także nie był stąd. Może to też ułatwiło mu podjęcie decyzji, żeby zeznawać? Potem doszły zeznania Kajtka i to wszystko się uzupełniło.

Uzyskanie kontaktu z innym oficerem policji, który również uczestniczył w śledztwie, zajmuje mi trochę czasu. Od razu zaznaczył, że nie powie wszystkiego, co wie.

– To była ściana, przez którą nie można było się przebić. Ściana ludzkiego strachu. Mieliśmy dużo informacji o ludziach zastraszanych, naliczanych, podpalonych samochodach. Docierałem do nich, rozmawiali ze mną, ale pod warunkiem, że nic do protokołu nie powiedzą. Ten strach i bezwzględność budowały pozycję Człowieka

z Lasu. Potrafił wziąć karabin i fizycznie wyeliminować swojego przeciwnika, podpalał, podkładał bomby.

– A nieufność wobec policji i prokuratury? – pytam.

– Tak, to było najtrudniejsze, uwiarygodnić się, że nie jest się stąd, że jest się poza wszelkimi lokalnymi układami. Ludzie, którzy się otwierali, wskazywali, że ten zna tego, a ten tamtego. Bali się policji tak samo jak bandytów.

– Jak na niego wpadliście?

– Dla mnie jego sprawa zaczęła się w 2007 roku, kiedy płonął Wtórpol. Tu wyszło, że córki Człowieka z Lasu były zatrudnione we Wtórpolu. Był jakiś konflikt, bo one się nosiły jak księżniczki, a nie jak pracownice. Panie do brania ZUS-u od Wojteczka, a nie do świadczenia pracy. Zwolniono je i wtedy ostrzelano dom kierownika Wtórpolu.

– To jak to możliwe, że to właściciel Wtórpolu był przez was ścigany?

– Rzeczywiście, tę sprawę prowadziliśmy dwutorowo. Czuliśmy, że w Wojteczkach nie mieliśmy partnera. Komuś, komu powinno zależeć na wyeliminowaniu Człowieka z Lasu, jakby na tym nie zależało, nie współpracował z nami. A jednocześnie napłynęły materiały operacyjne, szereg informacji…

– To, że na przykład pracował u nich Marek Ungier? Miał mieć swój pokój we Wtórpolu?

– To też – potwierdza.

– To jest informacja nieprawdziwa, która do dzisiaj jest rozpowszechniana, także przez policjantów.

– Być może ma pan rację, że było to sterowane przez kogoś, komu mogło zależeć na tym, żeby skierować podejrzenia na Wojteczków i mniej energii poświęcać właściwemu kierunkowi śledztwa.

– Oni nie ufali policji, wiedzieli, jaka jest policja w ich mieście. Przesłuchiwał go między innymi członek rodziny osoby, która teraz siedzi na ławie oskarżonych. Miał prawo się bać i odmawiać współpracy. Nie wiedział, który policjant jest uczciwy, a który sprzedaje.

– Sam byłem świadkiem, kiedy to mówił… Przyznaję mu rację. Ale niech pan zrozumie policjanta, mnie… Co mam zrobić, kiedy

osoba jest tak nieufna, że wprowadza nas w błąd… Zaczynamy także ją sprawdzać…

Milknie i po chwili wyznaje:

– Naciski były z różnych stron, i to wielkie.

Powiesił się w celi

„Echo Dnia”, Beata Kwieczko:

Nie żyje 47-latek podejrzany o współudział w potrójnym zabójstwie w Cedzynie w 1991 roku, a zarazem jeden z oskarżonych w procesie grupy podejrzanej m.in. o ataki na Wtórpol. Jak informuje areszt w Piotrkowie Trybunalskim, mężczyznę znaleziono powieszonego w celi.

Mieszkaniec podkieleckiej gminy Górno został zatrzymany jesienią 2009 roku. Śledczy ogłosili wtedy, że rozbili grupę, która na swym koncie miała między innymi ataki na skarżyski Wtórpol oraz od lat niewykryte zabójstwo współwłaściciela dyskoteki w powiecie koneckim. Mężczyzna był także wiązany z inną sprawą. Jesienią 1991 roku w podkieleckiej Cedzynie brutalnie zamordowana została trójka obywateli Ukrainy. Pod koniec 2009 roku Prokuratura Apelacyjna w Krakowie poinformowała, że dwaj mężczyźni usłyszeli zarzut współudziału w tym zabójstwie. Jednym z nich był właśnie 45-letni wówczas mieszkaniec gminy Górno. (…)

– Wszystko rozegrało się przed apelem porannym. Powiesił się prawdopodobnie na pętli z prześcieradła w kąciku sanitarnym w trzyosobowej celi. Wcześniej nie stwarzał żadnych problemów i zachowywał się poprawnie – informuje Jakub Białkowski, oficer prasowy Aresztu Śledczego w Piotrkowie Trybunalskim. Trwa ustalanie przyczyn dramatu. Policjanci wstępnie wykluczali, aby ktoś przyczynił się do śmierci mężczyzny.

Policjant ze sprawy Olewnika

Nadkomisarz Remigiusz M. Był szefem policyjnej grupy złożonej z funkcjonariuszy z Radomia i Płocka do sprawy Krzysztofa Olewnika. Poznałem go kilka lat wcześniej w czasie pracy nad książką napisaną z Piotrem Pytlakowskim, *Śmierć za 300 tysięcy*. W sierpniu 2008 r., kiedy z powodu błędów popełnionych w sprawie Olewnika Remigiuszowi M. zaczął się palić grunt pod nogami, gorączkowo szukał kontaktu z dziennikarzami. Dotarliśmy do niego i przedstawił nam swoją wersję wydarzeń. Był rozżalony, mówił długo, dość chaotycznie, ale w gruncie rzeczy cała jego opowieść zmierzała do jednego: „Nie mam sobie nic do zarzucenia. Wszystko, co robiłem w sprawie Olewnika, było zgodne z zasadami sztuki kryminalistycznej. Nie popełniłem błędów, chciałem jak najlepiej".

Nie jest prawdą, upierał się, że kurczowo trzymano się jednej wersji o upozorowaniu porwania. Owszem, była brana pod uwagę, ale wyłącznie jako jedna z możliwości. Nie jest prawdą, że lekceważono prawa rodziny Olewników. – To oni od początku nie chcieli z nami współpracować, pisali skargi, a ja bez przerwy musiałem się tłumaczyć, składać raporty. Byłem nieustannie kontrolowany. To fakt, z Olewnikami trudno się było porozumieć – dowodził. Dlaczego nie potrafił dopilnować momentu przekazania okupu, chociaż rodzina Olewników zaufała mu wtedy i ujawniła przebieg swojej trasy? – To nie była nasza wina – M. powtarzał jak mantrę. – Monitorowaliśmy ich, obok, za nimi i z przodu jechało kilka naszych wozów, kilkunastu ludzi. Ja nadzorowałem to z Radomia, byłem w nieustannym kontakcie. Ale oni nas zmylili. Kiedy samochód z okupem był już na Wisłostradzie, nagle zahamował i zaczął cofać. Moi ludzie nie mogli zrobić tego samego, bo bandyci natychmiast by się zorientowali, co jest grane. Dlatego nasze samochody przejechały kawałek dalej i zawróciły, a oni w tym czasie wjechali na Trasę Toruńską i zostawili torbę z pieniędzmi. Kiedy policjanci tam dotarli, już nie było ani Olewników, ani forsy, ani sprawców.

Dlaczego dopuszczono do jednej z większych wpadek w tym śledztwie, kradzieży policyjnej nubiry z 16 tomami akt sprawy?

M., niezbity z tropu, odpiera: – A czyja to wina? Przecież nie policjantów. Oni wcale nie chcieli wozić tych akt, jechali przesłuchać świadka. To prokurator się uparł, macie wziąć, bo przydadzą się do przesłuchania. Wykonali tylko jego polecenie – tłumaczył.

Okazało się, że mieszka on na terenie działania gangu Człowieka z Lasu. I między bajki można włożyć to, że nie wie, co się tutaj naprawdę dzieje. Spotkaliśmy się z nim w jednej z karczm na drodze wjazdowej do Kielc. Znowu miałem do czynienia z człowiekiem, który wzruszał ramionami, jakby był zdziwiony, że tuż obok niego działy i dzieją się takie rzeczy.

Część trzecia

Samobójstwo komendanta

Dzwonię do żony byłego komendanta policji w Skarżysku-Kamiennej, potem komendanta miejskiego policji w Kielcach, Piotra Ż.

– To jest niemożliwe. Nielogiczne. Niewyobrażalne dla nas. Nie wierzę w to… – urywa i zaczyna płakać.

Nie jest teraz w stanie się ze mną spotkać, może później będzie miała na to siłę. Minęło prawie dziesięć miesięcy od tragedii, a ona nadal nie potrafi opanować emocji, gdy o tym myśli.

To było 13 grudnia 2010 roku, w poniedziałek. Przyjechała z córką do domu około godziny 15. Na podwórku zobaczyła samochód męża i była pewna, że go zastanie w domu. Weszła do środka. Zawołała go, ale odpowiedziała jej tylko głucha cisza. Przeszła po pokojach, kuchni. Zaniepokoiła się. Postanowiła sprawdzić w piwnicy. Zeszła na dół i go znalazła. Leżał martwy, miał postrzeloną głowę. Broń leżała pod jego ciałem.

Według policji i prokuratury było to samobójstwo.

Najbliżsi jednak w to nie wierzą, a i wśród policjantów, którzy go znali, odczuwa się wahanie, sceptycyzm. „Nawet jeśli to zrobił, to ktoś musiał go do tego skłonić”.

W sprawie Człowieka z Lasu prowadzony jest odrębny wątek policjantów zamieszanych we współpracę z gangiem. W kręgu podejrzanych miał być Piotr Ż. Komuś mogło zależeć, by się go pozbyć; zabijając go, przeciąć nić wiążącą Człowieka z Lasu z innym osobami, ważniejszymi niż Piotr Ż.

– Piotr nie był typem samobójcy – to słyszę najczęściej od jego byłych kolegów.

Jeden z nich mnie pyta:

– Zna pan kulisy jego odejścia z policji?

– Nie.

– Są niejasne. Oficjalnie przeszedł na emeryturę, bo jego kierowca spowodował kolizję. Kierowca miał we krwi alkohol, ale mało, były to wartości schodzące. Syndrom dnia poprzedniego. Piotr podał się do dymisji, pomimo że nie miał żadnych nacisków z góry, nie on był przecież kierowcą, a winę ponosił i tak prowadzący cywilny samochód.

– W którym to było roku?

– W czerwcu 2006 roku podał się do dymisji, a w lipcu 2006 roku odszedł z policji. Wtedy było już głośno o podpaleniach Wtórpolu. Policja już dochodziła, kto za tym stoi. We wrześniu tego samego roku zatrzymano w związku z tym trzech podejrzanych. Namierzono gang Człowieka z Lasu, a on jako komendant w Skarżysku wiedział o tym, że śledztwo się rozwija. Dla mnie wyglądało to na ucieczkę. Może nie chciał, by ktoś zmuszał go do jakichkolwiek działań? Zawsze mógł powiedzieć, że jest już emerytem i nic nie może zrobić, pomóc. Przez te lata wiedział dokładnie, co się dzieje w tej sprawie, pracował w Sądzie Rejonowym w Kielcach jako specjalista ds. informacji niejawnych.

– Czy to prawda, że polował z Braćmi z Rejowa? Senatorem?

– Tak. Lubił myślistwo i zbieranie policyjnych czapek z całego świata: miał ich ponad setkę – oznajmia kolega Piotra Ż. z bladym uśmiechem.

To była jego policja

1.

– Człowiek z Lasu potrafił w Szydłowcu zaparkować samochód na zakazie, tuż obok radiowozu, a policjanci udawali, że tego nie widzą, i odjeżdżali. To była jego policja. Nikt mu nie chciał wcho-

dzić w drogę. Jak ktoś, kto widział takie zdarzenia, mógł potem iść spokojnie na policję i zgłosić cokolwiek na niego?

Słucham przedsiębiorcy z Szydłowca, który prosi, by nie podawać branży, jaką się zajmuje. To mała miejscowość, od razu go zidentyfikują. Nie chce mieć problemów.

– Przecież Leszek K. siedzi, czego się pan obawia?

– Jego ludzie chodzą jeszcze na wolności, niech pan stanie przed sklepem i spojrzy, jacy wyrośnięci, łysi gołębiarze tam zaglądają. Chyba nie myśli pan, że po karmę dla gołębi? Ja zresztą z nim nie miałem problemów, gorsi są Bracia.

– Bracia?

– Tak, z Rejowa. To inna liga: Człowiek z Lasu mógł być najwyżej u nich żołnierzem. Kiedyś miałem zatarg z jednym miejscowym przedsiębiorcą. Kiedy puściły mu nerwy, rzucił mi: „Czy wiesz, komu ja się opłacam?". Nie wiedziałem. Powiedział, że Braciom.

2.

Policjanci bali się Człowieka z Lasu. On i jego ludzie czuli się bezkarnie. Stawali się coraz zuchwalsi. Z parkingu naprzeciwko komendy policji ukradli volkswagena vento należącego do policjanta. Dzień później kolejny samochód innemu policjantowi z „ekipy nadgorliwych policjantów", jak nazywali funkcjonariuszy, którzy decydowali się podejmować działania przeciwko nim. Policjant był bezradny, samochód nie był ubezpieczony, nie miał wyboru, wiedział, że nie ma sensu liczyć na pomoc policji lub prokuratury, postanowił więc ułożyć się z nimi i wykupił samochód za 8 tysięcy złotych. Od tej pory przestał być już nadgorliwy.

Karanie policjantów kradzieżami, podpaleniami stało się zasadą. Kajtek wspomina jedną z takich kradzieży za karę: „Ten policjant pochodził ze Skarżyska-Kamiennej, trochę pracował w Szydłowcu, a następnie w KWP w Radomiu, gdzie uciekł przed gniewem Leszka K. Rozkaz – polecenie kradzieży tego samochodu – wydał Leszek, który w ten sposób wymierzył mu karę".

3.

Kajtek w czasie przesłuchań w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Kielcach w 2009 roku wspominał o dziwnych wydarzeniach, w których tle stali policjanci i prokuratorzy. Wspomniał o policjancie z Szydłowca i pani prokurator o „pięknych włosach". We wrześniu 2001 roku przyjechał do rodzinnej wioski Człowieka z Lasu, Ciechostowic, i natknął się tam na policyjny kocioł.

– Widząc radiowozy na skrzyżowaniu, skręciłem w prawo, to jest w przeciwnym kierunku, niż prowadzi droga do domu, i z lasu obserwowałem, co się dzieje. Pojawiłem się w Ciechostowicach około godziny 7, a przeszukanie trwało od 6 rano. W lesie czekałem stosunkowo długo – około godziny lub dwóch.

Kiedy policja odjechała, Kajtek zaszedł na posesję Człowieka z Lasu, tam spotkał jego żonę Barbarę. Była zapłakana i zdenerwowana. Powiedziała mu, że policja szukała głównie sportowych butów. Zabrali kilka par. Jednak nie te co powinni.

– Baśka przyniosła mi buty, chyba podróbki firmy Adidas – wspomina Kajtek. – Poleciła mi, żebym je zniszczył. Nie wiem, dlaczego policjanci nie znaleźli tych butów. Barbara powiedziała, że policjanci byli w sprawie napadu w Miechowie. Bardzo się bała, że Człowiek z Lasu zostanie aresztowany. Pojechałem do Skarżyska-Kamiennej i wyrzuciłem te buty do dwóch różnych śmietników. Następnie wróciłem do Ciechostowic i z posesji matki Człowieka z Lasu zabrałem wkład kominkowy, który wcześniej dostarczył mu Mecen. Wkład pochodził z kradzieży. Ukryłem go w swojej piwnicy, a kiedy się wszystko uspokoiło, zwróciłem go Leszkowi.

Następnego dnia po przeszukaniu Kajtek z żoną Człowieka z Lasu pojechali do prokuratury w Miechowie, tam na przesłuchanie miał być doprowadzony Leszek K. z policyjnego dołka (izby zatrzymań).

– Na pewno sprawę prowadziła pani prokurator, miała długie, piękne włosy – wspomina Kajtek. – Barbara weszła na chwilę do jej gabinetu, czekałem przed budynkiem. Pani prokurator jeszcze przed dowiezieniem Leszka i jego przesłuchaniem powiedziała Barbarze, że nie będzie aresztowany, gdyż nie ma podstaw, i dodała, że na

pewno będzie zwolniony. Pamiętam, jak Baśka wyszła z tego gabinetu – była uśmiechnięta i zadowolona.

Kiedy policjanci przywieźli Człowieka z Lasu, Kajtek podszedł do niego i przekazał: „Jest dobrze". Zareagował na to policjant nazywany przez Kajtka i resztę jego kompanów Bębnem.

– Zapytał, kim jestem. Odpowiedziałem, że jestem bratem Leszka. Bęben nie pytał więcej, tylko wraz z innymi wszedł do budynku. Był zdenerwowany i widziałem, że jest niezadowolony. Po dłuższej chwili Leszek wyszedł z gabinetu, a pani prokurator ponownie powiedziała Barbarze, że niczego do niego nie ma, nie postawi mu zarzutów i że będzie zwolniony. Zaznaczyła, że policjanci będą jeszcze z nim rozmawiali w Krakowie. Bęben zabrał Leszka do samochodu i wszyscy odjechali. Wcześniej podali nam numer telefonu kontaktowego i adres komendy.

Kajtek pojechał z żoną Człowieka z Lasu w ślad za nimi. Kilka godzin czekali przed komendą, aż wreszcie pojawił się Leszek K. Od razu wsiedli do samochodu i pojechali do Ciechostowic.

– Po drodze Leszek mówił, że „dziwki", to jest policjanci, nic nie mają, i pytał mnie, czy wszystko jest w porządku z butami. Bardzo bał się o te buty. Pytał, czy w domu wszystko dobrze. Wiedział, co policjanci zabezpieczyli, i tego się nie obawiał. Zapytał Baśkę o policjanta z Szydłowca, który był na przeszukaniu. Miał pretensje, że ten go nie uprzedził o „wjeździe" [rewizji policji – przyp. aut.], na co Baśka wyjaśniła mu, że policjant dowiedział się dopiero rano tego dnia o przeszukaniu i nie miał czasu, a także możliwości ostrzec Leszka.

Człowiek z Lasu bez problemu wytłumaczył się z przypadkowej obecności w czasie napadu w Miechowie: stwierdził, że puszczał gołębie, których miał piękną kolekcję. Przecież jest znany powszechnie w okolicy jako jeden z największych hodowców gołębi.

– On zawsze tłumaczył się pobytem w jakimś miejscu, że wtedy akurat puszczał gołębie – wyjaśnia Kajtek.

Ciechostowice

Leon

1.

Kajtek ma dobrą pamięć. Pamięta, jakie samochody kradł i z jakich miejsc, choć minęły lata, a samochodów było grubo ponad setka. Mercedesa „kaczkę", należącego do Wtórpolu, także pamięta. Ukradł go spod szkoły w Ubyszewie przed świętami wielkanocnymi. Postawił samochód u kolegi, Łukasza G.

– Ten chłopak wiedział, że to jest kradziony pojazd, mówiliśmy mu o tym – wspomina Kajtek. – Pamiętam, że Gienia w tym okresie prosił mnie o pomoc w załatwieniu silnika do jego samochodu marki Opel. Załatwiłem mu go u swojego znajomego spod Poznania i rankiem w Wielką Sobotę pojechałem tam, w okolice Wrześni. Po drodze zadzwonił Człowiek z Lasu i powiadomił mnie, że Komendant, czyli Lech D., już szuka busa i chciał go wykupić. Z rozmowy z Leszkiem K. wiem, że wykupka była już dogadana pomiędzy nimi a Leonem, z tym że ja nie mogłem od razu wystawić samochodu, ponieważ nie było mnie na miejscu. Uzgodniliśmy, że jak wrócę z Poznania, to go wystawimy.

W tym czasie jednak policja odnalazła mercedesa. Nie dlatego, że go poszukiwała. Dziadek chłopaka, u którego Kajtek zostawił samochód, mając z wnuczkiem konflikt, postanowił poinformować policję. Chłopak trafił do policyjnego dołka. Nie zdawał sobie sprawy, w jakie tarapaty wpadł. Kiedy wprowadzono go do pokoju przesłuchań w Powiatowej Komendzie Policji w Skarżysku-Kamiennej, zobaczył nie tylko policjanta.

Kajtek opowiada o tym, co się wydarzyło:

– W czasie policyjnego przesłuchania był pobity przez Dariusza L., Lecha D., pseudonim Komendant, i mężczyznę o pseudonimie Fido. Fido to pseudonim kulturysty – dobrego kolegi Dariusza L. Chłopak został pobity, ponieważ chcieli od niego wyciągnąć informacje na temat sprawców kradzieży.

Lech D., zwany Leonem, nie wiedział, że samochód ukradli „właściwi” złodzieje. Wpadł w szał, kiedy dostał telefon z komendy, że odnaleziono skradzionego Wtórpolowi busa. Postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

Jak to możliwe, że Leon mógł wejść z bandytami na komendę policji w Skarżysku-Kamiennej, przejść spokojnie przez dyżurkę i w obecności policjantów okładać z nimi chłopaka? Kajtek tak to tłumaczy: – Leon funkcjonował jak prawdziwy komendant. To on osłaniał grupę Człowieka z Lasu przed policją.

Pobity chłopak, który sam nie wiedział, kto naprawdę ukradł samochód, podał im niedokładnie miejsce zamieszkania tej osoby. Okolicę, gdzie zamieszkiwał dziadek Kajtka. Leon z kolegami po krótkiej analizie „zeznań złożonych przez chłopaka na komendzie” wytypowali sprawcę; miał nim być szesnastoletni Paweł G. Wyszli z komendy policji i pojechali mercedesem Leona pod znany im adres. Weszli do jego domu i poprosili chłopaka, by udał się z nimi. „Musimy coś obgadać” – wyjaśnili. W czasie jazdy samochodem Paweł niczego złego nie podejrzewał. Dopiero kiedy zatrzymali się w odludnym miejscu i kazali mu wyjść na zewnątrz, przeszedł go

dreszcz. Sprawy potoczyły się szybko. Dostał ciosy w twarz i brzuch, padł na ziemię. Leon z kolegami wsadzili go do bagażnika i odjechali.

– Oni chcieli, żeby Paweł powiedział, kto ukradł i przyprowadził samochód na miejsce, w którym znalazła go policja – wyjaśnia Kajtek. – Chłopak na ten temat nic nie powiedział, bo nie miał z tą kradzieżą nic wspólnego. To było jeszcze dziecko, nigdy nie miał do czynienia z przestępcami. Wiem, że ten chłopiec miał jakieś obrażenia twarzy i był bardzo wystraszony, gdy wrócił do domu. Wiem to, ponieważ jego ojciec odgrażał się potem Dariuszowi L., że porozbija mu wszystkie jajka na straganie. Dariusz L. w tamtym czasie miał hurtownię jajek.

2.

Policjant operacyjny 1 o Lechu D., pseudonim Leon lub Komendant:

– Rozmawiał pan z nim kiedyś? To człowiek, który potrafi wszędzie się wkręcić i wszędzie pozyskać sobie przyjaciół. Wie, kto kogo i czego potrzebuje. Potrafi się podszywać. Niesamowicie kontaktowy, otwarty. Człowiek, którego nie da się nie lubić. To była osoba, która jak miała miejsce kradzież samochodu, ustawiała się pomiędzy złodziejem i pokrzywdzonym. Ludzie byli mu wdzięczni, że dzięki niemu mogli odzyskać auto. Oni odbierali to jako pomoc z jego strony.

– Współpracował z policją?

– Umie zapracować na wdzięczność, tak panu odpowiem. – Jednocześnie przykłada dwa palce do ucha i stuka w nie dwa razy.

Gest ten jednoznacznie wskazuje, że Leon był policyjnym uchem, kapusiem.

– Dlaczego teraz milczy, nie idzie na współpracę? Grozi mu przecież wysoki wyrok.

– Może liczy na jakąś odsiecz – zauważa z uśmiechem. – To był człowiek umiejący sobie wszędzie zaskarbić wdzięczność, która według niego ma teraz zaprocentować.

To tylko lokalny temat

1.

To właśnie osoba Lecha D., zwanego Leonem lub Komendantem, skłoniła mnie do przyjazdu w świętokrzyskie. Wysoki zatelefonował z prośbą o spotkanie. Jak najszybciej. Nie ma czasu, za chwilę będzie za późno. Przez telefon nie chciał ujawnić więcej informacji.

Położył przede mną kilkanaście kartek, kserograficznych odbitek artykułów z prasy. „Gang mściwego Człowieka z Lasu", „Skarżysko, miasto prywatne", „Wtórpol w ogniu", „Biznesmeni z Kielecczyzny nękani przez gang?". Przejrzałem pobieżnie te tytuły, resztę wycinków z mediów sobie darowałem. Spojrzałem na Wysokiego i rzekłem:

– No i? Wszystko opisane. W czym problem? Wszyscy siedzą.

Wysoki się roześmiał, a raczej parsknął zirytowany. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak zdenerwowanego. Podniesionym głosem powiedział:

– Za chwilę sąd zacznie wypuszczać ich z aresztu. Wyjdą tutaj na ulicę i będą się śmiali ofiarom w twarz. Ludzie zaczną się wycofywać z zeznań i więcej już na pewno nikt niczego nie powie. Człowiek z Lasu to odprysk tego, co się tutaj naprawdę dzieje. Człowiek z Lasu to taka kaczka, którą wystawiono na odstrzał, by inni, prawdziwi drapieżnicy, mogli spokojnie żyć.

Leon, to znaczy Lech D., nagle po aresztowaniu zaczął mieć kłopoty ze wzrokiem. Lekarze twierdzą, że nie są w stanie go leczyć w areszcie. Biegli wydali już opinię. Sąd zamierza go wypuścić do domu.

– Może rzeczywiście ślepnie – odpieram. – Warunki w polskich śledczakach są skandaliczne, znasz moje zdanie na ten temat. Na pewno tam nikogo nie wyleczą.

– Mogą go dowozić do szpitala na konsultacje i zabiegi. Tu chodzi o to, by wyszedł, bo układ, który na chwilę po aresztowaniach się zachwiał, obawia się, że Leon zacznie sypać. Pociągnie ich ze sobą w dół.

– Jeśli biegli wystawili mu taką opinię, nic na to nie poradzisz.

– A czemu mieli mu wystawić inną? Jego siostra jest zatrudniona w służbie zdrowia, jego przyjaciel jest przewodniczącym senackiej komisji zdrowia, były mąż obecnej pani minister także pracuje nad tym, by Leon opuścił areszt. Ci wszyscy ludzie są stąd, znają się od dawna.

– Senackiej komisji zdrowia? – pytam, jakby do mnie nie docierało, że w sprawie pojawia się senator.

– Tak, senator.

– A ta pani, to TA pani minister? [Wkrótce stała się jedną z najważniejszych osób w państwie – przyp. aut.] – pytam retorycznie.

– Tak. To wspólni znajomi. Senator z jej mężem w coś się uwikłali.

– I czego oczekujesz ode mnie? – Czuję, że chce mnie wciągnąć w temat, który znowu mi przysporzy kłopotów i wrogów.

– Żebyś zaczął głośno mówić, co się tutaj dzieje. Lokalne media są za słabe.

– To właśnie temat lokalny… Kto się tym zainteresuje w Warszawie?

– Właśnie dlatego tutaj nigdy się nic nie zmieni, bo to tylko lokalny temat… dla was, pismaków, dla polityków. A Polska to przede wszystkim Polska lokalna, takie świętokrzyskie, bielsko-bialskie, mazurskie, a nie Warszawka. Pokaż się w sądzie, zacznij pytać, dzwonić, udowodnij im, że i w tej Warszawce ważne jest, co się tutaj dzieje.

– Kiedy zapada decyzja o przedłużeniu sankcji?

– Za pięć dni – oznajmia.

– Okej, porozglądam się, daj mi kilka namiarów na ludzi, którzy chcą mówić. Wystąpię do sądu o udostępnienie akt.

Wysoki ponownie wybucha śmiechem, jego parsknięcie tym razem mnie irytuje. Dostrzega to i wygasza uśmiech.

– Sąd nie da wglądu do akt, przynajmniej do czasu wyborów – stwierdza.

Milczę, spoglądam na niego pytającym wzrokiem.

– W aktach są zeznania na senatora. Przy nich zeznania Brody [świadek koronny zeznający m.in. w sprawie byłego ministra sportu

– przyp. aut.] na Drzewieckiego to ukłucie komara.

– Co w nich jest?

Wysoki nie odpowiada.

2.

Piszę do sądu pismo:

Warszawa, 20 maja 2011
Szanowny Pan
Sędzia SSO Tomasz Zieliński
Sąd Okręgowy w Kielcach Wydział III Karny
Sygn. akt III K 109/10

W związku z pracami nad książką i dokumentacją do filmu dokumentalnego zwracam się z uprzejmą prośbą o:

• wydanie zgody na wgląd w akta sprawy o sygnaturze akt III K 109/10;

• umożliwienie realizacji zdjęć filmowych na wybranych rozprawach sądowych;

• zgodę na widzenia z oskarżonymi w ww. sprawie, przebywającymi w areszcie, po uzyskaniu od nich wcześniejszej zgody na rozmowę ze mną.

Z poważaniem,
Sylwester Latkowski

Zazwyczaj szybko otrzymuję odpowiedź, negatywną lub pozytywną, tym razem brak odzewu.

Przeglądając relacje prasowe z pierwszego dnia procesu, zauważam w nich imię i nazwisko mecenasa Irenusza Wilka, pełnomocnika pokrzywdzonych przez Człowieka z Lasu właścicieli Wtórpolu Ewy i Leszka Wojteczków. Poznałem go wiele lat temu, gdy zajmowałem się sprawą porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika, był pełnomocnikiem rodziny Olewników. Dzwonię do niego.

Niechętnie zgadza się na spotkanie. Moje krytyczne wypowiedzi o sprawie Olewnika wykopały rów między nami. Często krytykowałem postawę pełnomocników. Dopiero niedawno siostra Krzysztofa Olewnika w wywiadzie dla Wirtualnej Polski stwierdziła: „Latkowski zmienia swoją wersję co chwilę. Na początku był po naszej stronie, chciał wyjaśnić okoliczności porwania i śmierci Krzysztofa. Potem zmienił zdanie, twierdził, że to my jesteśmy winni, że to Krzysztof był taki czy owaki. Ostatnio znów jest po naszej stronie i chwała mu za to, że oprzytomniał".

W czasie spotkania mecenas Wilk zachowuje jednak rezerwę. Ma zasznurowane usta, nie może ujawnić akt.

– Zwróć się o nie do sądu – radzi.

– Zrobiłem to, sąd milczy.

– Możesz się zabrać ze mną na najbliższą rozprawę, pogadasz z sędzią. Nie widzę podstaw, by ci odmówił. Upublicznienie akt nie przeszkodzi w procesie ani w śledztwie.

– Śledztwie?

– Tak, bo śledztwo porozbijano na wątki. Nadal trwa – wyjaśnia oschle, dając mi do zrozumienia, że nie chce nic więcej na ten temat mówić.

– Usłyszałem, że nie otrzymam wglądu, bo są tam zeznania na senatora?

– Mam zasznurowane usta – odpiera z filozoficznym uśmiechem.

Widzę, że nic od niego nie uzyskam, jeszcze nie zagoiły się blizny, jakie powstały po książce, której współautorem był Piotr Pytlakowski – *Olewnik. Śmierć za 300 tysięcy*, po artykułach, po moich wypowiedziach w mediach o sprawie Olewnika.

– Kiedy jedziesz do Kielc?

– Za dwa dni. Mogę też cię poznać z państwem Wojteczkami, właścicielami Wtórpolu.

Przynajmniej coś, myślę.

Mogą spalić jej dom

Z Ireneuszem Wilkiem wyruszamy z Warszawy o świcie. Z operatorem i dźwiękowcem wsiadam do jego samochodu. Poza napisaniem książki postanowiłem także zrobić film. Zobaczę, co z tego wyjdzie. Rozpoczynamy nagranie. Wilk zaczyna mówić:

– Prowadzę na terenie województwa świętokrzyskiego kilka spraw. Ludzie zgłaszają się do mnie, dlatego że tu się urodziłem. – I urywa.

– Urodziłem się, wymień miejscowość – rzucam.

– Nie, nie chcę mówić, bo to będzie zagrożenie.

– Jakie? – pytam.

– Moja matka tam jeszcze mieszka. Nie mogę powiedzieć. Mogą spalić jej dom.

Kiedy później do niej zajeżdżamy, wjeżdża na jej posesję tak, by nie było widać jego samochodu, by jej z nim nie skojarzono.

– Tu spędziłem moje dzieciństwo, znam realia – ciągnie Wilk w czasie jazdy. – Znam tutejsze układy. Ludzie zgłaszają się do mnie z prośbą o poradę, dzielą się swoimi przemyśleniami i problemami.

Nie wypada to dobrze, pilnuje się, waży każde słowo. Przerywam nagranie. To nie ma sensu. Poza kamerą opowiada, gdzie się urodził, wychował, do jakiej szkoły chodził. Obiecuję, że nie wspomnę o tym w filmie i w książce.

Włączamy ponownie kamerę.

– Jadę teraz do Kielc na rozprawę tak zwanego Człowieka z Lasu. Jestem pełnomocnikiem rodziny Wojteczków, oskarżycieli posiłkowych w tym procesie. Zarzuty dotyczą zabójstwa, podpaleń, wymuszenia haraczy… Różne rzeczy do mnie docierały, jeszcze jako do młodego człowieka, ale nigdy nie sądziłem, że grupa Człowieka z Lasu była tak prężna, tak zorganizowana, a z drugiej strony mogła praktycznie przez dwadzieścia lat działać bezkarnie. Musiało być jakieś ciche przyzwolenie niektórych funkcjonariuszy policji.

Mijamy Skarżysko-Kamienną.

– W 2008 roku nastąpił przełom, głównie dzięki działaniu Leszka Wojteczka, właściciela firmy Wtórpol – kontynuuje Wilk. –

Podjęliśmy niezależne od policji i prokuratury działania zmierzające do rozpracowania tego gangu. Zaangażowaliśmy do tej sprawy kilku detektywów.

– Prywatne śledztwo? – rzucam zdziwiony.

Ireneusz Wilk nie chce jednak wyjawiać za dużo szczegółów.

– Tak, prywatne śledztwo – na tym kończy.

– Co było największym problemem? – pytam, by czegokolwiek się dowiedzieć.

– Zmowa milczenia – odpowiada. – Ona zawsze się bierze z bezsilności wobec wymiaru sprawiedliwości, który pozostawia ludzi samych sobie z ich problemami.

Kończymy nagranie. Nawet prawnik obawia się o siebie i swoich najbliższych, a co dopiero ludzie, którzy żyją tutaj na co dzień.

Przed Kielcami rzuca:

– Znasz sprawę Olewnika, to, czym są układy lokalne, jak niszczą każdego, kto chce się im przeciwstawić. Odnajduję podobieństwa tej sprawy do sprawy Olewników.

Pendrive Wysokiego

Kiedy w sądzie, w czasie rozprawy, pytam, czy dotarły moje pisma, uzyskuję potwierdzenie. Sędzia jednak milczy, jaką podjął decyzję. Wkrótce po moim powrocie do Warszawy otrzymuję odpowiedź. Wysoki miał rację.

Od: Karny [karny@kielce.so.gov.pl] Wysłano: 27 maja 2011 10:29
Do: sylwester@latkowski.com
Temat: pismo
Sygn. akt III K 109/10
Kielce, dnia 30 maja 2011 r.
Sz. P. Sylwester Latkowski
W odpowiedzi na Pana pismo (e-mail) z dnia 20 maja 2011 r. (data wpływu) Sąd Okręgowy w Kielcach Wydział III Karny informuje, iż nie wyraża zgody na wgląd w akta sprawy III K 109/10 oraz na widzenie z osadzonymi z uwagi na skomplikowany i zaawansowany bieg sprawy, natomiast wyraża zgodę na realizację zdjęć filmowych z jawnej rozprawy. Co do części niejawnej zgoda na nagrywanie nie może być udzielona.
Z upoważnienia SSO Tomasza Zielińskiego prot. sąd. Ewa Pieprzowska

– Na co liczyłeś? – Wysoki tym razem nie kpi, jak w czasie ostatniego spotkania. – Ale dobrze, że się pojawiłeś. Jest poruszenie, nie tylko w sądzie. Wiesz, że przedłużono wszystkim areszty?

– Tak, Wilk wspominał.

– Widzisz, wystarczy, że znany dziennikarz pokaże się na prowincji i już inaczej mielą koła wymiaru sprawiedliwości.

– Przesadzasz, że to moja zasługa.

– Na pewno wzmocniłeś działanie sędziego. On akurat ma dobrą opinię, ale żyje tutaj, pamiętaj.

Nie komentuję. O sędzi prowadzącej sprawę gangu Człowieka z Lasu także słyszałem dobrą opinię. Wysoki sięga ręką do kieszeni marynarki i wyciąga pendrive'a, z uśmiechem kładzie go przede mną.

– To prezent dla ciebie.

Spoglądam na pendrive'a i ponownie na twarz Wysokiego.

– Od tej pory uważaj na siebie, jak tu będziesz przyjeżdżał, nie parkuj w odludnych miejscach, najlepiej nie chodź po terenie sam.

Nie odpowiadam mu, przywykłem, że ostatnio przy każdym temacie, do jakiego się zabieram, słyszę takie same słowa ostrzeżenia. Mam poczucie, że pochodzą z taniego filmu kryminalnego klasy B. Śmieszy mnie to.

Rozmawiamy jeszcze z pół godziny i rozstajemy się z Wysokim. Przez chwilę bawię się pendrive'em, postanawiam dopiero w domu przejrzeć jego zawartość.

Kiedy to robię, uśmiecham się. Jest na nim akt oskarżenia gangu Człowieka z Lasu i ponad tysiąc stron protokołów przesłuchań. Akta Człowieka z Lasu.

To nie będzie bestseller

Przez kilka dni czytam akta Człowieka z Lasu. Sporządzam notatki, na biurku pojawia się pełno różnokolorowych fiszek. Po chwili przechodzę do elektronicznego skoroszytu Notebook. Od kiedy używam tego programu, na moim biurku panuje większy porządek i gubię mniej szczegółów. Po kilku dniach mam sporządzoną listę rozmówców, tematów do poruszenia, listę braków.

Rozmawiam wstępnie z kilkoma wydawnictwami książkowymi. Są zainteresowani, choć słysząc o temacie lokalnym, mają wątpliwości. „To nie będzie bestseller" – słyszę.

Coraz głębiej wchodzę w las Leszka K., Lecha D., senatora, Braci z Rejowa, męża pani minister.

Zabójstwo w Stąporkowie

1.

Z mojego notatnika:

Zabójstwo w Stąporkowie Tomasza P., 1 czerwca 2003 roku.

Kiedy zaczął bankrutować PKS, do tej pory monopolista w przewozie osób, w jego miejsce wchodziły prywatne firmy transportowe. Ludzie ściągali z Zachodu zdezelowane busy i autobusy i stawali się przedsiębiorcami transportowymi. Pracowali całymi rodzinami. Z czasem konkurencja zrobiła się tak duża, że dochodziło do sporów. W lutym 2003 roku doszło do konfliktu pomiędzy przewoźnikami Dariuszem K. i Arturem S. Obaj wzajemnie oskarżali się o podbieranie pasażerów z przystanków autobusowych.

Dariusz K. zwrócił się o pomoc do Człowieka z Lasu. Ten zadzwonił do Artura S., radząc mu, by nie wchodził w paradę Dariuszowi K. Groził. Artur S. wiedział, z kim ma do czynienia, więc postanowił poprosić o wsparcie Tomasza P., człowieka znającego wszystkich w okolicy, właściciela dyskoteki w Stąporkowie.

Wkrótce doszło do spotkania Tomasza P. z Człowiekiem z Lasu. Na miejsce rozmowy wybrali okolice baru Kalinka i kościoła. Każdemu z nich towarzyszyło dwóch mężczyzn.

Człowiek z Lasu postanowił rozpocząć negocjacje tak, jak najlepiej potrafił: nie wierząc w perswazję słowną, po wyjściu z samochodu podszedł do Tomasza P. i kopnął go w krocze, następnie posłał mu serię ciosów, okładając go po całym ciele. Tomasz P. postanowił się bronić. „Doszło do regularnego mordobicia" – wspomina jeden ze świadków tamtych zdarzeń. Nie wiadomo, czym by się to zakończyło, gdyby nie towarzyszący im mężczyźni, którzy postanowili ich rozdzielić.

– To jeszcze nie koniec – rzucił na pożegnanie Tomaszowi P. Człowiek z Lasu.

W aktach sprawy można odnaleźć lekarską obdukcję Tomasza P. wykonaną po tej bijatyce. Doznał obrażeń ciała w postaci sińców i otarcia naskórka na twarzy, uszkodzenia śluzówki wargi dolnej, dolegliwości

bólowych lewego łokcia i worka mosznowego, które to obrażenia skutkowały naruszeniem czynności narządów ciała na okres poniżej siedmiu dni.

Jeszcze tego samego dnia doszło do spotkania w domu Leszka K. z Kajtkiem i Mecenem. Człowiek z Lasu nie ukrywał oburzenia tym, że „ta dziwka", jak od tej pory nazywał Tomasza P., mu się postawiła i w jego przekonaniu pokonała w walce na pięści. Postanowił się zemścić. Podłożenie bomby pod jego samochód uznał za niewystarczającą karę. Polecił swoim ludziom obserwacje „dziwki". Mieli ustalić, co robi, gdzie i w jakim czasie przebywa.

2.

Wkrótce, w nocy z 28 lutego na 1 marca 2003 roku, w Skarżysku-Kamiennej doszło do pobicia Dariusza Z., który wynajął Człowieka z Lasu, aby załatwił spór z konkurentem. Jedną z osób, które uczestniczyły w tym rozboju, miał być właśnie Tomasz P.

Leszek K. wpadł w szał: zaatakowano człowieka, który był pod jego „ochroną". To dyshonor, którego nie mógł puścić płazem! Wezwał do siebie Kajtka i nakazał załatwienie materiału wybuchowego, bomby. Kajtek nie miał jednak takich możliwości, więc Człowiek z Lasu polecił załatwić „czystą" broń. Czystą, czyli do tej pory nieużywaną.

Według prokuratury Kajtek za 4 tysiące złotych zakupił od Marka z Końskich pistolet marki Walther długości ok. 22 cm, koloru czarnego, tak zwany obrzyn – broń długości 50–60 cm, z kolbą w kształcie gruszki, dobrze wyszlifowaną, ale nielakierowaną, z jedną lufą, ładowaną z boku po odciągnięciu zamka, i strzelbę myśliwską – tak zwaną dwururkę, która miała około 1 metra długości. Pistolet marki Walther i strzelba wyglądały na oryginalne, nowe. Strzelba miała ciemnobrązową, drewnianą kolbę, łamała się na wysokości cyngla. Do tych trzech sztuk broni nabył także około 120 sztuk amunicji, przy czym najwięcej do pistoletu Walther: około 100 sztuk, natomiast do pozostałych dwóch jednostek łącznie około 20 sztuk takiej samej amunicji o średnicy około 10–12 mm.

Broń odebrał Człowiek z Lasu. Kajtek zapamiętał, jak ten podniesionym głosem, wkurzony, powiedział:

– Musi się stać, co ma się stać… Dziwka musi ponieść karę, kara musi być konkretna, muszę go odpalić za to, co mi zrobił. Jego dzień przyszedł. Jak k…isko, dziwka, może się panoszyć… Wchodzić mi w drogę.

3.

Człowiek z Lasu postanowił wymierzyć sprawiedliwość i uratować swój honor. Według niego najlepszym i jedynym sposobem było zabicie Tomasza P. W nocy 1 czerwca 2003 roku w Stąporkowie, przy dyskotece mieszczącej się w budynku zlokalizowanym na miejscowym stadionie, około godziny 23, według prokuratury, Człowiek z Lasu, stojąc obok kontenera ze śmieciami, w odległości około 20–25 metrów, używając broni w postaci samodziału – obrzyna, oddał w kierunku pleców dobrze widocznego w świetle lamp Tomasza P. jeden celny strzał, po którym Tomasz P. przeszedł kilka kroków, po czym przewrócił się na ziemię.

Jeszcze żył. Wezwano pogotowie ratunkowe. Przewieziono go do szpitala w Końskich. Przez kilka godzin trwała walka o jego życie. Niestety bezskuteczna. O piątej rano zmarł.

Następnego dnia Kajtek przy użyciu szlifierki kątowej pociął broń, z której padł strzał, na małe kawałki. Kilka kawałków zakopał w pobliżu domu, a część wyrzucił do wody w rzece, która płynie przez Skarżysko Książęce.

4.

W akcie oskarżenia gangu Człowieka z Lasu czytam:

Leszek K., przesłuchany w charakterze podejrzanego (o zabójstwo Tomasza P.), nie przyznał się do jego popełnienia i odmówił składania wyjaśnień zarówno w zakresie tego przestępstwa, jak też innych przestępstw zarzuconych mu w ramach śledztwa.

Mścili się na nagrobku mojego brata

Na jednym z procesów w Kielcach spotykam siostrę zastrzelonego Tomasza P. Na sali sądowej dochodzi do buntu oskarżonych, którzy na widok mojej ekipy zaczynają protestować przeciwko filmowaniu i mojej obecności. Nie chcą rejestracji procesu! Strach pomyśleć, co by się wydarzyło, gdyby nie byli w kajdankach, a na sali nie siedzieli policyjni antyterroryści, w kominiarkach, z długą bronią. Sędzia jednak im nie uległ.

Kiedy później spoglądam na ekran, na którym widzę zbliżenia ich twarzy, spostrzegam Lecha D., jak ukrywa twarz w dłoniach. Nie wygląda na obłożnie chorego.

Siostra Tomasza P. zgadza się na rozmowę, ale stawia jeden warunek. Nie pokażę jej twarzy. Ustawiam ją tyłem do kamery.

– Boi się pani pokazać twarz? – pytam.

– Tak.

– Dlaczego?

– Dla mnie i dla moich bliskich ta sprawa nie jest łatwa. Jestem pełna obaw. Po każdym występie w telewizji, po każdym kroku, jaki robiliśmy, by walczyć o sprawiedliwość, oskarżeni mścili się na nagrobku brata.

– Na nagrobku?

– Tak, tłukli go. Przykre to dla nas. Jemu nikt już nie mógł zrobić większej krzywdy, ale nam tak. Zawsze to wszystko później wracało.

– Kiedy obserwuję salę sądową, widzę, że są bardzo butni, pewni siebie – mówię.

– Tak, cały czas to obserwuję.

– Pani wierzy, że wszyscy, którzy powinni, znaleźli się na ławie oskarżonych?

– Na pewno nie.

– Kiedy dowiedziała się pani o śmierci swego brata?

– W dniu zabójstwa. W środku nocy. Telefon do domu. Ktoś go postrzelił. Zbieram się z najbliższymi, jedziemy. Później w szpitalu długie oczekiwanie. W końcu wychodzi lekarz z sali operacyjnej i przedstawia nam najgorszą diagnozę, czyli śmierć. Bratowa staje się wdową, zostaje sama z ośmiomiesięcznym dzieckiem. Ciężko o tym mówić.

– Jak to było możliwe, że Człowiek z Lasu tyle lat działał i policja nie reagowała?

– Nie wiem, o to trzeba by było zapytać samą policję.

Patrzę na jej twarz, oczy. Jest wypalona. Na granicy zrezygnowania.

– Cały czas drążyliśmy ten temat, pukaliśmy w każde drzwi, aż wreszcie ruszyło.

– Pukaliście w każde drzwi?

– Wizyty u komendanta wojewódzkiego, programy w telewizji. Mogę dodać, że pół roku po zabójstwie sprawa została umorzona.

Odwoływaliśmy się i wtedy znowu ruszyło. I kolejne umorzenie. I tak ciągle.

Ryży

W aktach sprawy znajduję zeznanie Sz., który opowiada o współpracy policjantów ze Stąporkowa z bandytami i załatwianiu spraw za łapówki.

Czytam:

W związku z tym powiedział, żebym poszedł do policjanta z Komisariatu w Stąporkowie, na którego w Stąporkowie mówiono „Ryży". Ja wiedziałem, o kogo chodzi, bo widywałem go w Stąporkowie i wiem, że on nadużywał alkoholu, często pił wódkę z Markiem K. Następnie pojechaliśmy samochodem Łukasza K. marki chyba Opel Vectra do policjanta ze Stąporkowa, który mieszka w Wólce Plebańskiej i był wtedy zastępcą komendanta Komisariatu. Pamiętam, że nazywał się on Sz. On już nie pracuje w policji, bo miał jakiś wypadek, potrącił dziewczynę i zbiegł z miejsca zdarzenia. Powiedział, że pomoże w tej sprawie, że zorientuje się, co tam jest dokładnie i co zeznawali świadkowie. Wspomniał, że remontuje dach i musi zapłacić robotnikom. Zrozumiałem, że on będzie chciał pieniądze za tę pomoc, ale nie padła żadna kwota. Mogę stanowczo stwierdzić, gdyż dobrze to pamiętam, że za załatwienie tej sprawy matka Łukasz K. dała mi najpierw 1500 zł, które ja następnie wręczyłem Sz.

Kajtek wspomina prokuratorowi o innych skorumpowanych policjantach. Człowiek z Lasu miał mieć swojego glinę w Końskich:

W czasie przesłuchania Leszek K. zeznał, że niczego nie wie w sprawie kradzieży pojazdu. On był uprzedzony o przesłuchaniu przez jakiegoś policjanta z Komendy w Końskich, który przekazywał mu wszystkie in-

formacje z toczącego się śledztwa. Ja nie podaję jego nazwiska, chociaż wiem, o kogo chodzi…

Inny policjant, tym razem ze skarżyskiej komendy, miał uczestniczyć w przekazywaniu okupów za skradzione samochody. W maju 2002 roku skradziono przy kościele volkswagena passata kombi. Kajtek zeznał: „Kobieta ta powiedziała, że ma znajomego policjanta ze Skarżyska-Kamiennej i ten policjant wraz z Leonem D. pośredniczyli w zapłaceniu okupu. Od Leszka wiem, że policjant ten przyniósł mu pieniądze, a on z kolei zapłacił 5000 zł Leszkowi K.”.

Niepokornych policjantów karano za nadgorliwość.

Kajtek: – Leszek K. zlecił nam dokonanie kradzieży samochodu należącego do jakiegoś policjanta ze Skarżyska-Kamiennej – mieliśmy ukraść renaulta lagunę czy safrane, wynikało to z tego, że policjant ten nie chciał podporządkować się ogólnie panującej atmosferze w komendzie i za bardzo interesował się nami, próbował obserwować nas i ja rozumiem, że chciał łapać przestępców, był „nadgorliwy” i nie słuchał Leona D. Za karę miał mu zginąć samochód.

Truli psy dla zabawy

Kajtek: – Pod bramę firmy podszedłem około 22.00. Mieliśmy otruć pilnujące psy. To były duże wilczury. Mieliśmy truciznę, którą dostałem od Leszka K. To była substancja o konsystencji ziarenek maku, w ciemnym kolorze. Nie miała zapachu. Po niej psy zdychały prawie natychmiast. Używałem jej wielokrotnie, zauważyłem, że zawsze bardzo puchły im odbyty. Nie wiem, gdzie Leszek kupował truciznę. Pamiętam, że bracia Sz., o pseudonimach Gienek i Mecen, dla zabawy chodzili po wsiach i truli psy. Mieszkańcy myśleli, że to jakaś zaraza.

Napad na tira z papierosami

Kajtek: – Gdy stróż przechodził obok kontenera, Leszek K. chwycił go ręką za szyję od tyłu i obezwładnił, przewrócił na ziemię. Został przyciągnięty w pobliże kosza na śmieci i tych pudełek kartonowych. Na ręce miał założone kajdanki od tyłu…. Usta miał zaklejone taśmą klejącą… Wcześniej mu powiedzieli, żeby nie krzyczał, to nic mu się nie stanie. Został położony twarzą do ziemi w tych kartonach i nimi przykryty… Po tym Leszek K. z Tadkiem poszli do budynku do drugiego strażnika. Jak go obezwładnili, to nie wiem, ale na pewno to zrobili.

Papierosy miały wartość ponad 1 miliona złotych.

– Za napad na tego tira dostałem od Leszka K. w sumie 140 tysięcy złotych… Wiem, że Mecen dostał 60–80 tysięcy. Kupił sobie za to na pewno bmw E36 coupé, koloru czarnego. Ile dostał Tadek, nie wiem, ale wiem, że więcej ode mnie. Tadek za te pieniądze zrobił sobie m.in. kostkę brukową na całym podwórku. Nie wiem, ile dostał brat Tadka ani Kotlet. Kotlet za te pieniądze zaczął budowę domu. Leszek K. na pewno wziął najwięcej. Za część tych pieniędzy kupił sobie nowego czarnego passata w salonie w Katowicach.

Busy w ogniu

Jadę do Bliżyna, 147 km od Warszawy. Staję przed posesją, ogrodzoną nadpalonym płotem, przy którym stoi autobus. Dzwonię. Po chwili pojawia się starszy mężczyzna w kraciastej flanelowej koszuli. Poznaje mnie; zna z telewizji, jak wyjaśnia, i zaprasza na posesję, na której jest pełno śladów tego, co się stało trzy lata temu. Nie ma siły tego posprzątać. Zdołał jedynie odmalować elewację domu.

– Otruli psy, wcześniej je czymś podkarmiali – opowiada. – Dlatego nie szczekały.

Pokazuje na spalone części pozostałe po autobusie i busach, osmalony tynk i płot.

– To jest długa historia.

Zaprasza mnie do siebie do domu. Siadamy w salonie przy stole. Wyciąga z szafy gazety.

– To jest skarżyska „Gazeta”, artykuł „Busy w ogniu”. A to było w „Trybunie”. – Pokazuje następną. – To wszystko, co mi zostało.

Każda z ofiar, którą poznaję, skrzętnie chowa gazety, które opisywały ich tragedię. Starannie je zabezpieczają. Kiedy mi pokazują, mam wrażenie, że to najważniejsze dokumenty, jakie posiadają w domu. Mój obecny rozmówca jest w tym podobny do innych. Od dwudziestu lat prowadzi z synem działalność przewozu osób. Poszło o konflikt z konkurencyjną firmą D., założoną przez byłego policjanta, która weszła im w trasę. Podbierała klientów, przyjeżdżając kilka minut przed nimi na przystanki autobusowe.

– Oni chcieli się szybko dorobić, a my z synem nie mieliśmy pojęcia, że robią to przy pomocy Człowieka z Lasu. Mamy dwóch kierowców z tamtej miejscowości [z Ciechostowic, rodzinnej wioski Leszka K. – przyp. aut.], tam się wszyscy go bali. Nikt nam w tej sprawie nie chciał pomóc.

Milknie.

– Zaczęło się od używanego forda transita, przedłużanego, którego ściągnąłem z Niemiec. Na swoje nieszczęście. To był błąd. D. zaczynał żukami, nyskami. Nie było w nich siedzeń, to na klockach drewnianych ludzi wozili. Jak zatrzymywała ich policja i zabierała dokumenty, to płacił łapówkę i tak je odzyskiwał. Jeden z kierowców D. był zięciem Człowieka z Lasu. Ja woziłem drugą zmianę do Wtórpolu.

– Wtórpolu?

– Tak.

POLICJA
POLICJA

– Dziwna zbieżność – rzucam bardziej do siebie niż do niego.

– Oni mnie obserwowali. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że oni chcą mnie podpalić. Rozmawiałem z tym D., wsadził się jak majtki w krok, wiedział, że tu dla dwóch przewoźników nie ma miejsca. Miał do mnie żal, że ja na niego pisałem skargi i on dostał karę. Ale słusznie przecież. Poszedłem do komendanta policji, Duda się nazywał, by zatrzymali tego i tego – nic nie zrobili. Słyszeliśmy od ich kierowcy, że wożą broń do Włoch, narkotyki, mieli podwójne podłogi w samochodach.

Urywa.

– Żona załamała się całkowicie. Czwarta rano, 25 maja, dwa lata temu. Obudził nas huk, strzały, jakby ktoś z karabinu strzelał. Odsunąłem zasłonkę, patrzę, a w oknach sąsiada czerwono. Lecę na podwórko, widzę palące się busy. Patrzę, psy leżą. Wymiotowały. Jak przyjechała straż, to było biało. Przyjechali z policji. Mówię, kto to mógł być, słyszę: „Panie Tadziu, jak ja bym się wziął za nich, toby mnie z policji wyrzucili”. Taką mamy policję. Tu jest wszystko tak zagrzebane.

Kończymy rozmowę, wychodzimy z domu. Przystajemy przy spalonym płocie.

– Niedługo wymienię sztachety, ale to nie jest takie proste odbić się finansowo po tym wszystkim.

Kiedy odwiedzam go kilka miesięcy później z ekipą filmową, na posesji nie widać zmian. Nadal nie stać go na to, by zrobić płot, trzeba raty za nowego busa płacić.

– Mówi pan, że ten Człowiek z Lasu to bandyta – rzucam do niego.

– Jemu na niczym nie zależało.

– Zgłaszał pan to na policję? – pytam.

– Tak, ale im było wszystko jedno. Najgorsze jest to, że wymiar sprawiedliwości sam w tym wszystkim ręce maczał. Nie da się powiedzieć, że coś robili… Jeśliby coś robili, to oni by się ustatkowali… Byli bezkarni… Tutaj siedem tablic rejestracyjnych od samochodów policyjnych, spod komendy, ukradli i puścili ich.

Broń dla camorry

Camorra to tajna organizacja przestępcza, działająca na terenie Neapolu i w całym regionie Kampanii. Opisał ją w swojej książce Roberto Saviano. Tworzą ją klany zajmujące się handlem narkotykami, zabójstwami, przemytem papierosów, praniem brudnych pieniędzy. Jej roczne obroty przekraczają miliard euro. Macki camorry sięgają także województwa świętokrzyskiego.

W kwietniu 2010 roku Bertold Kittel i Jarosław Jabrzyk na antenie TVN zaprezentowali reportaż, w którym pokazali, że polscy handlarze bronią dostarczali ją camorze. Miało się to odbywać za pośrednictwem Francesco Siciliano. Kittel i Jabrzyk tak to opisali:

Z jego podsłuchanych rozmów telefonicznych wynikało, że pośredniczy on pomiędzy grupą Polaków a przywódcami klanów camorry. Z podsłuchiwanych rozmów wyłaniał się coraz bardziej precyzyjny obraz szlaku przerzutowego broni. Grupa polskich kurierów dostarczała kolejne transporty broni, wykorzystując mikrobusy, które regularnie przywożą

polskich robotników w okolice Neapolu. Oferta broni była tak bogata, że przemytnicy dostarczyli szefom klanów katalogi broni. Oferowano broń idealną do zabójstw: szybkostrzelne pistolety Skorpion i rewolwery, reklamowane przez handlarzy jako niewyrzucające łusek. Polacy byli tak sprawni, że zapewniali nawet serwis wadliwych modeli.

Kiedy prowadzący śledztwo karabinierzy uzyskali informacje o zbliżającym się dużym transporcie, postanowili zorganizować zasadzkę. – Od Neapolu obserwowaliśmy mikrobus, którym miała jechać broń – mówi jeden z karabinierów, który brał udział w śledztwie.

Kierowca wysadził pasażerów, a potem skierował się w stronę miasteczka Sant'Anastasia. Tam pod pretekstem wykroczenia drogowego został zatrzymany do kontroli. Przeszukanie trwało wiele godzin. – Musieliśmy go praktycznie rozkręcić na części pierwsze. Okazało się, że broń była ukryta w skrytkach wbudowanych w ściany mikrobusa – mówi rozmówca TVN. Znaleziono 7 pistoletów Skorpion i amunicję.

W wyniku operacji karabinierzy zatrzymali czterech Polaków i włoskiego pośrednika, Francesco S. Wszyscy zostali aresztowani, dostali niskie wyroki wyłącznie za jednorazowy przemyt. Po wyjściu z więzienia Polacy wyszli na wolność i wrócili do kraju.

Według ustaleń dziennikarzy śledczych TVN do zorganizowania kanału przerzutowego doszło za pośrednictwem mieszkającej pod Neapolem Polki.

Została ona żoną Francesco S., od wielu lat członka camorry. Ona poznała męża z Tomaszem C., ukrywającym się pod Neapolem bandytą z Polski.

Tomasz C. nawiązał kontakt z grupą przestępczą Andrzeja K., ps. Tidu, specjalizującą się w handlu narkotykami i handlu bronią. Grupa została rozbita przez Centralne Biuro Śledcze, obecnie toczy się proces jej członków. To właśnie żołnierze gangu Andrzeja K. zostali kurierami, którzy pod pretekstem przewozu osób zaczęli dostarczać pistolety maszynowe do Włoch.

Włoskiej prokuraturze nie udało się ustalić najważniejszej informacji: źródła pochodzenia broni. – Najprawdopodobniej należał on do arsenałów dawnej Czechosłowacji – mówi prokurator d'Onofrio. – Grupa

była bardzo dobrze zorganizowana: pierwsze ogniwo dostarczało broń do Polski, potem ktoś ją przechowywał, organizował przerzut do Włoch, a tam Tomasz C. przekazywał ją włoskiemu pośrednikowi.

Z informacji Bertolda Kittela i Jarosława Jabrzyka wynika, że Tomasz C. wrócił do Polski i dalej się ukrywa. Rafał B., jeden z kurierów, także jest na wolności, w Kielcach kończy się jego proces za inne przestępstwa, w którym odpowiada z wolnej stopy. Wciąż pracuje jako kierowca busa. Kiedy chcieli z nim porozmawiać, na sam widok ekipy rzucił się do ucieczki, porzucając mikrobus na środku dworca. Kiedy odnaleźli go kilka tygodni później, nie chciał z nami rozmawiać.

– Nie ma o czym – powiedział i zniknął w głębi mieszkania.

Źródło: http://sledztwo.tvn.pl/32680,bron_dla_camorry,artykul.html

Kradzież za karę

Kajtek: – Wiem, że polecenie kradzieży samochodu wydał Leszek K., który był zły na księdza proboszcza z Majdowa, bo ten go krytykował. Karpeta był obrażony na niego i polecił nam ukraść mu samochód, żeby proboszcz dał mu spokój i nie krytykował go. Proboszcz miał wcześniej samochód terenowy, ale sprzedał go i nie zdążyliśmy go ukraść… Ja zacząłem otwierać samochód, kiedy Darek dał znać, że ktoś nas zauważył z tego bloku i ktoś tam zaczął krzyczeć. My, uciekając z garażu, rozbiliśmy boczną szybę w tym mercedesie żeby zostawić księdzu znak, że kradzież jego samochodu nie była przypadkiem. Po nieudanej kradzieży tego mercedesa ja mówiłem Leszkowi K., że wywiążę się z zadania i w końcu ukradnę ten samochód księdzu, ale z tego, co wiem, to ksiądz pogodził się z Leszkiem K. i przestał go krytykować, na co Leszek powiedział mi, żebym na chwilę odpuścił już sobie ten samochód.

Podjeżdżam pod parafię. Nikt mi nie chce otworzyć. Dzwonię na podany numer telefonu. Mój rozmówca stanowczo odmawia rozmo-

wy.

Napady

Gang Leszka K. żył przede wszystkim z napadów. Jeden z braci Sz. w czasie konfrontacji z Kajtkiem opowiada o napadzie „na śpiocha" na małżeństwo w Górnie w 2000 roku:

– Po otruciu psów było cicho i spokojnie. Najpierw próbowaliśmy wyrwać drzwi wejściowe, ale nie udało się, bo były solidne. Przypominam sobie, że odcięliśmy przewód telefoniczny przy domu… Rozeszliśmy się po pomieszczeniach, żeby stwierdzić, ile jest osób, po czym zaczęliśmy przeszukiwać mieszkanie za pieniędzmi. W pewnym momencie domownicy się obudzili, więc my we trzech dopadliśmy do nich. Mężczyzna się szarpał, więc któryś z nas uderzył go, związaliśmy mu ręce i nogi taśmą, jaką przynieśliśmy ze sobą, a także zakleiliśmy usta. To samo zrobiliśmy z kobietą. Groziliśmy jej, że jak nie powie, gdzie są pieniądze, to ich pobijemy, zabijemy… Po napadzie zdałem relację Leszkowi K. i on powiedział, żebyśmy się podzielili we czterech tymi pieniędzmi.

Rok później w tej samej miejscowości dokonali następnego napadu.

– Zapaliliśmy światło i zobaczyliśmy stojącą w kuchni starszą kobietę. Myśmy zaczęli wołać od niej pieniędzy, a ona na to, że ten chuj, co tam śpi, co ją bije, to on ma pieniądze, bo ma emeryturę po wojsku, a ona to pieniędzy nie ma… Następnie poszliśmy do tego starszego mężczyzny, powiązaliśmy go i żądaliśmy pieniędzy, być może, że go szarpnęliśmy i biliśmy. On nam odpowiedział, że on to walczył za Polskę, a my to skurwysyny. Babcia odezwała się, że on wpłacił pieniądze na książeczkę oszczędnościową. Oni przy nas się wyzywali wzajemnie, babcia wypominała mu, że pije i nie daje jej pieniędzy. Potem zabraliśmy karton papierosów i pieniądze, chyba ze sto złotych, bo więcej nie znaleźliśmy.

Część czwarta

Tajemniczy zleceniodawca podpalenia

1.

Czytając akt oskarżenia, nie odnajduję nazwiska Senatora. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pojawia się on w poruszonej w akcie sprawie podpalenia gabinetu stomatologicznego Marty N. Miało to miejsce w nocy z 7 na 8 lipca 2006 roku. Prokurator tajemniczo pisze:

W tym przypadku polecenie podpalenia wyszło od Leszka K., jednak zlecenie zniszczenia miało pochodzić jeszcze od innej osoby, w sprawie, w której postępowanie jest w dalszym ciągu prowadzone.

Dalej tak opisuje wspomniane zdarzenie:

W przygotowaniach do tego przestępstwa brał udział Zbigniew W. [czyli Kajtek – przyp. aut.], który prowadził obserwacje gabinetu stomatologicznego pokrzywdzonej. Wynikało z nich, że Marta N. ma dużo klientów. Obserwacje te prowadzone były od dłuższego czasu, to jest co najmniej od marca 2006 roku.

Do podpalenia wyznaczony został Rafał S. wraz z podległymi mu Michałem B. i Grzegorzem K.

W dniu zdarzenia Zbigniew W. podwoził Michała B. do miejsca zbiórki w pobliżu miejsca, gdzie mieścił się gabinet stomatologiczny.

Jak ustalono, do podpalenia doszło w nocy z 7 na 8 lipca 2006 roku około godziny 3.00. O tej porze pracownicy piekarni Batmar przy ul. Sokolej w Skarżysku-Kamiennej wyszli na teren sklepu Batmar, przyle-

gającego do tej piekarni. W pewnym momencie usłyszeli huk podobny do wybuchu i brzęk szkła upadającego na chodnik. Przez szybę sklepową zobaczyli, że po przeciwnej stronie ulicy Sokolej pali się jeden z pawilonów. Razem z obecną w sklepie ekspedientką zawiadomili straż pożarną, a następnie obaj, zaopatrzywszy się w gaśnice z piekarni, udali się w kierunku pożaru. Przy użyciu posiadanych gaśnic udało im się ugasić ogień jeszcze przed przybyciem straży pożarnej, która ograniczyła się do zabezpieczenia miejsca pożaru.

W trakcie oględzin pogorzeliska zabezpieczono fragmenty butelki po wódce „Pan Tadeusz". W szyjce tej butelki znajdował się zwęglony fragment tkaniny.

Przeprowadzona ekspertyza fizykochemiczna zabezpieczonych dowodów nie stwierdziła na nich substancji łatwopalnych.

Na przedmiotowej butelce ujawniono ślady linii papilarnych. Zostały one następnie poddane badaniom porównawczym ze śladami osób podejrzanych o to przestępstwo, ale badanie dało wynik negatywny.

W wyniku ognia zniszczeniu uległo mienie w postaci całości wyposażenia gabinetu stomatologicznego położonego na parterze budynku dwukondygnacyjnego.

Pokrzywdzona w swoich zeznaniach nie miała żadnych podejrzeń co do sprawców tego czynu. Zeznała jednak, że w okresie od 5 marca 2006 roku do 25 maja 2006 roku otrzymywała na swój telefon komórkowy o numerze 602 XXX XXX szereg głuchych telefonów, a także wiadomości tekstowe. Jedną z nich, wysłaną 11 marca 2006 roku, uznała za groźbę spowodowania obrażeń ciała. Złożyła stosowny wniosek o ściganie sprawcy. Numer 602 XXX XXX był numerem, który występował na wizytówkach jej gabinetu stomatologicznego. Głuche telefony i SMS-y z groźbami były wykonywane z telefonu o numerze 506 XXX XXX.

Jak wynikało z wyjaśnień Zbigniewa W., rozmowy te prowadził Michał B., przy czym w jego ocenie nie miały one charakteru groźby, a raczej żartu.

Biegły z zakresu pożarnictwa w swojej opinii stwierdził, że przyczyną powstania pożaru było umyślne podpalenie, na co wskazuje miejsce zarzewia ognia oraz ujawnione ślady w postaci fragmentu butelki z zatkniętym knotem (na posadzce po prawej stronie od wejścia) i wyczuwalnym zapachem substancji ropopochodnej, wybitej szyby. Źródło pożaru

znajdowało się przy wejściu do gabinetu pomiędzy drzwiami a oknem. W tym miejscu widoczne są największe wypalenia. Na szybach, ścianach oraz suficie widoczne są lekkie okopcenia, co świadczy o tym, że wystąpiło spalanie płomieniowe z małą ilością wydobywającego się czarnego dymu. Szyba okienna jest wybita, jej fragmenty w postaci szkieł leżą wewnątrz pomieszczenia. Niektóre szkła nie noszą śladów okopceń, co świadczy o tym, że szyba była zbita przed powstaniem pożaru. Biegły wykluczył inne przyczyny pożaru, takie jak zwarcie instalacji elektrycznej, prace pożarowo niebezpieczne, zaprószenie ognia od porzuconego niedopałka.

Leszek K. i Rafał S., przesłuchani w charakterze podejrzanych, nie przyznali się do popełnienia tego czynu. Michał B. nie przyznał się do wysłania groźby wobec Marty N. 11 marca 2006 roku. W tym ostatnim przypadku decydujące dla bytu przestępstwa było stanowisko pokrzywdzonej. Przy ocenie, czy zaistniało przestępstwo z tego artykułu, istotne jest bowiem subiektywne zdanie pokrzywdzonego takim przestępstwem. Mając na uwadze ilość wcześniejszych SMS-ów i treść wiadomości tekstowych oraz to, co w ostateczności stało się z jej mieniem, uznać należy, że już wówczas groźba była uzasadniona.

2.

Dzwonię do gabinetu stomatologicznego Marty N. Odbiera wpierw jej asystentka, następnie ona, jednak nie chce rozmawiać ze mną o tamtym zdarzeniu, wpada w panikę. Odkłada słuchawkę. Po chwili dostaję SMS-a, że mój telefon zostanie zgłoszony na policję. Dzwonię na numer, z którego został wysłany SMS, odbiera mąż Marty N. Słyszę jego podenerwowany głos. Ponownie się przedstawiam, tłumaczę, kim jestem i w jakim celu dzwoniłem. W głosie swego rozmówcy wyczuwam już mniejsze napięcie. Ulgę. Nie zgadzają się jednak na rozmowę.

Pięć lat minęło od tamtego zdarzenia, a oni nadal się panicznie boją.

Zlecenie Senatora

Przeglądam protokoły przesłuchań Kajtka. Jest! Stoi jak byk jego imię i nazwisko. 8 stycznia 2011 r. w sprawie nr RDS 38/09, VDs.52/09/Sp, Zbigniew W. zeznał:

Wiadomo mi również o podpaleniu gabinetu dentystycznego latem 2006 w Skarżysku-Kamiennej na Osiedlu Przydworcowym, w pawilonach baru Jagera [Jager wystąpi w dalszej części opowieści jako osoba wspierająca kampanię wyborczą Senatora – przyp. aut.], naprzeciwko piekarni Batmar. Było to na pewno przed spaleniem sklepu Aldik. Tego jestem pewien, bo Czubek był jeszcze na wolności. (…)

Osobiście nie brałem w nim udziału, mam wiedzę o sprawcach i zleceniodawcy. Z bezpośrednich rozmów z Leszkiem K. wiem, że inicjatorem zdarzenia był Senator (w protokole widnieje imię i nazwisko), który kiedyś był ordynatorem oddziału położniczego w szpitalu w Skarżysku-Kamiennej, później był dyrektorem szpitala, a obecnie jest senatorem.

Senator od dawnych lat utrzymywał kontakty z takimi osobami ze świata przestępczego, jak Leszek K., Lech D. (pseudonim Leon, Komendant), a także Kotlet z Radomia.

Około tydzień przed podpaleniem Leszek K. zadzwonił do mnie, żebym podjechał pod dom pana Senatora. Nie pamiętam, co wtedy Leszek K. ode mnie chciał. Być może miał mi coś do przekazania, np. pieniądze. Ja podjechałem swoim mercedesem sprinterem i zobaczyłem, że przed domem Senatora na drodze stał samochód Mercedes, tak zwany okularnik, należący do Lecha D., i samochód marki VW Passat, należący do Leszka K. Kiedy podjechałem, na drodze spotkałem się z Leszkiem K., który przekazał mi, co miał do przekazania. Mógł to być komputer córki Leszka K., który miałem dostarczyć do naprawy. Ja stamtąd bardzo szybko odjechałem. (…)

Niedługo potem, prawdopodobnie następnego dnia, Leszek K. powiedział do mnie, że gabinet dentystyczny ma być zniszczony. Leszek K. mówił mi, że zlecenie zniszczenia gabinetu pochodzi od Senatora. Nie pamiętam dokładnie, czy mówił mi bliżej, z jakich motywów Senator przekazał takie zadanie, ale prawdopodobnie chodziło o jakiś zatarg, jaki miał z dentystką.

Potem kilkakrotnie podjeżdżałem na obserwację gabinetu w celu ustalenia, do której godziny dentystka przyjmuje pacjentów. Widziałem, że przyjmowała czasami do późnych godzin, miała wielu pacjentów. Swoje spostrzeżenia przekazywałem od razu Rafałowi S., ps. Cypis, ponieważ on przyjął zadanie do realizacji.

Z bezpośrednich rozmów wiem, że w podpaleniu brała udział ta sama ekipa, o której wcześniej wyjaśniłem, czyli: Rafał S., ps. Cypis, Michał B., ps. Miniu, Czubek. O tych osobach wiem i nie mam wątpliwości co do ich udziału, ponieważ przed i po zdarzeniu rozmawiałem z nimi na temat tego podpalenia, a Michała B. podwoziłem w pobliże miejsca zdarzenia. (…)

Wiem, że wykonawcy otrzymali od Leszka K. zapłatę za podpalenie gabinetu dentystycznego i najwięcej otrzymał Cypis, ale nie wiem, jakie to były kwoty. Wyższa zapłata Cypisa wynikała z jego pozycji w grupie. W przypadku pozostałych osób, dopiero wchodziły do grupy, oni oprócz zapłaty za wykonanie poszczególnego zadania mieli jeszcze innego rodzaju korzyści, np. mogli uchodzić w środowisku za naszych kompanów i mogli się tym szczycić, mieli przyzwolenie na handel narkotykami lub drobne kradzieże.

Z rozmów z Leszkiem K. wiem, że Senator płacił mu za podpalenie. (…) Mówił w mojej obecności, cytuję: „Niech dyrektorek płaci”. Dyrektorek to było jego określenie, Senatora.

Część piąta

Wszyscy się znamy

1.

Dociera do mnie informacja o podpaleniu także innego gabinetu lekarskiego w Skarżysku-Kamiennej. Poszkodowanym jest lekarz, zgadza się ze mną rozmawiać. Zaprasza do szpitala. Parkuję na dziedzińcu szpitala, tuż koło miejsca przeznaczonego wyłącznie dla taksówki o numerze bocznym 35. Przyczepiona do elewacji tablica ostrzega: „Parkowanie w tym miejscu będzie zgłaszane do urzędu skarbowego”.

Lekarz prowadzi mnie do swojego pokoju, zaparza herbatę, przez cały czas obserwując mnie uważnie. Domyśla się powodu mojej wizyty.

– On jest moim kolegą, ale niestety jest uwikłany w to, co dzieje się w Skarżysku – oznajmia.

– Szpital wydaje się miejscem kluczowym – rzucam.

– Zaangażowaliśmy się z nim w zmiany w Polsce, z Donaldem jesteśmy kolegami. Ja z czasem zostawiłem politykę, Senator zaangażował się bardziej.

– Przychodzę, bo panu także podpalono gabinet – postanawiam przejść do rzeczy.

– Próbowano – odpowiada, niezdziwiony pytaniem, i wyjaśnia spokojnie: – Przy mieszkaniu mam gabinet, była noc, okna w nim zostawiłem otwarte, przez nie wrzucono dwie butelki z jakąś łatwopalną substancją, z butelek wychodziły lonty. Były podpalone, na szczęście zgasły. Gabinet sąsiaduje z pokojem syna. Rano obudził nas i mówi, że śmierdzi w mieszkaniu benzyną.

– Wykryto sprawców?

– Nie. Było widać, że się tym nie zajmują – stwierdza bez emocji. To wygaszenie, ten spokój w głosie pokazują, że pogodził się ze wszystkim i uznał, że nie ma wpływu na bieg wypadków. Od kiedy zostawił politykę, może już spokojnie spać.

– Domyśla się pan, kto to zlecił?

– Ktoś z tego towarzystwa… To było na przełomie kadencji samorządu, drugiej czy trzeciej, jesienią 1998. Przejęliśmy władzę w mieście i powiecie… i pokrzyżowaliśmy plany tym, którzy dotychczas rządzili, chodzi o grupę związaną z Braćmi, z Rejowem… Mogę domniemywać, że to z tego powodu.

– Czym się pan naraził?

– Poprzednia rada była SLD-owska, oni sprywatyzowali miasto, Skarżysko, my to ucięliśmy… To była przestroga, żebym się nie angażował. Ludzie byli zastraszani. Ale nie udało się.

– Kto był w tym SLD-owskim układzie?

– Przewodniczący rady, N., nie porozmawia pan już z nim, zmarł. Energiczny człowiek, ale do robienia swoich interesów… Prezydent M., U. Ale także ważni posłowie, J. i D.

– Wspomniał pan o Braciach z Rejowa.

– Bo oni są symbolem zła tego miasta – śmieje się. – Każde wybory były przekupione przez nich. Kupione za wódkę. Głównie przez A., bo W. jest spokojniejszy… Kupują głosy w lombardach, przed sklepami… Robią, co chcą, bo policja i prokuratura są słabe… Wie pan, że były komendant Piotr Ż. niedawno popełnił samobójstwo?

– Tak.

– Jak on miał ich ścigać, jak jeździł z nimi na polowania? Był też tu komendantem D., który napożyczał od ludzi pieniędzy i tyle naobiecywał, że go wreszcie wyrzucili. Podszedł kiedyś do mnie i zapytał: „Także uważasz, że nie nadaję się na komendanta?”. Potwierdziłem, na to on, czy wiem, co Senator na mój temat mówi? Wiedziałem.

Przerywa, patrzy na zegarek i kontynuuje:

– Kiedyś się przyjaźniliśmy. To ja go namówiłem, by został dyrektorem szpitala… Potem, gdy zobaczyłem, co się tutaj w szpitalu wyrabia… Katastrofa… W czasie kontroli odkrywają, że ma być w szpi-

talu jakaś wanna za kilkanaście tysięcy złotych, szukają jej i okazuje się, że nie ma. Jeden z przedsiębiorców, który kładł przy szpitalu kostkę brukową, chodził potem i skarżył się, że nie wie, jak się rozliczyć, skoro część kostki położył gdzie indziej, u Tadka… W szpitalu sprzedano, wydzierżawiono, musi pan sprawdzić dokładnie, spalarnię, kotłownię, kuchnię. Z kuchnią to jest prawdziwy skandal. Śmiejemy się, że niedługo będzie szpital przy kuchni, a nie odwrotnie. Szkoda tych pomieszczeń, powinny być przeznaczone na działalność medyczną. Bracia ją przejęli i stąd zaopatrują całe miasto… Przy tym Senator nie jest taki głupi. Rzadko kiedy podpisuje się osobiście pod dokumentami.

Milknie i zamyśla się, po chwili dorzuca:

– Senator jest dwulicowy. Grał na dwa fronty. Był z nami w koalicji, współtworzył ją, ale także był z Braćmi…

– Miano go widzieć, jak z jego domu wychodzi Człowiek z Lasu – wtrącam.

– On rzeczywiście lubi się otaczać gangsterami – oznajmia tak, jakby to była zwyczajna sprawa, i rzuca: – Nie wiem dlaczego…

– Może dlatego, że handlował samochodami?

– Może tak, on ciągle komuś te samochody wciskał – śmieje się i po chwili wyjaśnia: – On ma brata w USA i ten wyszukuje tam samochody, które potem przysyła do Polski, a Senator je potem wciska wszystkim. Profesorom, posłom, Krzyśkowi… On rzeczywiście otaczał się takim gangsterami.

– Czemu uchodzi mu to bezkarnie?

– Często powoływał się na znajomość ze znanym krakowskim prokuratorem G. Senator ma dobre układy w policji, prokuraturze i sądzie.

Rozmawiamy dalej o lokalnych układach i przechodzimy na osobę pani minister i posła Krzysztofa G., który w niesławie musiał odejść z ministerstwa. Przyznaje, że wszyscy się dobrze znają i wspierają.

– Choć pani minister narzekała na Krzyśka, mówiła, że w Szydłowcu cały czas chodził za nią i marudził, żeby go wzięła na wiceministra – śmieje się. – Ona była dyrektorem ZOZ, a potem jej mąż, który wcześniej był prokuratorem rejonowym w Skarżysku.

– To jemu podpalono samochód?

– Tak. To były czasy, gdy rządzili gangsterzy, a nie policja i prokuratura.

– Braci pan zna?

– Tak, wszyscy się znamy. Oni zarobili na handlu walutą we Lwowie. Wszyscy tam jeździliśmy na tak zwane tranzyty. Dorobić do pensji.

– A co pana poróżniło z Senatorem?

– On z Krzyśkiem zdominowali tutaj na jakiś czas Platformę, zetknęli ją z Rejowem i o to miałem do nich pretensję. Rejów zaczął rządzić Platformą. Odciąłem się od tego. Na szczęście po jakimś czasie ludzie z Platformy się zebrali i pozbawili ich wpływów.

Docieram do wystąpienia pokontrolnego Najwyższej Izby Kontroli. Delegatura NIK w Kielcach przeprowadziła kontrolę zarządzania majątkiem i wykorzystania środków publicznych w latach 2002–

2006 w zakresie udzielania wybranych zamówień publicznych i udostępniania niektórych składników majątkowych w Zespole Opieki Zdrowotnej w Skarżysku-Kamiennej (ZOZ).

Lektura nie pozostawia suchej nitki na tym, co działo się w szpitalu za dyrektorskich rządów Senatora. Potwierdza słowa mojego rozmówcy, lekarza, któremu spalono gabinet. Czarno na białym widać, że Senator jest życzliwy dla firmy Braci z Rejowa – Expol-Bis:

W dniu 8 kwietnia 2003 r. Dyrektor ZOZ podpisał z wykonawcą remontu spalarni umowę na wykonanie dodatkowych robót o wartości netto 99 562 zł (106 531 zł brutto). Zamówienia udzielono w trybie z wolnej ręki na podstawie ustawy o zamówieniach publicznych. Udzielając tego zamówienia, którego wartość przekraczała równowartość 20 000 euro (22 926 euro), naruszono art. ustawy o zamówieniach publicznych, gdyż ZOZ nie uzyskał zgody Prezesa UZP na zastosowanie tego trybu.

Naruszenie zasady lub trybu postępowania przy udzieleniu zamówienia publicznego, ustalonych w przepisach o zamówieniach publicznych, stanowiło w tym czasie naruszenie dyscypliny finansów publicznych.

W ocenie Najwyższej Izby Kontroli działaniem niegospodarnym było wykonanie przez ZOZ remontu spalarni za kwotę 636 046 zł, a następnie oddanie jej w dzierżawę firmie „Expol-Bis", która dokonała tylko częściowego zwrotu poniesionych na remont kosztów, tj. w kwocie 180 000 zł.

Inne uwagi NIK dotyczą sposobu przeprowadzenia postępowania (przetargu) dotyczącego wydzierżawienia firmie „Expol-Bis" kotłowni i spalarni o wartości księgowej 6 461 000 zł.

Czytam dalej:

Wniosek do Starosty Powiatu Skarżyskiego o wyrażenie zgody na wydzierżawienie ww. obiektów nie zawierał wymaganych w uchwale Rady Powiatu Skarżyskiego nr 124/XVI/2000 z dnia 29 maja 2000 r. podstawowych danych uzasadniających celowość dzierżawy oraz przewidywanych efektów ekonomicznych związanych z dzierżawą kotłowni i spalarni.

Ogłoszenia o przetargu pisemnym nieograniczonym na dzierżawę obiektów kotłowni i spalarni na okres 3 lat, z ceną 180 000 zł netto, wywieszono w dniu 3 kwietnia 2003 r., tj. na 5 dni przed wyrażeniem zgody na dzierżawę przez Zarząd Powiatu.

Stwierdzono także, że przedmiotowe ogłoszenie zamieszczone zostało jedynie na tablicy ogłoszeń w siedzibie ZOZ, co niewątpliwie utrudniało zapoznanie się z nim większej liczbie potencjalnych oferentów.

Z protokołu posiedzenia komisji przetargowej z dnia 18 kwietnia 2003 r. wynika, że do udziału w przetargu przystąpiła tylko 1 firma, tj. PHU „Expol-Bis", która zaoferowała cenę wywoławczą identyczną jak w ogłoszeniu. Z firmą tą zawarta została w dniu 1 sierpnia 2003 r. umowa dzierżawy (tj. po upływie 3,5 miesiąca od dnia przetargu) na okres do 31 lipca 2006 r.

(…)

Zgodnie z § 10 przedmiotowej umowy, umowa wchodziła w życie z dniem uzyskania przez dzierżawcę pozwoleń na wytwarzanie, przesył i sprzedaż energii cieplnej oraz utylizację odpadów medycznych. Pomimo uzyskania przez firmę „Expol-Bis" zezwolenia na utylizację odpadów medycznych w dniu 1 grudnia 2003 r., a koncesji wydanej przez Prezesa Urzędu Regulacji Energetyki dopiero w dniu 19 marca 2004 r., ZOZ obciążany był fakturami za dostarczanie ciepła i utylizację odpadów od września 2003 r.

Przekazywanie odpadów, przez zobowiązanego do ich unieszkodliwiania, podmiotowi, który nie posiada wymaganego zezwolenia, zagrożone jest karą za popełnienie wykroczenia określonego w art. 70 pkt 1 ustawy z dnia 27 kwietnia 2001 r. o odpadach (Dz.U. z 2007 r. nr 39, poz. 251).

Wielu moich rozmówców wspominało, że kiedy do przetargu przystępowała firma Braci z Rejowa, ich szanse na wygraną malały:

Po ukończeniu remontu spalarni (30 maja 2003 r.) udzielone zostały kolejne dwa zamówienia dotyczące utylizacji odpadów medycznych firmie „Expol-Bis" na podstawie zawartych umów w dniu 4 września 2003 r., w trybie z wolnej ręki, na usługi o wartości 30 067 zł brutto, i 17 li-

stopada 2003 r., w trybie zapytania o cenę – o wartości 128 400 zł brutto, przez okres wynoszący odpowiednio 2 i 12 miesięcy.

W ocenie NIK udzielenie ww. firmie w dniu 4 września 2003 r. zamówienia w trybie z wolnej ręki, na podstawie art. 71 ust. 1 pkt 3 ustawy o zamówieniach publicznych, nastąpiło z naruszeniem tego przepisu. Przesłanki przewidziane w tym przepisie, dotyczące istnienia wyjątkowej sytuacji niewynikającej z przyczyn leżących po stronie zamawiającego, której nie mógł on przewidzieć, nie znajdowały potwierdzenia w stanie faktycznym, gdyż zamówienia udzielono po upływie 3 miesięcy od dnia wygaśnięcia poprzedniej umowy (28.05.2003 r.), a konieczność zapewnienia świadczenia przedmiotowych usług w zakresie utylizacji odpadów była już znana od dnia 30 sierpnia 2002 r., w którym wystąpiła awaria spalarni.

Ponadto firma „Expol-Bis" nie spełniała warunków do udziału w ww. dwóch postępowaniach o udzielenie zamówienia, gdyż zezwolenie na utylizację odpadów medycznych uzyskała dopiero w dniu 1 grudnia 2003 r. i dlatego złożone przez nią oferty powinny zostać odrzucone.

Oferta firmy „Expol-Bis" złożona w postępowaniu w trybie zapytania o cenę zawierała jedynie kopię decyzji Wojewody Świętokrzyskiego z dnia 18 sierpnia 2000 r., stanowiącą zezwolenie na wytwarzanie, zbieranie i transport odpadów wydane dla ZOZ.

NIK zauważył życzliwość dyrekcji ZOZ w Skarżysku-Kamiennej, a właściwie jej szefa, znanego nam już Senatora, nie tylko w sprawie utylizacji odpadów medycznych. W tym samym wystąpieniu pokontrolnym czytam:

Zastrzeżenia NIK dotyczą prawidłowości przeprowadzenia postępowania przetargowego, w wyniku którego wybrana została jako najkorzystniejsza oferta ww. firmy „Expol-Bis". Czy rzeczywiście była korzystniejsza? Firma Braci z Rejowa wygrała przetarg, pomimo że dała wyższą od konkurenta ofertę o 924 480 złotych, opiewającą łącznie na 5 084 640 złotych. Firma „Jol-Mark" w Węgierskiej Górce przegrała z kwotą 4 160 000 zł. Umowa z „Expol-Bis" zawarta została w dniu 8 maja 2003 r.

Przychylność Senatora wobec firmy swoich przyjaciół trwała latami:

Kolejne postępowanie (przetargowe) dotyczące świadczenia usług żywieniowych dla około 400 osób dziennie wraz z dzierżawą pomieszczeń, a także częściowym wyposażeniem kuchni w sprzęt, zostało rozstrzygnięte przez ZOZ w dniu 4 sierpnia 2006 r. Ofertę w ww. postępowaniu złożył tylko dotychczasowy wykonawca tych usług, firma „Expol-Bis", proponując cenę netto identyczną z szacunkową wartością zamówienia – 5 184 000 zł, która ustalona została w dniu 5 czerwca 2006 r. przez inspektora ds. zamówień publicznych. Zdaniem NIK, taka zgodność nie może być przypadkowa. (…)

W związku z zatwierdzeniem przez Dyrektora wyboru oferty firmy „Expol-Bis" 17 sierpnia 2006 r. zawarta została z ww. firmą umowa na kompleksową usługę żywieniową.

Nieodłącznym elementem tej umowy była umowa na dzierżawę pomieszczeń kuchni przez firmę „Expol-Bis", podpisana przez Dyrektora na okres 36 miesięcy. Umowa dzierżawy zawarta została bez uzyskania zgody Zarządu Powiatu Skarżyskiego, co stanowiło naruszenie § 1 uchwały Nr 124/XVI/2000 Rady Powiatu Skarżyskiego z 29 maja 2000 r.

Senator nie widział nic złego w tym, że oprócz utylizacji odpadów medycznych i wyżywienia pacjentów szpitala firma Braci z Rejowa będzie także zajmowała się dostarczaniem energii cieplnej do szpitala.

I w tym przypadku NIK miał uwagi, dotyczyły one przekazania do Urzędu Oficjalnych Publikacji Wspólnot Europejskich (UOPWE) ogłoszenia o udzieleniu zamówienia firmie Expol-Bis na dostawę energii cieplnej dla ZOZ o wartości ponad 211 tysięcy euro (926 515 euro) dopiero po 53 dniach od zawarcia z tą firmą umowy z 1 września 2006 roku.

Zgodnie z art. 95 ust. 2 ustawy *Prawo zamówień publicznych*, jeżeli wartość zamówienia przekracza 211 tysięcy euro, ogłoszenie o udzieleniu zamówienia winno być przekazane do UOPWE niezwłocznie po zawarciu umowy.

Dopełnieniem obrazu życzliwości Senatora dla firmy Braci z Rejowa niech będzie to, że dla firmy Expol-Bis ustalono stawki czynszu dzierżawnego na poziomie 5 tysięcy i 100 złotych, które nie pokrywały podstawowych kosztów z tytułu amortyzacji i podatku od nieruchomości, ponoszonych przez ZOZ w obiektach wydzierżawionych.

Część szósta

Miejscowa władza skumplowała się z mafią

Wrzucam w internetową wyszukiwarkę: „Skarżysko”, „mafia”. Czytam doniesienia z początku XXI wieku. W lutym 2002 roku „Super Express” na pierwszej stronie opublikował artykuł „Jak mafia sprzedała miasto”. Szefostwo SLD w Warszawie postanowiło podjąć wreszcie działania i rozwiązało powiatową i miejską strukturę partii. „W Skarżysku mieliśmy powody, by przypuszczać, że miejscowa władza skumplowała się z miejscową mafią” – powiedział „Gazecie Wyborczej” premier i przewodniczący SLD Leszek Miller. Polecił zrobić porządek ówczesnym posłom, Henrykowi Długoszowi i Andrzejowi J.

Henryk Długosz wspominał w wywiadach: „Ludzie, którzy chcieli mi pogrozić, mówili, że wiedzą, jaką trasą i jakim samochodem jeżdżę do Warszawy, i żebym uważał na tiry”. Dlatego zawsze jadąc do Skarżyska, miał zabierać ze sobą broń.

Wkrótce okazało się, że wybór tych osób, aby czyściły lokalne układy z mafijnych powiązań, nie był najlepszy; stali się bohaterami w tak zwanej aferze starachowickiej. W marcu 2003 roku ostrzegli miejscowych samorządowców o planowanej akcji policji. W 2005 roku sąd wydał wyrok w sprawie przecieku. Andrzej J. został skazany na rok pozbawienia wolności, a Henryk Długosz na półtora roku. Obaj odsiedzieli połowę kary i warunkowo wyszli z więzienia.

Kiedy kolejny raz dzwonię do Henryka Długosza, prosząc o spotkanie i możliwość rozmowy, słyszę:

– Ale pan jest, k…, namolny.

Do spotkania nie dochodzi. Czasami otrzymuję informację, że widziano go z tym lub tamtym: ludziom wydaje się, że poniósł śmierć

cywilną, a tymczasem jest przeciwnie. Tuż przed kampanią wyborczą do parlamentu we wrześniu 2011 roku widziano go, jak ostentacyjnie spacerował po centrum Kielc z Józefem Oleksym, żywo o czymś rozmawiając.

„Echo Dnia", 11 marca 2011, Jarosław Skrzydło:

Byłemu „baronowi" Sojuszu Lewicy Demokratycznej złożono propozycję powrotu do partii. Były przywódca nie wyklucza ponownego zaangażowania w politykę.

Byłemu świętokrzyskiemu posłowi i liderowi Sojuszu Lewicy Demokratycznej zaproponowano, by powtórnie wstąpił do partii, do swojego macierzystego koła numer 3 w Kielcach. – Niczego wykluczyć nie można – mówi enigmatycznie Henryk Długosz.

Henryk Długosz był liderem świętokrzyskiego Sojuszu Lewicy Demokratycznej wówczas, gdy ta partia była u władzy w latach 2001–2003. W naszym regionie współtworzył najpierw Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej, a następnie Sojusz Lewicy Demokratycznej. Był wicewojewodą świętokrzyskim.

Henryk Długosz znany jest z kontrowersyjnego języka oraz z tego, że trzymał organizację twardą ręką. Rządził i dzielił. Był prawdziwym „baronem", jak wówczas nazywano regionalnych szefów Sojuszu. Uchodził za zaufanego człowieka premiera Leszka Millera. Był nawet typowany do funkcji wiceministra infrastruktury w jego rządzie. Partyjne wpływy to nie wszystko, Długosz dorobił się sporego majątku. Miał większość udziałów w świetnie na początku obecnego stulecia prosperującej firmie Suprimex.

Podsłuch ze Starachowic

Żeby zrozumieć siłę lokalnych układów, to, dlaczego lokalna mafia tak długo funkcjonuje bezkarnie, warto wrócić do roku 2003, do tak zwanej afery starachowickiej. Lokalne układy zawsze sięgają

góry, która daje ostateczny parasol ochronny. W książce *Przykrywkowcy*, której współautorem jest Piotr Pytlakowski, wydanej przez Świat Książki, opisaliśmy kulisy tej sprawy.

Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego od 2002 roku rozpracowywali gang starachowicki, używając różnych metod, m.in. agentów pod przykryciem, funkcjonariuszy pod cudzą tożsamością. Przykrywkowcy z CBŚ dobijali właśnie targu z miejscowym gangiem Leszka S. Mieli kupić broń. Zakup zaplanowano na 26 marca 2003 roku. Tego dnia około godziny 8 rano poseł SLD Andrzej J. telefonuje do starosty starachowickiego Mieczysława S. Oto treść ujawnionego zapisu z podsłuchu obu panów:

„J.: – Co się dzieje? Wiesz?

S.: – Czemu?

J.: – Tylko żebyś zachował spokój, kolego.

S.: – Tak jest.

J.: – Słuchaj, bo tutaj nam wczoraj… dostałem od ministra spraw wewnętrznych taki sygnał, że wiesz, że gdzieś tam cię namierzyli.

S.: – No…

J.: – Rozumiesz, no policja.

S.: – Mnie?

J.: – No.

S.: – Ale z czym?

J.: – No wiesz, jakieś tam załatwiania, wiesz, odroczenia od wojska, wiesz, jakiś przetarg, coś.

S.: – Cha, cha! O czym mowa?

J.: – No to ja ci mówię tylko, rozumiesz, bo…

S.: – …aha.

J.: – Bo przyszedł i tego…

S.: – …aha, aha.

J.: – Kazał napisać nazwisko starosty, rozumiesz…

S.: – Aha.

J.: – Dlatego ci dzwonię, żebyś wiedział, że coś się dzieje, nie.

S.: – Aha, aha.

J.: – Przecież ja go nie prosiłem ani nie chodziłem, ani nic, rozumiesz…

S.: – Nie, no oczywiście, że tak. Nie, nie to…

J.: – …i ten mi mówi, że mu na biurko przynieśli materiały, rozumiesz.

S.: – Aha, aha.

J.: – Dwadzieścia osiem osób w województwie świętokrzyskim.

S.: – Ale to co, że dwadzieścia osiem? Na mnie? Nie?

J.: – Nie, nie, dwadzieścia osiem osób jest tam, rozumiesz, w jakiś sposób namierzonych, że… Wiesz, że posiadają dowody, że wiesz, są jakieś nadużycia, właśnie w takich i takich… Wiesz, i tam w detale nie wchodziłem, bo to na Rozbracie wczoraj była ta kolektywna narada.

S.: – Aha, aha.

J.: – I że takie rzeczy są, rozumiesz, że on ma dokumenty, i wiesz, już nie wchodziłem w jakieś detale, szczegóły, ale…

S.: – Tak.

J.: – Nie, no trzeba być czujnym, bo coś rozumiesz, no, no tak.

S.: – Aha, aha, aha.

J.: – Co zebrali, co? No trzeba jutro, wiesz, na spokojnie, bez okazywania paniki…

S.: – Nie, no oczywiście, że tak.

J.: – No bo wiesz, coś ma, skoro k… wiesz, ani go nie pytałem, ani za nim nie chodziłem, nie…

S.: – A to Janik [ówczesny minister spraw wewnętrznych Krzysztof Janik – przyp. aut.], czy któryś tam z tych?

J.: – Zastępca jego.

S.: – Aha, aha.

J.: – Szukał wczoraj D. [posła Henryka Długosza, ówczesnego barona SLD w województwie świętokrzyskim – przyp. aut.], cały dzień, rozumiesz. I później tam dopiero się spotkał i…

S.: – Aha. Nie, no to ja tutaj, jeśli chodzi, to jestem absolutnie…

J.: – Ale to trzeba by się, wiesz co, dobrze zastanowić, gdzie, co, jakie kwity, no bo musisz się liczyć z tym, że wiesz, jeśli nazwiska padają, to wiesz. Jeszcze się pyta: to on tam był w poprzedniej kadencji chyba też? Ja mówię, no był…

S.: – Aha.

J.: – No wiesz, no i Marka [Marek B., wiceprzewodniczący rady powiatu – przyp. aut.], ale wiesz, też się zapytaj, spotkaj.

S:. – Aha.

J.: – I wiesz, na spokojnie się przygotować, kto co może robić. Bo może to się dziać dzisiaj, w tym tygodniu, no bo ja mówię, no słuchaj, no to się nie da coś tam, jakoś, jak coś jest, żeby to… to już, mówi, nic się nie da zrobić, mówi odciągnąć dwa tygodnie, ale to jest, mówi, to jest ta… to nic nie załatwi sprawy. Także tutaj, wiesz, dobrze przemyśl.

S.: – Aha, aha.

J.: – I też panuj nad tym wszystkim, bo…

S.: – Nie wiem, ale…

J.: – Bo nie wiem, no bo nie wiem, co jest.

S.: – Słuchaj, ja mu na ten moment muszę powiedzieć, że absolutnie nic tutaj nie mam sobie. Absolutnie, broń Boże. Absolutnie, jeżeli chodzi o jakieś tam komisje, odroczenia czy coś tam. No byłem przewodniczącym komisji poborowej, ale, ale tu…

J.: – Dosłownie padło stwierdzenie, że zostało wzięte pięć tysięcy za to, żeby gościu nie poszedł do wojska.

S.: – No to ja pod… tutaj słowo honoru i mogę pod krzyżem klęknąć, że nic takiego… Być może Basiaczek [wspomniany już Marek B., wiceprzewodniczący rady powiatu – przyp. aut.]. Może on coś tam.

J.: – Rozumiem, może mieć dwa przetargi, rozumiesz tam. No, to tak zdawkowo coś mu padło. Rozumiesz.

S.: – Aha, aha.

J.: – I twierdzi, że ma to udokumentowane i to leży. I to są dowody absolutnie niezaprzeczalne. Tak że trzeba by wziąć tam, wiesz, no z Markiem, bo na jakoś wiesz…

S.: – Aha. Nie, no to ja z Basiaczkiem bardzo, to wiem…

J.: – Przeglądać, wiesz, zastanowić się, przeanalizować, gdzie co mógł szukać ktoś i jak to mógł.

S.: – Aha.

J.: – Nie wiem, no, k…, no. Podobno na zasadzie prowokacji zostało zrobione takie coś…

S.: – Nie, no to ja…

J.: – Że coś ktoś udawał i że to jest prowokacja, też jakieś tam, jedna z tych jest prowokacja tej grupy specjalnej.

S.: – Aha, nie, no to już ze mną na pewno… ja już ci mówiłem, słowo honoru, jestem czyściuteńki absolutnie zero, zero, zero.

J.: – Ale teraz nie wiadomo, też musisz wiedzieć, no, kto to robił, i z Markiem pogadaj, no bo ch… wie, jak to wiesz…

S.: – No to ja sobie tam pojadę do Basiaczka czy tutaj go poproszę i zapytam go, jak tam, co tam.

J.: – No, no, no. To trzymaj się na razie.

S.: – No dzięki, cześć".

Starosta skontaktował się z Basiaczkiem. O godzinie 9.30 zatelefonował do posła Andrzeja J.:

„S.: – Z Markiem Basiaczkiem, nie, to jestem po prostu, no, ja ci oddam słuchawkę, bo to jest w ogóle jakieś s…, bo ja mówię, jak Chrystusa kocham, i nawet przez myśl nie przeszło coś takiego, no, to i mogę przysięgnąć na wszystkie świętości, że nic takiego nie miało miejsca.

J.: – Ja ci mówię, co tu mają, to nie ja szukałem, tylko on mnie szukał. Tak że nie ja wymyślam, tylko cię informuję, i nie ma co gadać, tylko trzeba się zastanowić, na czym to polega, i koniec. To nie to, że ktoś cię oskarża, czy tylko taką informację myśmy dostali, to on nas szukał cały dzień, żeby przekazać taką informację i dlatego tylko, Mieciu…

S.: – Nie, no ja absolutnie, tylko tu nic takiego ani z mojej strony, ani z Marka strony nie miało miejsca, to ja ci dam Marka i gadaj z nim.

M.: – Halo. No, witam pana posła.

J.: – Kłaniam się.

M.: – Panie pośle, to jest bzdura, moim zdaniem, nawet z nimi pół słowa na temat czegoś takiego nie było rozmawiane.

J.: – No, sam jestem zdziwiony.

M.: – Z nimi nawet pół słowa nie było zamienione na ten temat, ja to się mogę tylko z tego śmiać.

J.: – No to dobrze.

M.: – No, jestem zaskoczony, bo na zdrowie moje, ale nie będę się przysięgał, nawet pół słowa z nikim nie było na ten temat rozmawiane i nikomu nic nie było załatwiane.

J.: – Marek, wczoraj ni stąd, ni zowąd woła, bo taka sytuacja, i nas informuje S. [Zbigniew S., ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych – przyp. aut.], rozumiesz?

M.: – To jakieś jaja są.

J.: – Oby tak było, oby pieprzył głupoty. Heniek też oczy w słup postawił. Tak że czekać spokojnie i dać znać, jak coś się będzie działo.

M.: – Dobra, dziękuję i pozdrawiam.

J.: – Trzymaj się".

Dla sądu stenogramy z podsłuchów były jednoznacznym dowodem. Poseł Andrzej J. ostrzegł samorządowców ze Starachowic, swoich dobrych kolegów, że szykowana jest akcja policyjna. Marek B., czyli Basiaczek, natychmiast po zakończeniu połączenia z posłem spotkał się z Leszkiem S. – szefem lokalnego gangu.

Basiaczek był kolegą Leszka S. jeszcze z podstawówki. To urok niewielkiego miasta, gdzie każdy zna każdego od dziecka i choćby potem jeden został bandytą, a drugi policjantem, to i tak się będą spotykać, rozmawiać, pić piwo. Leszek S. znał też starostę. Zarzuty, jakie prokurator postawił potem obu samorządowcom, nie dotyczyły ustawiania przetargów, ale wyłudzeń odszkodowań komunikacyjnych. Zostali uznani za winnych i skazani na wyroki w zawieszeniu.

Gang Leszka S. tworzyły cztery osoby. Sąd skazał Leszka S. na 10 lat więzienia, pozostali otrzymali niższe wyroki.

Na tym się jednak nie skończyło. Afera nabrała rozgłosu i potoczyła się jak śniegowa kula, pociągając za sobą dwóch posłów i wiceministra.

Prokurator ustalił, że wiceminister spraw wewnętrznych dostał na biurko informację o planowanych zatrzymaniach w Starachowicach. Podzielił się tą wiedzą z baronem SLD w Kielcach, posłem Henrykiem Długoszem, a ten bezzwłocznie zrelacjonował swoją rozmowę z wiceministrem koledze, posłowi Andrzejowi J. Co było dalej, już wiemy. Wiceminister Zbigniew S. nigdy nie przyznał się do spowo-

dowania przecieku, podobnie jak poseł Henryk Długosz. Andrzej J. początkowo zaprzeczał, ale kiedy przedstawiono mu dowody w postaci podsłuchów, wyznał wszystko. Obciążył siebie i kolegów: posła Długosza. i wiceministra S. Cała trójka została przez sąd potraktowana surowiej niż samorządowcy ze Starachowic. Zbigniew S. dostał 3,5 roku więzienia (prokurator żądał 2,5 roku), Henryk Długosz – 1,5 roku, a Andrzej J. – rok. Dwaj ostatni kary odbyli. Zbigniew S. za kraty nie trafił – został ułaskawiony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Część siódma

Rozmowa w Senacie

Próbuję się dodzwonić do Senatora, bezskutecznie. Postanawiam więc rozesłać na wszelkie dostępne adresy e-mailowe: służbowe, klubu, Senatu, partii, prośbę o spotkanie z Senatorem. „Co od ciebie chce ten dziennikarz śledczy? Czemu cię wszędzie szuka?". Przynosi to efekt. Odzywa się do mnie i proponuje spotkanie w Senacie.

Twarz jego promienieje jowialnym uśmiechem, ściska moją rękę. Jego dłoń jest ciepła, kluskowata.

– Proszę siadać. – Wskazuje krzesło przed biurkiem, nie wybiera okrągłego stolika, gdzie stoją butelki wody i szklanki, przy którym moglibyśmy zasiąść jak równy z równym. Za biurkiem czuje się bezpieczniej, pewniej. To on tu rządzi.

– Kawa? Herbata? – proponuje.

– Kawa – odpowiadam, wyciągam z torby dyktafon i kładę przed nim, na biurku.

Woła asystentkę i zamawia.

Siedzi za biurkiem i zerka na mnie czujnie, ale przez cały czas ma na twarzy wymalowany przyjacielski uśmiech. Ot, taki brat łata. Stara się skrócić dystans między nami. Szkoda, że nie pomyślał o tym, zanim zasiadł za biurkiem. Odpowiadam uśmiechem, postanawiam przejść od razu do rzeczy, włączam dyktafon i pytam:

– Co pana łączyło z Leszkiem K. i Lechem D.?

Nie jest zaskoczony. Jakby spodziewał się, od czego zacznę, co mnie do niego sprowadziło.

– Od razu mówię na ten temat. Leszka D. znam 25 lat. Jego siostra jest lekarzem. Leszek K.? Nie wiem, kto to jest. Człowieka na oczy nie widziałem. Nazwisko pierwszy raz usłyszałem w sądzie, bo

muszę panu powiedzieć, że jakiś rok temu była sprawa w sądzie przeciwko jakiemuś B., gdzie byłem poproszony na świadka. W sądzie siedzieli jacyś dwudziestoparolatkowie, których w ogóle nie znałem, i mnie sąd zadawał pytania. Czy znałem Lecha D.? Znałem. Znam go bardzo dobrze, to znaczy nie była to żadna przyjaźń ani takie koleżeństwo, że bywaliśmy u siebie… Na pewno był parę razy u mnie w domu. Przed 15 laty była taka spółka, Kopalnia w Jankowicach, oni mnie namówili, ja nie przystępowałem, bo byłem lekarzem i dyrektorem szpitala. Zobaczyłem, że jest tam możliwość zrobienia pewnego interesu. Moja żona wstąpiła do tej spółki, ale szybko się z tego wycofaliśmy, bo zobaczyliśmy, że tak: Lech D., jak miał pracować w tej spółce, to nie pracował, bo w ogóle nie zna się na biznesie. A ten, który miał się zajmować produkcją, to sprzedawał wszystko na lewo.

Rozmawia ze mną zawodowy senator, który nie może wykonywać żadnej działalności gospodarczej. Sprawdziłem wcześniej jego oświadczenia majątkowe, nie ma w nim mowy, że posiadał udziały w spółce. Beztrosko się przyznaje, że jego żona była „słupem", na który prowadził swoje interesy.

– Więc ja się szybko z tego wycofałem, zostały mi trzy hektary kopalni plus długi, które pospłacałem – ciągnie dalej. – Tak skończyły się moje związki z kopalnią. Tyle miałem wspólnego z D., jeżeli chodzi o jakieś interesy. To są bardzo dawne sprawy…

Urywa i za chwilę kontynuuje swoją opowieść, jakby wszystko miał poukładane w głowie i teraz należało to tylko powtórzyć:

– Wiem, że każdy, jak miał jakiś problem, to do niego przychodził… Później zaczęto mnie pytać o pana B. B., znany mi człowiek, bo mieszka 500–600 metrów ode mnie. Kiedyś mieszkał gdzie indziej, teraz się sprowadził do mojej dzielnicy. Pytali mnie o jego córkę, ale nie wiedziałem, że ma. Odpowiedziałem w sądzie: „Nie wiem".

Przerywa. Muszę przyznać, że sprawia wrażenie człowieka, który nie ma nic do ukrycia. Patrzy w oczy. Nawet mu powieka nie drgnie.

– Mnie znają wszyscy, a ja ludzi nie znam, tyle co z widzenia… – zaczyna ponownie mówić. – Zapytano mnie o nazwisko doktor N.

Nie znam kobiety, w życiu nie miałem z nią nic wspólnego… Jak byłem dyrektorem szpitala w 1989 roku, to było zatrudnionych kilku stomatologów…

Nie chce mi się w to wierzyć, Skarżysko-Kamienna to małe miasto i lekarzy stomatologów nie jest tam aż tak wielu.

– Nie miał pan spółki, albo pana żona, w której mielibyście udział w jakimś gabinecie stomatologicznym?

– A w życiu… Miałem tylko gabinet ginekologiczny…

Spogląda na mnie, widzi, że mu nie dowierzam. Po chwili przyznaje, że znał doktor N., i jakby nic się nie stało, jakby wcześniej nie zaprzeczał tej znajomości, oznajmia:

– Pomagałem jej w uzyskaniu środków unijnych… Miałem do nich dostęp, od 2004 do połowy 2005 roku… Kiedy Polska jeszcze nie wstąpiła do Unii… A później poszedłem do Senatu i nie miałem z tym nic wspólnego…

Uznaje, że wyjaśnił, że wyszedł obronną ręką z pierwszego kłamstewka, i mówi dalej:

– Zapytano mnie o nazwisko pani… że miałem bardzo zażyłe stosunki z pacjentką o nazwisku K. [pada nazwisko Człowieka z Lasu – przyp. aut.], której ciążę prowadziłem w 2006 i później, w którymś tam roku. Co jest jakąś bzdurą, bo ja od 2005 roku nie prowadzę gabinetu. Zostałem zawodowym senatorem. Nie wolno mi prowadzić żadnej działalności. Więc jest to jakaś bzdura, jakaś szyta robota…

Po raz pierwszy widzę go podenerwowanego, podnosi głos.

– Pytano mnie o nazwisko W. [Kajtka – przyp. aut.]. Nazwisko W. zostało mi przekazane przez nieżyjącego już komendanta powiatowego policji Piotra Ż., który popełnił samobójstwo, i przez zastępcę komendanta wojewódzkiego policji Michała Domaradzkiego. W sytuacji kiedy na bezczelnego sparaliżowali mi psa paralizatorem i ukradli z podwórka samochód. Oni mi powiedzieli, że to zrobił W.

– Powiedzieli? I nic nie zrobili z W.?

– Poszukiwali go. Później wydarzyła się dla mnie tragikomiczna sytuacja. To jest dramat, co się wydarzyło. Przyszedł do mnie funkcjonariusz policji, jako do dyrektora szpitala, i mówi: „Panie dyrektorze, u pana na oddziale leży pacjent, jego wczoraj pobili, nie pamiętam, jak się nazywa, miał trzech braci, Korniki ich nazywali,

jednego kiedyś tam zastrzelili. Ten pobity uczestniczył razem z W. w kradzieży, niech pan z nim porozmawia, to może samochód panu oddadzą". Rozłożyłem ręce. „Panie, czego pan chce ode mnie? Jak się pan zachowuje? Dałem wam dom do dyspozycji, telefony, idę z wami na pełną współpracę, wolę stracić wszystkie pieniądze za ten samochód, niż z jakimś gnojem rozmawiać, a pan mi proponuje, żebym ja poszedł do bandziora i z nim rozmawiał? I co mam mu powiedzieć? Panie bandziorze, będzie mi pan uprzejmy oddać samochód, bo jak nie, to anestezjolog pana uśpi?".

– Ten policjant się przedstawił?

– To jest syn mojego bardzo dobrego znajomego, więc ja w ogóle nie chciałbym mówić… To mnie załamało, poszedłem do komendanta Ż. i mówię: „Piotr, zobacz, co się dzieje. Co wy wyczyniacie? Wy farsę z tego robicie… Was porąbało…". „No to my tu zrobimy porządek. Czy możemy podsłuchiwać twój telefon?". „Przecież was proszę o to". I była rozmowa, dzwoni do mnie jeden: „Słuchaj, mamy twój samochód". Zaczynam rozmawiać, przedłużać, w końcu mówię, że „nawet gdybym miał wszystkie pieniądze stracić, to ja ci grosza nie dam. Bo ja z bandziorami w żadne układy nie wchodzę". I odłożyłem słuchawkę. „To się jeszcze przekonasz, co za to będziesz miał". Wszystko.

– To był rok?

– Około 2005, jeszcze byłem dyrektorem szpitala. Teraz się okazuje, że pan W., bo wiem to z różnych źródeł, podaje, że ja brałem udział w podpaleniu gabinetu pani N. [W notesie piszę i podkreślam „wiem to z różnych źródeł" – przyp. aut.]. Zacząłem szukać. Na własną rękę, kto to jest pani N. Okazuje się, że pani N. jest córką pana N., działacza Platformy Obywatelskiej, który bardzo solidnie z nami współpracował, ale miał potężne zatargi, jakąś karczemną awanturę i w ogóle nie wiem, jak się rozstali z panem B., mieli wspólną hurtownię wódki. Pan B. nie ma dobrej opinii, a najbardziej związany jest z Wtórpolem. Jak zobaczyłem, o co chodzi, przestałem się interesować, pytać ludzi.

– Nigdy nie był pan przesłuchiwany w sprawie podpalenia gabinetu stomatologicznego?

– Raz byłem zapytany, czy znam taki gabinet, czy byłem pacjentem tego gabinetu i czy pomagałem znaleźć na niego środki unijne. To jakaś bzdura. Nigdy nikomu nie załatwiam rzeczy, które są niezgodne z prawem.

Wcześniej sam wspominał, że pomagał znaleźć środki unijne, widocznie zapomniał. Postanawiam jednak do tego nie wracać.

– Jak pan myśli, dlaczego świadek zeznaje to, co zeznaje? – pytam.

– Dlaczego go nie złapali? Nie mogli go złapać, on współpracował z policją, mógł robić, co chciał.

– Lech D. też współpracował z policją.

– Tego nie wiedziałem.

– Wszystko załatwiał, stały gość w komendzie… – Uśmiecham się i udaję trochę zdziwionego, że Senator nie wie tego o Lechu D.

– On znał ich wszystkich, ale czy on współpracował z nimi, nie wiem.

– Ale jaki interes może mieć W., by pomawiać pana?

– Może się chce zemścić, że mu pieniędzy wtedy nie dałem i nawyzywałem przez telefon od gnojków? Nie wiem. To są wszyscy ludzie z zaburzeniami charakterologicznymi. Ja w życiu na oczy nie widziałem człowieka.

– Jak spotykał się pan z Lechem D. w 2006 roku, był już pan politykiem, senatorem… Nie domyślał się pan, czym się zajmuje? Utrzymywał przecież pan z nim kontakty.

– Od 2005 roku tylko sporadycznie, cześć, cześć i to wszystko. On prowadził stację benzynową. Jak podjeżdżałem na stację, to on mi zatankował samochód, sprawdził olej, umył szybę i w międzyczasie zamieniliśmy parę zdań. To były takie kontakty. Koniec, kropka.

Z twarzy Senatora znika przyjazny uśmiech, to już nie jest ten sam człowiek. Zaczyna być szorstki.

– Mówi się, że jest pan cichym lobbystą wypuszczenia z aresztu Lecha D.

– Ja? Pod każdą przysięgą i każdemu mogę zeznać, że w życiu w tym palców nie maczałem.

– Nie podejmował pan żadnych działań? – nie ukrywam, że mu nie wierzę. Mierzymy się oczami i oto proszę, coś się Senatorowi

przypomniało.

– Przyszła do mnie jego siostra, od wielu lat jest pracownicą u mnie w szpitalu. Znamy się bardzo długo. Przyszła do mnie, czy jej udzielę urlopu. Pytam: „Marzena, co tam u Leszka?”. I ona mi wszystko opowiedziała, że na jedno oko już nie widzi, że z drugim gorzej, że ma niestabilną cukrzycę. Mówię: „Słuchaj, przecież on nie powinien siedzieć w tym areszcie, ale leżeć na oddziale szpitala więziennego”. „No to on leży na takiej sali. Ale oni nie robią mu badań”. „To napisz albo niech on napisze, żeby mu badania zrobili” – relacjonuje Senator i już chce kończyć zdanie, ale uznaje, że coś za dużo powiedział, więc należy wyraźnie zaznaczyć, i podkreśla: – Ani ja w życiu do nikogo nie napisałem, ani nie interweniowałem. Nie mam zamiaru nigdzie interweniować.

– Tylko raz się pan z nią widział? – ciągnę dalej.

– Dwa, może trzy razy, przypadkowo.

– Nie wspiera pan także finansowo rodziny Lecha D.?

– Sam mam problemy finansowe, mam troje dzieci. Mieszkania trzeba im kupić. Ja mam kredytów tyle…

Rozmowa staje się coraz bardziej nieprzyjemna. Senator co chwila powtarza, że to jest zemsta polityczna, że ktoś chce go zniszczyć jako senatora. To sprawa polityczna, nie powinienem być naiwny. Więc wreszcie pytam:

– Mówi pan, że ktoś chce sprawę wykorzystać politycznie przeciw panu? Kto?

– Jak zostałem szefem regionu Platformy Obywatelskiej, następnego dnia oskarżył mnie Przemysław Gosiewski. Półtora roku CBA mnie maltretowało. Napisali listy do instytucji finansowych. Dzwonili do mnie do sekretariatu, mając komórkę do mnie, i pytali sekretarkę, wiedząc, że jestem w Warszawie: „Czy jest Senator, jesteśmy z CBA, prowadzimy przeciwko niemu postępowanie”. A dodatkowo sprawa Krzysztofa G., był moim zastępcą w szpitalu, może to jeszcze? Miałem setki kontroli, do mnie nikt nigdy się nie przyczepił. Ja mam czyste ręce.

Milknie, później dodaje:

– Słynne wypowiedzi pana komendanta wojewódzkiego policji G.: „Czy macie coś na Senatora? K…, musicie coś mieć”. No i mam wrogów w swojej partii, a nie tylko w PiS-ie. W Platformie także miałem człowieka, który lubił różne intrygi…

– Miodowicza? – wymieniam nazwisko posła ze świętokrzyskiego.

– Oczywiście. Jeżeli można o kimś powiedzieć, że jest podły i przepojony bezinteresowną nienawiścią, to właśnie o Miodowiczu. To jest człowiek, który nie ma ani jednego przyjaciela. Ja z jego żoną od dzieci wychowywaliśmy się, z jego szwagrem siedziałem w jednej ławce. Jak przyszedłem do polityki, Miodowicz chciał być bardzo moim przyjacielem. Przyjaciół to ja mam ze szkoły podstawowej, liceum, a o reszcie mogę powiedzieć, że to są dobrzy znajomi. On bardzo chciał zażyłości, a ja nie bardzo, bo widziałem, co on potrafił z ludźmi robić, na przykład z takim Ł. Opowiadał, że on jest jak jego syn, a później go niszczył i gnoił… Krzysztofa G. sprawę także…

Postanawiam zmienić temat, nie po to tu przyszedłem.

– Obecnie nie pośredniczy pan w żadnych transakcjach, nie robi pan jakichś interesów albo pana żona? – pytam.

– Nie, a żona jest emerytką.

Uznaję, że czas zapytać o Braci z Rejowa. Senator już spokojniejszym głosem oznajmia:

– Ja mogę panu powiedzieć dużo na temat starszego brata, W. Pochodzę z rodziny z tradycjami, rzemieślniczej. Bardzo zamożnej rodziny ze Skarżyska. Bracia również pochodzą z bardzo zamożnej rodziny, też mieli ojca rzemieślnika. Moja znajomość z W. jest od takich chłopaków – pokazuje ręką wysokość 1,3 metra nad podłogą i mówi dalej: – W. jest młodszy ode mnie o 5–6 lat, a A. o 10 lat. Jeździliśmy razem do Domu Rzemiosła w Jelitkowie, na te słynne wczasy. Taka to była znajomość.

– Utrzymuje pan nadal z nimi kontakty?

– Oczywiście, z W. spotykam się raz–dwa razy w miesiącu, wypijemy kawę, pogadamy.

– Ile jest prawdy, a ile mitów wokół Braci?

– Według mnie to są same mity. Jak oni doszli do swego majątku, nie wiem. Był pewien okres, że oni zniknęli, pracowali gdzieś na Ukrainie, we Lwowie. Przyjechali i tu zainwestowali. Od miasta kupili Rejów. Od miasta wzięli w dzierżawę targowisko.

Opowiada o sporze wokół targowiska, ale według niego to Bracia są ofiarami, a nie, jak powszechnie się uważa w Skarżysku-Kamiennej w tej sprawie, przestępcami.

– Kiedyś do mnie dzwoni Heniek [były poseł D. ze Starachowic – przyp. aut.] i mówi: „Ty, k…, znasz Braci?”. Mówię: „Znam”. „To ty uważaj, bo CBŚ za nimi chodzi”. Odpowiedziałem mu: „Masz parę złotych?”. „A o co chodzi?”. „To kup im nowe buty, żeby ich nie zdarli”. „Człowieku – mówię mu – gdyby oni chcieli robić lewe interesy w Skarżysku, toby ich zarąbali w ciągu trzech dni, bo to są ludzie, którzy są pod takim obstrzałem”.

Przyznaje, że z nimi poluje:

– Czterdzieści lat poluję, założyłem bractwo kurkowe. Byłem królem kurkowym…

Nie może się pogodzić z tym, że on, senator, musi się teraz tłumaczyć. Nie przywykł do tego.

– Ludziom przeszkadza moja popularność. Zostałem wybrany dużą ilością głosów na człowieka roku na 80-lecie Skarżyska.

Muszę mieć świadomość, z kim rozmawiam, kim on jest.

– Byłem pierwszym lekarzem w Polsce, który wykonywał operację laparoskopową wycięcia macicy. Ja się poświęciłem swojej pracy, jeździłem po całym świecie i Polsce na kursy. Pracowałem od siódmej rano do dziesiątej w nocy. Miałem możliwość startowania do Senatu, chciałem spróbować. Pierwsza kadencja była krótka, myślałem, że druga będzie lepsza. Teraz żałuję, że odszedłem od zawodu.

– Będzie pan jeszcze raz kandydował do Senatu?

– Tak.

– A nie obawia się pan, że zeznania W. [Kajtka – przyp. aut.] zostaną upublicznione?

– Jeżeli tak wyjdzie, no to trudno…

– Kto naprawdę rządzi w Skarżysku? Kto trzęsie Skarżyskiem?

– W Skarżysku nigdy nie było jednej osoby, która by nim trzęsła… Wszyscy mówią, że ksiądz K.

Kończymy rozmowę, mam już wychodzić, gdy Senator rzuca:

– Jakby pan chciał więcej słyszeć, to jest były funkcjonariusz, który ma dużo informacji.

– Chętnie. On będzie rozmawiał ze mną?

– Tak, rozmawiałem z nim. Znam go dobrze, bo na strzelnicę jeżdżę, on jest prezesem strzelnicy w Starachowicach. Były funkcjonariusz CBŚ-u, który prowadził sprawę Wtórpolu, później miał wypadek i odszedł na emeryturę czy rentę. On zaczął ze mną w zeszłym tygodniu rozmowy na ten temat. Mają na mnie sidła teraz zastawiać. Ja nie chciałem z nim mówić. On chętnie porozmawia operacyjnie z dziennikarzem.

– Da mi pan telefon?

– Tak.

– Gdzie on mieszka?

– W Skarżysku. On chętnie operacyjnie w Skarżysku porozmawia, bo to wszystkich zaczyna w Skarżysku wkur…!

Kiedy stoję przy drzwiach i chcę nacisnąć klamkę, by je otworzyć, Senator nagle rzuca:

– Był taki człowiek, który z pistoletami i karabinem na plecach chodził po całym Skarżysku.

– A policja co na to?

– Nic… To jest dziwne miasto.

Nie było woli

– Mieliśmy przedstawić zarzuty Senatorowi – mówi policjant z grupy prowadzącej śledztwo w sprawie gangu Człowieka z Lasu. – To były jednak dla nas za wysokie progi.

Według Wysokiego cztery miesiące temu poseł M. miał przekazać do prokuratury krajowej zeznania Kajtka, w których ten wspominał o roli Senatora w podpaleniu gabinetu dentystycznego. Mijają jednak miesiące i trwa cisza.

Policjant operacyjny, którego oznaczyłem numerem 1, dodaje:

– Nie było woli, by to zrobić. A teraz, z czasem, będzie już coraz trudniej. Tak jakby komuś na tym zależało, by w ten sposób ukręcić łeb sprawie.

Policjant 1 wydaje się mieć wyrzuty sumienia. Po dłuższej rozmowie ze mną, kiedy już się żegnamy, zatrzymuje mnie i przyciszonym głosem (jakby nie chciał, by go ktoś usłyszał albo żebym miał problem z nagraniem tego, co mówi, jakby wiedział, że nie chodzę tutaj i nie rozmawiam z ludźmi wyłącznie z długopisem w ręku, choćby po to, bym miał dowód w razie jakiejkolwiek prowokacji) mówi:

– Niech pan pogada z Sylwestrem J., ksywa Janosik. – Spogląda mi uważnie w oczy i wyjaśnia: – Poszedł siedzieć zaraz po tym, jak podpalono samochód prokuratorowi, mężowi pani minister. On wysłał list do Senatora, w którym ostrzegał, że ich wszystkich wyda. Jest rozżalony, że go zostawili i nie upomnieli się o niego. Ma do męża pani minister i Senatora pretensje. Oni wtedy zmusili go, by odszczekał zarzuty w liście i o nich zapomniał.

– Ma pan namiar na niego?

Milknie, jakby coś analizował, kalkulował. Po chwili podaje mi adres i dodaje:

– Musi się pan jednak spieszyć. Rozbrykał się chłopak. Za chwilę może trafić za kratki.

Nie zdążyłem. Wkrótce został aresztowany.

Stacja BP

Dzwonię do Karola K., byłego funkcjonariusza CBŚ, którego polecił mi Senator. Umawiam się z nim na spotkanie, które wyznacza na

stacji BP, na wlocie do Skarżyska-Kamiennej. Przyjeżdżam kilkanaście minut wcześniej. Kupuję kawę i wychodzę na zewnątrz. Czekam. Mija umówiona godzina i nic, Karola K. nie ma. Nie wiem, jak on wygląda, ale on wie, jak ja wyglądam, zna też mój samochód. Czas mija, zdążyłem wypić kawę. Przyglądam się podjeżdżającym samochodom i ich kierowcom, pasażerom. Nikt do mnie nie podchodzi.

Chwytam za telefon i wybieram numer do Karola K.; telefon przedtem był włączony, teraz nagrywam się już tylko na jego pocztę głosową.

Mija kolejny kwadrans, nagrywam się ponownie.

Po godzinie daję sobie spokój. Odjeżdżam ze stacji w stronę miasta.

Później dowiem się, że mnie wystawił, by ktoś mógł przyjrzeć się mojej osobie, zapamiętać mnie i mój samochód.

W internecie znajduję o nim niewiele. Jest prezesem klubu sportowego i współwłaścicielem strzelnicy w Starachowicach.

Strzelnica to jego ostatni interes. Podobno najdłuższa strzelnica w Europie. Tak ją reklamuje na jednym z forów:

Drodzy koledzy, strzelnica (dopuszczenie do użytkowania mam na ręku) rozpocznie swoją działalność, jak pisałem, od połowy września. W pierwszym okresie działalności podczas strzelań zabezpieczenie „przed grzybiarzami" zapewni nam potencjał ludzki. Niektórzy z Was odbyli już tam strzelanie w maju br. – i z tego, co wiem, byli bardzo zadowoleni. Historycznie teren ten istnieje od 1925 roku, wykorzystywany jako stacja prób przy produkcji amunicji przez Zakłady Metalowe Mesko. W czasach kryzysu teren został zaniedbany, ograbiony z ogrodzenia, elementów infrastruktury itp. Obecnie jesteśmy dzierżawcami terenu i liczymy się w ciągu najbliższych 2 lat na poniesienie bardzo dużych kosztów przygotowania strzelnicy do standardów europejskich. Tak więc prosiłbym o dobre słowo oraz ewentualną pomoc w rozwinięciu przedsięwzięcia. Zyski ze strzelnicy nie będą szły w prywatne ręce, lecz na finansowanie szkolenia dzieci i młodzieży uzdolnionej sportowo z Klubu Sportowego Świt w Starachowicach oraz na finansowanie szkolenia

strzeleckiego dla osób niepełnosprawnych po wypadkach komunikacyjnych. Liczę się z tym, iż w początkowym okresie działalności nie będzie tam rewelacji, ale czas oraz środki pozwolą nam, mam nadzieję, stworzyć dla Was zaplecze strzeleckie, z którego wszyscy będziemy dumni. Ci z Was, którzy mnie znają, wiedzą że nie jest to „bicie piany" i jestem na tyle zdeterminowany, że w przeciągu 2 lat zrobimy tam potężny obiekt strzelecki na skalę …? Raz jeszcze proszę o wyrozumiałość oraz dobre pomysły i pomoc w organizacji tego ogromnego przedsięwzięcia. Mój e-mail: … Serdeczne strzeleckie pozdrowienia i do zobaczenia na otwarciu strzelnicy. Karol.

Zdziwieni są niektórzy internauci: marmot 1 zamieszcza kilka zdjęć i pisze:

Parę fotek z tego terenu, ostatnie 200 m przed kulochwytem, jak widać, goły teren, boczne nasypy jeszcze kawałek idą wstecz, ale nie za daleko. Płotu praktycznie nie ma, a jak widać, las blisko i fani grzybów mogą podejść znienacka. Poza tym istotnym problemem są… zbieracze złomu i niewypały w kulochwycie. W tym przypadku strzelanie było zabezpieczane przez firmę ochroniarską, która blokowała dostęp (ochroniarze okopani w lesie).

Telesfor dodaje:

Jak znam Karola (a też parę lat), to znajdą się pieniądze na wszystko, choćby i z funduszów UE.

Miasto

1.

Po mieście jeżdżę wolno, chcę utrwalić jak najwięcej jego obrazów. Co jakiś czas zwalniam spust migawki w aparacie fotogra-

ficznym. W Skarżysku byłem wcześniej, w czerwcu 2004 roku, robiąc zdjęcia w czasie zlotu motocyklowego. Odbywał się on w Rejowie, w ośrodku należącym do Braci. Na swoim blogu tak wówczas napisałem:

Zjeżdżam z trasy Warszawa–Kraków. Skarżysko-Kamienna. Miasto szarych budynków, pordzewiałego żelastwa, w które zamieniły się fabryki. Drogi pokryte dziurami przypominają krajobraz księżycowy. Z prawie 20 tysięcy osób zatrudnionych w tych fabrykach dzisiaj pracę ma 1200. Ludzie wyemigrowali za pracą do Włoch i Niemiec. Bieda rozszerza się i pogłębia, mówi recepcjonistka w hotelu. Poczucie beznadziei i braku perspektyw jest tak silne, że przypomina mi się Grodno na Białorusi na początku lat 90. Kolejne zapomniane miasto w Polsce.

Dzisiaj napisałbym podobnie.

2.

Przystaję na poboczu drogi. Sięgam do notatek. Do listy osób, z którymi chcę się spotkać i porozmawiać. „Jager – radny, znajomy Senatora, człowiek Rejowa" – czytam w notatkach. Próbuję się do niego dodzwonić. Bezskutecznie, nie odbiera telefonu. Nagrywam się mu na pocztę głosową.

W notatkach mam też nazwę jego baru i ulicę. Postanawiam tam podjechać. Kiedy przejeżdżam ulicą, nie mogę odnaleźć lokalu. Zatrzymuję się koło policyjnego radiowozu, podchodzę do policjantów. Pytam ich o bar.

– A, Jagera! – uśmiecha się funkcjonariusz. – To ten z boku. – Wskazuje ręką.

– No tak, mijałem go przecież – mówię do siebie. – Dziękuję. – I odchodzę.

Czuję, że mam ich wzrok na plecach. Zainteresowałem ich nie tyle sobą, ile celem swojej wizyty.

Kiedy wchodzę do baru i pytam o właściciela, słyszę, że go nie ma. Moja obecność wywołuje niewielkie zainteresowanie. Pozostawiam barmance swoją wizytówkę.

– Niech do mnie zadzwoni – mówię. – Postaram się jeszcze wpaść tutaj za kilka godzin.

Omiatam wzrokiem miejsce, do którego najlepiej pasuje słowo „speluna".

Mam już wychodzić i spostrzegam, pomiędzy niskohazardowymi automatami do gier, tablicę reklamową z kampanii wyborczej Senatora. Dziwne miejsce do umieszczenia podobizny Senatora, pomiędzy nielegalnymi automatami, z którymi walczy teraz rząd Donalda Tuska. Logo jego partii w tym miejscu musiałoby go wkurzyć.

Udaję się do Rejowa, gdzie czeka na mnie kolejny rozmówca.

3.

Wracam do lokalu Jagera. Tym razem na mój widok atmosfera tężeje. Kilku gości rzuca w moim kierunku ostre słowa. Podchodzę do baru i pytam, czy coś się zmieniło od mojej ostatniej wizyty.

– Nic nam nie wiadomo, kiedy szef będzie – słyszę.

Kiedy mam już wychodzić, drogę zastawia mi młody, wysoki, czarnowłosy chłopak.

– Zakopali go tutaj. – Wskazuje na drzewo widoczne z okien speluny.

Wymijam go bez słowa i na szczęście udaje mi się bez dalszych zaczepek wyjść na zewnątrz.

Po wejściu do samochodu, który zaparkowałem tuż przy lokalu, blokuję drzwi. Wyciągam ze schowka nawigację i wbijam w nią kolejny adres. W tym czasie wychodzi z lokalu Jagera młody, niski blondyn, przechodzi obok mojego samochodu i znika za rogiem budynku. Po chwili pojawia się ponownie, tym razem z wysokim, czarnowłosym chłopakiem, tym samym, który wszedł mi w drogę, gdy wychodziłem ze speluny. Przystają razem. Czarnowłosy wyciąga kartkę i długopis, patrzy na mnie i na samochód, na jego rejestrację i ostentacyjnie notuje numer. Po chwili spokojnie odchodzą.

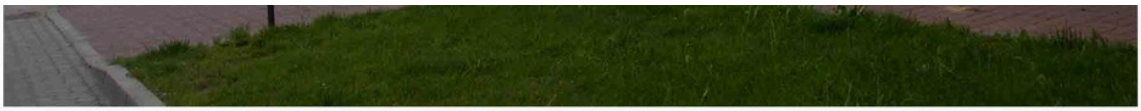

21
reklamy
szyldy

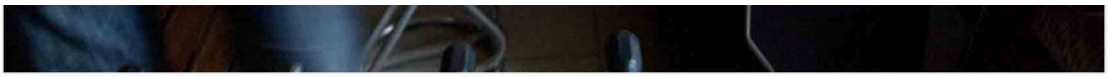

1910

Druga rozmowa z Senatorem, czyli pomówienia i anonim

Senator konsekwentnie nie chce się umówić na spotkanie w Skarżysku-Kamiennej, gdzie mieszka i ma biuro. Tutaj, w swoim gabinecie szefa komisji w Senacie w Warszawie przy ulicy Wiejskiej, czuje się pewniej.

– Zacząłem sprawdzać, bo takiego skur…ństwa od ludzi… – mówi Senator. Jest podenerwowany, ale wydaje mi się, że udaje. Dobrze przygotował się do spektaklu, w którym gram rolę widza. Ale nie komentuję, nie przerywam, to jego teatr: – Pismo do mediów wyszło z Platformy, z Ostrowca, od pana Miodowicza, na wniosek pana L. Głośno o tym się zrobiło w Ostrowcu. Nawet dotarło to do mnie ze źródeł komendy, policji, że bardzo kopią, że szukają, że mają bardzo dobrego informatora w postaci Miodowicza, który grzebie w moich sprawach sądowych, w papierach, gdzie się tylko da. A wiadomo, że prezes sądu wojewódzkiego i prokurator wojewódzki są z poręczenia Miodowicza. Wtedy był szefem regionu. On ma tam wejścia, bardzo są ze sobą powiązani. To jest zemsta za to, że ja nie udzieliłem poparcia panu Miodowiczowi w kampanii prezydenckiej na prezydenta Ostrowca. Oni chcą mnie za wszelką cenę skompromitować, żeby wyrzucić mnie z listy do Senatu, a na to miejsce dać kogo innego… Miodowicz zawsze współpracował z Gosiewskim w tej sprawie, szli ręka w rękę. Jak ja odciąłem Miodowicza od władzy w regionie, to wtedy wszyscy się na mnie rzucili, od L. po G. Skarga do CBA, później afera z drogą 73. Ludzi przeciwko mnie na drogę wyprowadził najbliższy współpracownik Miodowicza, który teraz z listy Platformy idzie. Ochotniczą Straż Pożarną tam zaangażował. To wszystko się zaczęło w tamtych czasach, ja myślałem, że to ucichło. Nie przypuszczałem, że ludzie są tacy mściwi. Gosiewski odszedł, CBA skończyło swoje działania. Wczoraj [w Senacie – przyp. aut.] było sprawozdanie CBA, Wojtyniuk [szef CBA – przyp. aut.] mówił, że

sprawdzanie zeznań majątkowych trwa dwa–trzy miesiące, a moje było najdłużej sprawdzane. To były cuda, co oni wyczyniali. Wydzwaniali do mnie do szpitala, do mojej sekretarki, mówili, że dzwoni agent CBA, że prowadzi sprawę przeciwko mnie.

– Opowiadał pan o tym ostatnio. A prawda, że dostał pan jakiś domiar podatkowy?

– Nie, ale w tej chwili sądzę się z urzędem celnym. Kupiłem sobie samochody, okazało się, że całym nieszczęściem jest to, że prezesem tej firmy, od której je kupiłem, jest mój brat, ale ja negocjacje prowadziłem z dyrektorem handlowym. Oni mi zarzucili powiązanie i ja mam teraz im udowodnić, że kupiłem je po tej cenie. Były to dwa samochody na przestrzeni dwóch lat.

– Pan więcej samochodów nie sprowadzał?

– Żona sobie sprowadziła.

– Mówi się, że pan dużo samochodów sprowadzał przez firmę brata. Pośredniczył w sprzedaży.

– Nie. Jest ogłoszenie w internecie. Ja nie sprowadzałem samochodów, z nikim nie handlowałem samochodami, nie miałem z tym nigdy nic wspólnego. Raz czy dwa razy mnie ktoś zapytał, czy ten H. ze Stanów to moja rodzina. Brat dwadzieścia lat działa na tym rynku. On wysyłał do Polski rocznie 200 samochodów.

– Rozumiem, że jak był pan senatorem, nie załatwiał pan nikomu żadnego samochodu?

– Nie.

Po raz kolejny zastrzega, robi to często: – Ja nigdy nie zrobiłem niczego niezgodnego z prawem.

– Zna pan Jagera?

– Oczywiście, znam go.

– Czy on wspiera pana kampanię?

– Tak, zawsze wspiera, jeździ trochę, pomaga.

– Dlaczego nazywają go gangsterem?

– Kogo?

– Jagera.

– Nie wiem, ja znałem jego starszego brata, przyjaźniliśmy się, znaliśmy się od dziecka. Natomiast on tam gdzieś obok nas się kręcił i tak naprawdę znalazł się koło mnie w czasie drugiej kampanii wy-

borczej, jak się pojawił przy mnie Jarek S., były komendant policji w Przysusze, kawaler Orderu Uśmiechu. Oni we dwóch prowadzili stowarzyszenie Wzajemna Pomoc, zapytali mnie, czy ja mógłbym w tym stowarzyszeniu zaistnieć. Przejrzałem papiery stowarzyszenia. Okazuje się, że oni we dwóch mieli problem alkoholowy. Ja miałem brata alkoholika, który niestety umarł. Zaangażowałem się w to stowarzyszenie, bardzo im pomogłem. Nawet objąłem je patronatem. W pomoc uzależnionym zawsze byłem zaangażowany, ze względów rodzinnych, bo mój ojciec też był alkoholikiem.

– Czyli pan nic nie wie, że on nie zawsze szedł po prostej linii?

– On? Na dobrą sprawę wiem tylko, że ma solarium i bar piwny. Nic więcej o tym człowieku nie wiem, naprawdę. Proszę mi wierzyć. I daję na to słowo honoru. Przychodził, pomagał. Zadaje się z człowiekiem, który był z komendantem bardzo blisko, współpracują, więc nie sądzę, żeby komendant zadawał się z gangsterem.

– Wieszał panu plakaty?

– To był jedyny człowiek, który nie kręcił nosem i potrafił powiesić plakaty w Ożarowie.

– Plakaty czy też inne materiały promocyjne?

– Tylko plakaty, miękkie.

– Widziałem usztywnione standy z pana wizerunkiem, pomiędzy automatami do gier.

– Gdzie?

– W lokalu Jagera.

– Nie byłem w tym lokalu nigdy.

– Ja tam byłem.

– I to tam leży do tej pory, z ubiegłych wyborów?

– Tak.

– Muszę mu zwrócić uwagę, bardzo mi przykro z tego powodu. Widzi pan, jaki to niechluj!

Kiedy później jeszcze raz wracamy do tego, już zirytowany rzuca:

– Dobrze, że mi pan to mówi, zaraz zadzwonię i opier…, i tak zakończy się współpraca.

Pytam o Człowieka z Lasu, Leszka K.

– Ja nie wiem, kto to jest. Nigdy w życiu go nie widziałem. Okej, usłyszałem, jak dostałem to pismo o pani O.-D. I drugi raz, jako o Leszku K., gdy zaczęli pisać o nim w gazetach, i w sądzie, jak zapytali mnie o niego i jego córkę, bo sobie uroili, że przez córkę nawiązywali kontakt ze mną.

Ciągle wraca do osoby Konstantego Miodowicza, opowiada rzeczy, które są trudne do cytowania. Senator go nienawidzi i wszystko jest dobre, plotka, pomówienie, by przedstawić mi swojego partyjnego kolegę w jak najgorszym świetle. Nie wierzę jego słowom, ale słucham.

– Miodowicz to jest z gruntu zły człowiek. Miodowicz wszystkich nie lubi, nie ma osoby, którą by lubił – podnosi głos. – Ja się z jego żoną wychowałem od dziecka. To jest człowiek, który nie ma przyjaciół. Pan Miodowicz powiedział, że on z gangsterami ze Skarżyska nie chce mieć nic wspólnego. Myśmy [z posłem Krzysztofem G. – przyp. aut.] wynajęli jedno z najdroższych biur po to, by być wspólnie z Miodowiczem, by mieć razem region. To tak nas potraktował. Jak się miałem czuć?

– Uważa was za gangsterów?

– Ale on tak uważa o G., że jest jełopem i przestępczą organizację prowadzi. On tak uważa o Ś., że to też jest bandzior. On tak uważa o wszystkich po kolei. A teraz, jak spadł z pierwszego miejsca z listy i czuje się zagrożony, że może nie wejść z drugiego miejsca, to największy przyjaciel, przylatuje, Zdzisiu, pomożesz? Człowiek, którego wyrzucili z partii, jeździ do Końskich i mówi: – Jureczku, pomóż mi. To jest tego typu sk…, rozumie pan? Ja nie chcę mieć z takim człowiekiem nic wspólnego. On potrafi na kongresie wstać i powiedzieć za moimi plecami, ja słyszę, jak mówi: „Ryszard, chodź, odejdziemy, bo tu jest Skarżysko i nie wiadomo, co nas może spotkać”. Kiedyś mu powiedziałem: „Jak ja bym był gangsterem, to ty byś na drugi dzień srał na rzadko, synu”.

Wracam do Lecha D. i spółki, jaką miał mieć z nim Senator.

– Porozmawiajmy jeszcze raz o spółce, jaką miał pan z Lechem D. – zagajam.

– Nie ja, to była spółka Wiesław P., Lech D. i żona. Jeden wielki niewypał. Ja to zeznałem w sądzie. Miało to wyglądać tak: zapłaciliśmy za część pola panu P., tak żeby uruchomić kopalnię kamienia budowlanego. Wtedy zaczynał się boom budowlany. Jankowice II, za Szydłowcem. Najlepsze kamienie. Powiedziałem wyraźnie: nie znam się na tym. Ja mam swój zawód. Mnie to nie interesuje. Leszek D. powiedział, że będzie sprzedawał i zajmie się dystrybucją, a produkcją zajmie się P. Ani jeden nie zajął się jednym, ani drugi nie zajął się drugim, ja na tym straciłem kupę pieniędzy, w porę powiedziałem „dziękuję, panowie", rozwiązałem spółkę i do widzenia.

– Pan mówił, że żona, a teraz mówi w formie ja.

– Ja, bo żona miała…

– Rozumiem, że żona, by delikatnie to ująć, nie była figurantem, ale wyznaczoną osobą z rodziny do reprezentowania spółki. Państwo nie macie rozdzielności majątkowej?

– Nie mamy.

– Leszek D. miał stwierdzić, że miał spółkę z panem, pan poszedł w senatory i zostawił go pan z problemami.

– W życiu tak nie było, bo spółka została rozwiązana. Senatorem zostałem w 2005 roku, a spółka została rozwiązana chyba w 2001 roku.

– Spółka nie miała zobowiązań, nie miała problemów?

– Żadnych. Podzielone zostały grunty, D. powiedział, że on nie chce, żeby cokolwiek na niego figurowało. Żona przejęła od niego część gruntów, które zostały sprzedane, D. wziął za to pieniądze i koniec, kropka, wszystko porozliczane. Nikt nikogo z niczym nie pozostawił. Nigdy nikomu, ani moja rodzina, nie byłem winny ani złotówki.

– Zna pan Sylwestra J., ksywa Janosik?

– Nie, nie znam.

Męcząca jest rozmowa z Senatorem: wpierw zaprzecza, a jak się okazuje, że coś więcej wiem, wtedy sobie nagle przypomina. Więc mówię:

– On miał wysłać do pana list, przez żonę, kiedy siedział…

Zadziałało. Senator sobie nagle przypomniał.

– Tak było… Nazwiska nie pamiętam. To było z 10–12 lat temu. Prokuratorem rejonowym był wtedy pan Marek K., ja od razu ten list zaniosłem do prokuratora rejonowego. Na tym to się skończyło. Zaniosłem ten list, tam nie był nikt podpisany pod tym listem i K., czytając ten list…

– Od kogo dostał pan list?

– Przyszedł do mnie chłopczyk, czy dziewczynka, nie pamiętam, w wieku 14–15 lat, do gabinetu, w czasie przyjmowania pacjentów, i mówi: „Mamusia prosiła, żeby panu to przekazać”. W kopercie, patrzę, jest dyskietka, pomyślałem, że jakieś badania, poszedłem na górę, wtedy w komputerze nie bardzo się orientowałem, poprosiłem syna, włóż to. Tam było napisane, że on sobie życzy jakieś pieniądze, nie pamiętam już dokładnie treści tego listu, o co mu chodziło.

– O podpalenie.

– Może. W każdym razie…

– Nie pamięta pan, o co chodziło, w jakiej sprawie pana szantażowano?

– Panie redaktorze, to było tyle lat temu. Natychmiast z tym pojechałem do K. To było parę miesięcy po tym, jak mu wysadzili samochód… Pamiętam, że o jakieś podpalenie chodziło, nie wiem, czy nie właśnie o L., i druga sprawa, chodziło jeszcze o to, że K. zaraz po podpaleniu przyszedł do mnie.

– Po co?

– Nie wiem, to jest prawda, my się przyjaźnimy z nim i Ewą K., znamy się od dwudziestu paru lat. Oczywiście później się spotkaliśmy, rozmawialiśmy na różne tematy… I Marek K., jak to przeczytał, to powiedział właśnie chyba to nazwisko, że to jest jakiś bandzior, wytatuowany cały, którego on zamknął na szesnaście lat. Tyle pamiętam z tego. I mówi: „Nie przejmuj się, bo to jakaś głupota”. Ja mówię, że chcę to złożyć oficjalnie. Ja sobie nie pozwolę na to, k…, żeby jacyś szubrawcy z więzienia pisali głupoty, i na tym się skończyło.

– Wie pan, że ten list był także w posiadaniu Lecha D.?

– Nie wiem, mówię panu, że moja znajomość z Lechem D. to nie była przyjaźń, to był tylko dobry znajomy. Ja przyjeżdżałem do nie-

go na stację benzynową, to on mi zawsze zatankował, umył szyby, sprawdził olej, pogadaliśmy, jego siostra u mnie pracowała, on się bardzo o nią troszczył. Taki według mnie rzetelny, solidny facet. On mi wtedy zaczął opowiadać o tej ziemi, potem przyjechał z tym P. na stację benzynową, jak ja byłem…

– Rzetelny? Ludzie go opisują jako raptusa, nerwusa…

– Nigdy go takiego nie widziałem. Był szybki taki, ale nigdy przy mnie nie okazywał agresji, jakiejś złości… On miał wielki szacunek i respekt do mnie. To nie była taka przyjaźń, że on poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Senator, co u ciebie?".

Rozmowa jest chaotyczna, trudno zapanować nad Senatorem. Teraz zaczyna mówić o kupowaniu głosów:

– Słyszałem bardzo dużo o kupowaniu głosów przez pana radnego z PiS-u, pospolicie zwanym panem J., który za gorzałę kupował u siebie głosy na mieście, w Skarżysku, na Kamiennej, koło urzędu skarbowego, nagrano go. Słyszałem o tym, że ktoś na Skałce, to Wojteczek, głosy za wina kupował, a i tak się nie dostał. Mówił, że kupił dwa tysiące win i nie dostał się do rady miasta.

– To Wojteczek startował do rady miasta?

– Pewnie, że startował kiedyś, Leszek Wojteczek, kupił dwa tysiące win i się nie dostał. Oni startowali z jednego ugrupowania, a pan Mieczysław S. rozdał pół samochodu garniturów i ledwo się dostał.

I znowu nie może dopuścić do siebie myśli, że właśnie on musi się tłumaczyć. Rzuca jeszcze raz: – Jak był plebiscyt na 80-lecie na człowieka Skarżyska, to ja wygrałem.

Wrabiają go.

– Kto to był z tej grupy policyjnej, kto pana wrabiał? – pytam. – Jaki wpływ na nominacje w służbach miał Miodowicz?

– Bardzo duży. Pan Bondaryk powiedział, że jest to jedyny człowiek, do którego miał zaufanie.

– A w policji?

– To musiałby pan zapytać Karola K., który powiedział, że jeden człowiek przez Miodowicza już odsiedział. Bo Miodowicz załatwiał

jakieś tam lewe interesy W. z Ostrowca z paliwem i ten policjant wziął to na siebie…

Senator nie obawia się mówić takich rzeczy dziennikarzowi. To nie jest nasza prywatna rozmowa.

– To musiał być Miodowicz. (…) Całym źródłem konfliktu był pan Miodowicz. Schetyna mówi mi w rozmowie: „Ty zostaniesz szefem", ja mówię: „Grzesiek, ja nie będę szefem partii, ja się nie nadaję na szefa partii…". „Ty musisz być, ty musisz zrobić porządek…". Mówię, że „jeżeli dzisiaj ustalimy, że ty chcesz robić bezwzględnie porządek, nie ma półśrodków i nie będziecie mi się w to wpier… i mówić: to jest mój przyjaciel, tego zostaw, tego mianuj wyżej, tego tu… To ja zrobię porządek w partii, ale się zastanów, bo ja półśrodków nie uznaję…". „Dobrze, zgadzam się". „Kiedy będą wybory?". „26 sierpnia". Poleciałem do Stanów, przedłużyłem pobyt do piątego września, żeby wybory odbyły się beze mnie. Wylądowałem na lotnisku o dziesiątej, o dwunastej telefon: „Pan premier czeka na pana". Przyjeżdżam, siedzi cały zarząd, wybory się odbywają, wybierają mnie. „No, gratuluję ci, ale tak, B. nie możesz ruszyć i tego drugiego nie możesz ruszyć…". „Grzesiek, jak się umawialiśmy?".

– Kogo drugiego?

– B., gamoń, jełop z S., który nawet nie umiał się odezwać. Ale B. kategorycznie… Robimy radę regionu, pan B. przychodzi i tak zaczyna ubliżać mnie, wszystkim kolegom z Platformy, bez żadnych zahamowań… Ja siedzę cicho, spokojnie, mam taki prikaz od sekretarza generalnego, wicepremiera… Mam go w d…, udaję, że nic nie słyszę. W pewnym momencie wstaje dziewczyna, mówi: „Już, k…, dosyć, takiego draństwa, Andrzej, jakie prezentujesz, nikt nie widział, ja stawiam wniosek o wyrzucenie cię z zarządu". Wniosek formalny. Nie mam nic do roboty i proszę sobie wyobrazić, że 96 procent ludzi zagłosowało za wyrzuceniem go. Po czym ja mam taką jazdę tutaj, że Schetyna mi przez półtora miesiąca ręki nie podaje i się nie odzywa. Wszem wobec powiedział, że jestem sukinsyn, który zagrał mu na nosie. Poszedłem do niego, złożyłem mu rezygnację. Powiedział, że on jej nie przyjmie, że muszę sobie jakoś z tym poradzić. „Ale jak już tak zrobiłeś, to musisz usunąć Miodowicza…". Mówię: „Miodowicza nie ma…". Za chwilę przychodzi do

mnie Miodowicz, żebrze i chodzi o to, że będziemy współpracować, bo on chce do europarlamentu, on chce to, on chce tamto. Dzwonię do Schetyny, pytam: „Szykujecie go do europarlamentu?”. „Tak, będzie miał trzecie miejsce”. „To z trzeciego miejsca nie ma szans, dajcie mu drugie miejsce”. „Dobrze, ustalimy drugie miejsce”. „Kazałeś go usunąć, ale słuchaj, nie ma innej możliwości, ja go muszę wziąć do zarządu. Muszę podnieść jego rangę”. „No, jeżeli będziesz na tyle łaskawy, to ja bardzo proszę”. I wziąłem go do zarządu. I miałem tak, że na każdym zarządzie stawiali wniosek o odwołanie mnie, mieli dziewięć do siedmiu głosów. W czasie kampanii do europarlamentu zaprosiłem Bogdana Klicha, zrobiłem w szkołach mundurowych spotkania, chodziłem z tym Klichem. Miodowicz nie przyszedł, bo ja byłem… Zrobiłem mu na uczelniach wykłady z bezpieczeństwa narodowego, a żeby nie podchodziło to pod kampanię wyborczą, uczelnie zaprosiły go jako wykładowcę. Odmówił, bo ja mu załatwiłem. I przepier… te wybory. I pierwsze, co zrobił, to obciążył tym mnie. I zaczął robić wtedy taką jazdę, że ja poszedłem do Schetyny. „Grzesiek, no, niestety, musiałem Miodowicza lekko odsunąć od władzy” – i on się zrobił blady jak ta szklanka i mówi: „Coś ty, k…, narobił?”. „Co, ty też się, k…, go boisz?” – mówię. „Grzesiu, to już jest krótka rozmowa, po raz drugi składam ci rezygnację, do widzenia, cześć, koniec”. „Nie, nie przyjmuję rezygnacji. Przyjdź do mnie za tydzień”. Przychodzę za tydzień i mówi: „Co byśmy mogli zrobić?”. Odpowiadam: „Jest jedyne wyjście, musisz przyjechać do nas, będziemy wspólnie rozmawiać na zarządzie”. „Dobra, za dwa tygodnie przyjeżdżam. Wpisuję w kalendarz”. Zawołał tego swojego Targińskiego: „Paweł, wpisz, że za dwa tygodnie przyjeżdżam do Skarżyska”. Za cztery dni przyjeżdżają ludzie z Warszawy, zabierają nam wszystkie dokumenty, okazuje się, że organizacja rozwiązana. A tydzień później staje to na zarządzie krajowym. Tak nam rozwiązali organizację.

– Na czyje wsparcie może pan teraz liczyć?

– Teraz poszedłem do Marzeny. Poprosiłem o rozmowę z nią. To jest młoda dziewczyna, z młodymi ludźmi należy rozmawiać, rozmowy wychowawcze prowadzić, tym bardziej że ja mam duże

doświadczenie w zarządzaniu zasobami ludzkimi. Poszedłem do niej na rozmowę i jej wytłumaczyłem: „Marzenko, słuchaj, ty jesteś jeszcze młodą dziewczyną, dopiero na starcie i masz dwa wyjścia: albo stanąć okoniem przeciwko wszystkim, spier…isz to wszystko, przegrasz. Przegrasz z jednego powodu, w pewnym momencie będziesz musiała zająć konkretne stanowisko, to stanowisko jak zwykle nie będzie odpowiadać Miodowiczowi czy Świerszczowi, i ci ludzie zaczną cię topić. Będziesz ich wrogiem. Zastanów się, na kim ty się chcesz oprzeć. Ja nie mówię, żebyś ty mnie kochała, żebyśmy się przyjaźnili, tylko my po prostu współpracujemy. Masz problemy? Ja ci zawsze pomogę. W niczym ci się nie będę narzucał, rób sobie, co chcesz, ale jeżeli będziesz naprawdę popełniała kardynalne błędy, nie zdziw się, że ci powiem: Marzena, spier…aś, bo ja taki jestem, ja ci powiem uczciwie, prosto w oczy". Parę razy się o tym przekonała. Teraz między nami nie ma żadnego konfliktu. Ona wie, że Miodowicz pod nią już kopie, dlatego że jest na dwójce, że Świerszcz strasznie pod nią kopie, bo chciała go dać na szóste miejsce na liście, a on chciał być trzeci i wyrzucić posła Pacelta [posła PO – przyp. aut.] z listy po to, żeby on był… Ona przyszła i któregoś dnia się rozpłakała, mówi: „Miałeś świętą rację, Miodowicz chciał, żebym oddała mu jedynkę…". Ja jako jedyny parlamentarzysta nie jestem w zarządzie, bo nie chcę być z nimi w zarządzie. Nie chcę mieć współodpowiedzialności za ich działania. Na zarządzie Maćkowiak [lokalny działacz PO ze Skarżyska – przyp. aut.] tylko cały czas mówi, kogo wyj…, kogo wyp…, kogo zaj…, kogo zniszczyć. To są jego słowa, na zarządzie w obecności kobiety, bo on się musi zemścić na wszystkich, że nie został wicemarszałkiem. No, gdzie ta nowa Platforma, nowe otwarcie?

– To dlaczego jest pan w tej partii?

– Ja jestem w tej partii tylko dla jednej osoby, której wierzę bezgranicznie, dla Donalda Tuska.

– I pan uważa, że Tusk pana ocali?

– Nie wierzę w to, ale ja w niego wierzę. I jeszcze ci dziennikarze, których Miodowicz ma mieć w ręku, a zwłaszcza ma jednego cyngla.

– On? – pytam.

– Oczywiście, że K. to jest człowiek Miodowicza, pan nie wie o tym?

– W jaki sposób jest tym człowiekiem?

– To są stare sprawy… Miał wpadkę w Czeczenii i Miodowicz go zwerbował…

– Hunia go przywoził…?

– Tak, Hunia go przywoził, a Miodowicz zwerbował i dlatego to jest bardzo oddany człowiek.

Kolejne pomówienie, jakie rzuca Senator. Trudno tego słuchać. Ale to nie wszystko. Kiedy kończymy rozmowę, Senator wyciąga ze swojej teczki kartkę i wręcza mi, mówiąc:

– Dam panu jeszcze przeczytać list… Nie mam tego drugiego, tamto było bardzo długie, ale gdzieś się zawieruszyło…

Biorę i czytam: „Panie Senatorze…”.

Kończę lekturę, spoglądam na niego i pytam:

– A pan uważa, że to prawda?

– Panie redaktorze, nawet gdyby to była prawda, to mnie to g… obchodzi, szczerze panu powiem, to jest ich prywatne życie. Wszystko było niszczone, wyrzucane.

Anonim pomawia posłankę i znaczącego posła z jego partii, Platformy Obywatelskiej. Tylko po co mi go Senator daje, jeśli go to wszystko nie obchodzi? Retoryczne pytanie – komentuję w duchu i pytam:

– Mogę go wziąć?

– Proszę.

– Czyli to dziewczyna…? – pytam go. Anonim sugeruje, dlaczego pewna posłanka ma mocną pozycję w Platformie Obywatelskiej, i to pomimo zarzutów, jakie w nim wymieniono.

– Żeby byli szczęśliwi, jak G. ma jeszcze zdrowie i ochotę, to proszę bardzo… Odmłodniał ostatnio.

PANIE SENATORZE

Wielokrotnie próbowałem się z Panem spotkać i nie miał Pan dla mnie czasu więc jestem zmuszony napisać do Pana i innych wpływowych osób ten list, ponieważ informacje, które dwukrotnie przesłałem do Zarządu Krajowego PO pozostały bez oddźwięku.

W moim odczuciu jest to bulwerujące, aby osoba z tak niemoralną przeszłością pełniła funkcję komisarza PO w regionie świętokrzyskim.

Raz jesze informuję, iż w latach dziewięćdziesiątych Pan [redacted] wspólnie ze swoją żoną [redacted] (obecnie Posłanką PO) prowadzili restaurację w miejscowości [redacted].Wspólnie z przestępcą z Kielc nazywanego Dzbanek pod przykrywką prowadzonej restauracji prowadzili tam również agencję towarzyską z udziałem 3 kobiet tzw. wolnych obyczajów. O przedmiotowej agencji towarzyskiejwiedziało dużo zainteresowanych osób, korzystających z takich usług. W tym samym czasie na terenie województwa istniało tylko 4 takie agencje, więc był to interes bardzo dochodowy. Po jakimś czasie nastąpiły walki o wpływy grup przestępczych m. innymi z Kielc, Bliżyna, Stąporkowa, Skarżyska i Starachowic którzy chcięli brać haracze za taki interes. W wyniku tego, iż [redacted] i [redacted] nie zgodzili się na podział zysków a jednocześnie mieli spore długi u kilku "Panów" ze Skarżyska lepszym sposobem było podpalenie lokalu i odebraniu sporej kwoty z tytułu odszkodowania. Nie będę się rozpisywał, jakie osoby korzystały z usług tego "lokalu" jednakże wystarczy spojrzeć kto finansował kampanię Pani [redacted] kto pomaga Panu [redacted] prowadzeniu obecnej firmy.

Mam również nadzieję, iż obecnie odsiadujący wyrok więzienia za zabójstwo, kolega Pana [redacted] i [redacted] nazywany Śruty z [redacted] powie kilka ciekawych słów jak np. dowcip który od 2 lat krąży w [redacted] iż teraz [redacted] tworzy "burdel" na ul. Wiejskiej w Warszawie.

Jak mówił Epikur " Nie można żyć szczęśliwie, nie żyjąc godnie, moralnie i uczciwie" więc proszę Was o interwencję w tej sprawie.

W uznaniem;

UCZCIWY

Część ósma

Jager

Rozmowa z Senatorem musiała pomóc, tym razem Jager oddzwania i umawiamy się na spotkanie. Na miejsce wybiera stację benzynową przy drodze Warszawa–Kraków.

– Senator mówił, co się wydarzyło przed pana lokalem?

– To jest tak, że oni bronią swojego terytorium – śmieje się.

– Rozumiem, że wkrótce mogą mi podpalić samochód? – rzucam z uśmiechem, niby żartem.

– Nie, nie… – uśmiecha się.

Kupuję kawę i wychodzimy na zewnątrz, stajemy koło automatycznej myjni samochodowej.

– Pan jest radnym?

– Tak.

– Z jakiej frakcji?

– Raczej po prawej stronie.

– Po prawej?

– Czyli jestem bliżej liberałów, Platformy. Tam, gdzie Senator.

– Pan go wspiera?

– Wspieram go z wielu względów, między innymi znają się nasze rodziny. On jest porządny człowiek. Natomiast nie będę wspierał pani O.-D., oni w parze będą szli, on do Senatu, ona do Sejmu. Ona jest moim przeciwnikiem politycznym. Będę wspierał Zbigniewa Pacelta i ogłoszę to publicznie. U nas jest taki burdel, że Platforma jest tak z PiS-em. – Pokazuje złączone ręce. – W powiecie koalicja jest legalna, bo podpisy złożone, a na mieście mówi się, że nie jest, a tak

naprawdę jest. Zadzwoniłem do Senatora i powiedziałem: „Mówię ci oficjalnie, że nie popieram pani Drewnowicz. A ja zaplecze mam duże, które pójdzie za mną”.

Spotykam się z Jagerem.

– Skąd wzięła się u pana ksywa Jager?

– Bo kocham Rolling Stonesów.

– Mówią także o panu, że jest pan gangsterem?

– Miałem w przeszłości konflikt z prawem. Kara się zatarła. To był 1998 rok. Jak byłem w dwóch komisjach, zdrowia i praworządności, w internecie pisali: „Były gangster w komisji praworządności, a policjanci turlają się ze śmiechu”.

– Za co pan miał wyrok?

– Miałem wyrok jako zleceniodawca, nie miałem tego udowodnionego, to jest wszystko poszlakowe… Jako zleceniodawca wyrządzenia krzywdy prokuratorom i sędziom.

– Podpalenia?

– Tak… jedno, ale nie zostało to udowodnione. Wyrok dostałem w zawieszeniu. Każdy może zbłądzić.

– To było trzynaście lat temu?

– Tak, Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej we Francji. Ja kocham piłkę nożną i rock and roll. Chciałem coś w polityce zmienić. Na razie jestem grzeczny…

Śmieję się, na co on się sumituje i wyjaśnia:

– Pewne rzeczy się zakończyły w moim życiu i nie będę gangsterem… Miałem kiedyś pewne towarzystwo, nie byłem kryształowy…

– Zna pan Człowieka z Lasu?

– Nie… Powiem panu tak: jak jest jakaś afera na mieście, wszyscy ci gangsterzy i pseudogangsterzy, to robię sobie rachunek sumienia, czy ja miałem coś do czynienia z nim. Ja takiego pana W. [wymienia nazwisko Kajtka – przyp. aut.], słynnego świadka, i pana K. [Człowieka z Lasu – przyp. aut.] nie znałem. Oczywiście miałem wezwanie na komendę policji do Kielc, bo skradziono mi samochód

w 1999 roku. Pytają, czy pan płacił wykupkę? Nie, ja miałem ubezpieczenie, autocasco. Starano mi się wmówić, że to Lech D. za tym stoi, którego dobrze znałem, mój kolega, który siedzi, bo mu się w głowie pomieszało i robił różne historie, bo się skłócił z Wojteczkiem. Leszka Wojteczka też przecież znam. Piłem z nim wódkę… No bo ja, jeszcze tego panu nie mówiłem, jestem uzależniony od alkoholu.

Patrzę na niego pytająco.

– Wyleczony, dwadzieścia trzy lata już nie piję. Ruch trzeźwościowy w Skarżysku zakładałem. Byłem prezesem klubu abstynenta. Jestem z tego dumny, że coś w życiu osiągnąłem, bo byłem na trzech odwykówkach. Ruina ze mnie była fizyczna i psychiczna. Jakoś się odbiłem z tego winkla, na którym stałem i żebrałem na wino. Mogę powiedzieć, że na salony zaszedłem. A to, że świat przestępczy znałem czy znam… Ale przecież jak pogłaskam dziecko, to nie powie pan, że jestem pedofilem? Znać to można, ważne, by nie wchodzić w jakieś tam układy.

– Kto w takim razie trzęsie Skarżyskiem?

– Z tego, co ja wiem, to Człowiek z Lasu trzymał tu rękę na wszystkim.

– A inni?

– Lech D. był ważnym ogniwem, to chłopak, który chciał być gangsterem, jego to podniecało. Podniecało go załatwianie wszelkich spraw, on załatwiał skrobankę, coś tam na komendzie, żeby prawa jazdy nie zabrano, on załatwiał wszystko. Miasto się do niego zjeżdżało. On żył tym, on się tym podniecał. A że miał układy na komendzie, to jeździł samochodami kradzionymi, normalnie na legalu. Pijany je rozbijał, zostawiał i brał następne, dalej jeździł. O tym wszyscy wiedzieli. Jak mnie wezwano kiedyś na komendę wojewódzką, gdy pracowałem w ośrodku Rejów [u Braci – przyp. aut.], chłop się mnie pyta o sprawę sprzed siedmiu lat. Mówię mu, panie, powie mi pan, co robił pan siedem lat temu? On mi, że u nas to było tak, że ten chodził z tym i tym do szkoły, bawił się na jednym podwórku, i pod dywan… I tak było. Jak policja miała robić nalot na kradzione samochody, jak pod tą słynną Jubilatką, to jak stało tam sto samochodów, to w ten dzień tylko jeden polonez i fiat, bo

wszystkie były schowane. To takie miasto, dziwne miasto. A powiązania…

– Od czasu do czasu można coś na ten temat przeczytać…

– Tak, Gosiewski powiedział, że księgowy mafii jest wiceprezydentem, mój przyjaciel, Bogusław, radny z mojego ugrupowania. Tu jest wesoło i wesoło było. Tylko zrobili tak, że Człowiek z Lasu to boss, ale sam pan widzi… Gdzieś tam jakiś posłuch miał, bo jak było mówione między tymi łobuzami: słuchaj, bo Leszek z Lasu jak się dowie albo że Leszek z Lasu się upomina, bali się go… Ja nie miałem z nim jakoś kontaktu. A tych wszystkich, co siedzą, to znam, poza tymi ze Stąporkowa, ich nie znam. Nigdy nie miałem do czynienia z Człowiekiem z Lasu ani z W. [Kajtkiem – przyp. aut.]. Mówię do policjantów: pokażcie mi zdjęcia, przynajmniej ich zobaczę… Na pewno koło mnie gdzieś przechodził, ale ja go nie znałem.

– Mówią, że w Skarżysku jest modne kupowanie głosów w czasie wyborów.

– Uważam, że głosy kupuje się wszędzie, tylko w różny sposób. Ktoś pracuje na to cztery lata, stawiając piwo ludziom. Potem gdzieś tam tych ludzi zbierze. Idą. Stawia im potem wódkę. To jest proceder, który jest znany od lat. Tylko żeby udowodnić to, to musiałby być złapany za rękę ten, który kupił głos, i ten, który sprzedał. To jest proceder znany wszędzie i robią to ludzie w różny sposób. Część ludzi zrobi jakąś imprezę, ci przy władzy to stołkami obstawią… Jest jeden tutaj mistrz świata. – Śmieje się i urywa.

– To znaczy?

– Panie Sylwku, nie będę panu wszystkiego opowiadał, bo i tak panu dużo powiedziałem… Jak ktoś idzie do rady miasta, ma określone cele. Więc ja mogę się wypowiadać na temat sportu, bo go uprawiałem i uprawiam do dzisiaj. Byłem prezesem klubu, działaczem sportowym, organizatorem imprez, festynów, turniejów piłkarskich. Mogę się wypowiadać w sprawie uzależnień, bo sam jestem uzależniony. Mogę się wypowiadać w sprawie dróg, że dziurawe… Złożyłem już cztery interpelacje. Jestem tym radnym czyn-

nym. Natomiast są radni, którzy przez cztery lata nie złożyli żadnej interpelacji i są kolejną kadencję. Po co oni są radnymi? Każdego się pan spyta, to powiedzą, kto jest kto.

– Pan jest z frakcji Braci z Rejowa?

– To znaczy, wie pan co, jestem kojarzony… Mówi się, że to mafia znad wielkiej wody. Przewiózł się na tym Przemysław Gosiewski, jak przegrał sprawę z posłem G., który dzięki temu został posłem.

– Że niby Krzysztof G. jest ich żołnierzem?

– Tak, stało się to tuż przed wyborami i tak kampanię sobie na tym wygranym procesie zrobił. Wszedł do Sejmu, został wiceministrem. I potem leży pijany na korytarzu sejmowym. Porażka, spadł z wysokiego konia. Jak startował, to mówiliśmy mu, żeby się uśmiechał, bo Senator to zupełnie inny człowiek, tu rękę poda, z kobitkami takimi i innymi, kawał opowie, a tamten buc i on się nie zmieni… Ale kolega mój i ja… Niby z tej opcji rejowskiej byłem, bo… Teraz w tych wyborach Rejów w zasadzie się nie mieszał w wybory. Bo tak to na Rejowie układano wszystko, listy itd.… Mnie tam oszukiwali, więc ja teraz poszedłem sam… Oni się nie wtrącali, może przed samą końcówką, ale minimalnie. A oni zawsze rozdawali karty, były spotkania, układanie list, kto gdzie pomaga, jak… Ja w trakcie wyborów jadę na jedną ulicę, z moimi kolegami, i mówimy do chłopaków, że trzeba na kolegę zagłosować, znacie go z Granatu, piłkarz, oni mówią: nie ma sprawy, ale nam dali, że mamy głosować na tego i na to. Patrzę na moich przeciwników, czyli Rejów grał przeciwko mnie… Ja poszedłem swoją drogą, zrobiłem dobry wynik i nie mam żadnych zobowiązań wobec Rejowa. Raz nawet zagłosowałem za podwyżką dla prezydenta, żeby pokazać wszystkim, że nie jestem związany z Rejowem, że nie mam żadnego guru nad sobą. Bo poczułem, że mogę tu być jednym z liderów. Zaczynają się ze mną liczyć.

– Wspomniał pan, że był kierownikiem ośrodka w Rejowie?

– Kiedyś byłem. Miałem już wtedy bar.

– Ten bar to taka melina… Pan jako były alkoholik…

– Panie Sylwku, tak panu powiem, jak mówili Rzymianie, pieniądz nie śmierdzi. Ja tego baru nie zamienię na ekskluzywny. Ja

nie mam tam żadnych awantur, u mnie się nie biją, nie kradną. U mnie baru bronią ci właśnie menele.

– Fakt, bronią, czujni są – śmieję się.

– Tak, i ja mam święty spokój. No bo trochę ten świat przestępczy mnie szanuje. Liczą się w jakiś sposób ze mną.

– Jaka jest skarżyska policja? Znał pan komendanta Ż.?

– Tak, kiedyś byłem, dwa lata temu na zabawie bractwa kurkowego, tam jest Senator. Siedział koło mnie ten Ż., widać było, że chłop sfrustrowany… Tutaj to karty na komendzie Lech D. rozdawał, zresztą miał ksywkę Komendant.

– Mówi się, że Senator wspiera teraz Lecha D. Obawia się jakiegoś szantażu?

– Nie wiem, czy go wspiera jawnie, czy niejawnie. Byli blisko siebie. Na pewno mieli biznes wspólny. Jakie tam były układy, trudno powiedzieć… Tam były samochody i różne cuda… Był samochód i nagle zginął… Ale nikt niczego nie udowodnił. Coś tam jest na rzeczy, że sobie pomagają. W świecie przestępczym to jest tak, że jak jest dwóch kolegów i jeden idzie siedzieć, to ten wspólnik ma obowiązek jemu pomagać. A jak zarabia, powinien mu jeszcze odkładać. Coś tam na rzeczy było, ja nie wiem co… Całym numerem był Wtórpol.

– To znaczy?

– Gdzie pracował Lech D.?

– U nich.

– On był od zadań specjalnych, żeby załatwić jakiś mandat na komendzie. Nagle Wojteczkowi nie spodobało się to, że do niego przyjeżdżają gangsterzy, czyli między innymi Człowiek z Lasu. I zaczął zwracać mu uwagę.

– Wkrótce nastąpiło podpalenie Wtórpolu.

– Tak, ja tam przyjeżdżałem, jak się wszyscy od nich odsunęli, pomimo że bałem się, że mi coś za to zrobią.

– A jak pan ocenia dzisiejszą policję?

– Jest inaczej, jest Piotr Kania [zastępca komendanta policji w Skarżysku – przyp. aut.], wariat, siedzi po dwanaście godzin na

komendzie, pilnuje wszystkich. Trudny mają dostęp teraz. Wiem, że jak mieli jakiś problem, to szukali dostępu przez Michała Domaradzkiego [wówczas zastępca komendanta wojewódzkiego w Kielcach – przyp. aut.]. Podobno też nie chciał. To opowiadał mi jego brat. Natomiast jak był na wolności Lech D., to jak poszedłem z nim na komendę, to wyglądało tak, jakby on był komendantem. Szedł jakiś policjant, ten go zatrzymywał i mówi: „O, co tam masz, pokaż akta. O! Ten samochód…". Wszystko wiedział.

– Policjanci pozwalali na to?

– On tam chodził pijany, robił wigilie, czuł się jak u siebie w domu. Zachowywał się tak, jakby nie był w instytucji państwowej. Chodził od pokoju do pokoju. Potrafił, jak było przesłuchanie, gdy ktoś na niego coś powiedział, dać mu w mordę przy policjancie. Tak było. To były kabarety. On tu rządził i wszyscy do niego jeździli ze wszystkim. A wykupki? Było wiadomo, że jak zginął samochód, to nawet niektórzy nie szli na komendę, tylko do niego jechali. On był tutaj instytucją. Miał taką dużą kartkę. Sto różnych notatek i telefonów popisanych. On tym żył. Jemu się zresztą dobrze powodziło.

– Dlaczego podpalili samochód męża pani minister K.?

– Stare sprawy…. Ostatnio Marek K. przyszedł do biura Senatora w takim stanie, że leżał i się zsikał, aż musiała przyjechać do niego ochrona i służby, które czyszczą.

– A ksiądz K.? [to jego wymieniał Senator jako trzęsącego Skarżyskiem-Kamienną – przyp. aut.]

– Z nim można załatwić wszystko. Teraz będą proponować, żeby został honorowym obywatelem miasta, ja będę postulował, żeby został biznesmenem roku. On się pyta, kto to jest ten Jager. Bo jak są imprezy, to wszyscy lecą do niego i klękają, i on rozgląda się, nie patrzy, kto go całuje, ale kto nie całuje. Na koniec podchodzi do mnie i mówi: „Witam", a ja mówię „Witam". Ja jestem człowiekiem

niewierzącym, on dla mnie jest normalną osobą. Różni się ode mnie tylko tym, że ja płacę VAT, a on nie.

Rozmawiamy o tym i owym. Jager przerzuca się z tematu na temat, w pewnym momencie zastanawia się, jak radzi sobie w terenie poseł Marzena Okła-Drewnowicz, której nie znosi.

– Ona nie ma zaplecza, nie ma jej kto plakatu nalepić, nie ma jej kto ulotek poroznosić, nie ma kto jej zorganizować spotkań. Ona jest sama. Ona musi zapukać. Wie, że jestem doskonałym organizatorem, bo Senatora dwa razy wprowadziłem, kiedy wykonałem robotę nieziemską, bo jeździłem po Michałkowach, Kielcach, wszędzie, za wycieraczki się wkładało, rozmawiało z ludźmi, organizowało spotkania. To jest kawał roboty. Dwa razy został senatorem. Myślę, że teraz też zostanie. Natomiast ona psim swędem weszła.

Żegnamy się. Kiedy wsiadam do samochodu, patrzy na niego. Odprowadza mnie wzrokiem, gdy odjeżdżam. W lusterku wstecznym spostrzegam, że do kogoś dzwoni.

Sesja rady miejskiej oczami lokalnego dziennikarza

Na ostatniej sesji miejskiej radny Piotr Gadecki pytał o sprawy etyczne i konieczność powołania komisji etyki, bo źle się w lokalnej polityce dzieje. Radni i urzędnicy krzyczą, obrażają się, wypowiadają obraźliwe słowa. Na ostatniej sesji Rady Miasta mieliśmy apogeum. Jak dalej będą wyglądać obrady? Jak na takie przedstawienia zapatrują się podatnicy, którzy ten „cyrk" finansują? My przeprowadziliśmy własne obserwacje, to samo zrobił redaktor „Echa Dnia" Mateusz Bolechowski. Oto jaki wyłania się z nich obraz.

Na ostatniej sesji było nerwowo. Dlatego że przepadła ważna uchwała prezydenta Wojcieszka, może również dlatego, że Andrzej Dąbrowski, przewodniczący Rady Miasta, przygotował, jak zauważa „Echo Dnia",

„sesję molocha, z 35 projektami uchwał". W efekcie sesja rozpoczęła się o 8.30, skończyła po 19. Ta ilość uchwał zdenerwowała radną SLD Halinę Karpińską, choć inni radni też nie kryli zdumienia.

„Pani jest na emeryturze, a większość radnych pracuje i musi brać wolne" – odpowiadał przewodniczący Dąbrowski. Kwestia wieku radnej Karpińskiej powróciła, gdy ta stwierdziła, że omawiany temat nie był dyskutowany na komisji. Andrzej Dąbrowski odpowiedział, że jej problemy z pamięcią wynikają chyba z racji wieku. Radna się zdenerwowała, wylała z wrażenia wodę mineralną, oby nie na ważne dokumenty. Radny Piotr Gadecki skwitował wypowiedź przewodniczącego krótko: „To chamstwo i bezczelność!". Andrzej Dąbrowski prywatnie radną już przeprosił. Ponieważ jednak pani Halina była obrażona publicznie, teraz domaga się publicznych przeprosin. W rozmowie z „Echem Dnia" skwitowała krótko: „Co on mówi, że jestem za stara i nie mam pamięci? Chyba jest chory".

Teraz kwestia podawania ręki przy powitaniu, bo nie wszyscy na sesjach się witają. Wspomniany już Gadecki nie wie, co w tej sytuacji robić ze swoją kończyną. Gadecki faktycznie w skarżyskim samorządzie jest od niedawna, więc może nie był zorientowany, że niepodawanie ręki przez niektórych urzędników wybranym osobom ma w samorządzie miejsce. My również spotkaliśmy się z taką nową formą kultury. Rozmawiamy z nim o ostatnich wydarzeniach na sesji (zobacz wideo).

Poziom rozmów niektórych osób też pozostawia wiele do życzenia.

Kiedy radny miejski Konrad Kronig w miejscu publicznym skierował rękę do powitania ku jednemu z urzędników miejskich, był zaskoczony jego reakcją. Sympatyczny Anglik odpowiedziałby: „Hello", w Skarżysku istnieje inne sformułowanie powitalne: „Idź pan na drzewo".

Ten sam radny, kiedy na ostatniej sesji odczytywał list przedsiębiorców, twierdził, że w tym samym czasie sekretarz miasta Jan Janiec pukał się w czoło. Kronig i Janiec bardzo ze sobą sympatyzują.

Kiedyś sekretarz Jan Janiec wystąpienie Konrada Kroniga podsumował krótko: „Aleś mądry”. „Mądrzejszy od pana” – szybko zareagował radny. „Tu mieszkam”. Wracając do tematu, kiedy Kronig zaczyna mówić coś na sesji, sekretarz zwykle albo poprzez gesty, albo poprzez słowa reaguje w charakterystyczny dla niego sposób.

Na ostatniej sesji sekretarz przerywał również wypowiedź radnego lewicy Jarosława Tarasińskiego, ale ten ostatni zbytnio się tym nie przejął. „Mam mikrofon, więc jestem od pana głośniejszy”.

O ile do 14 radni jeszcze funkcjonowali w miarę normalnie, o tyle z każdą kolejną godziną byli już coraz bardziej zmęczeni. W „Echu Dnia” czytamy: „przy jednym z głosowań Mieczysław Sadza wyraźnie zmęczony stwierdził – a co tam – i podniósł rękę”. Na miejskich sesjach liczenie głosów bywa bardzo trudne. Nie mamy takiej techniki jak w parlamencie. Radni podnoszą rączki, a jeden z nich wybrany na początku sesji liczy. Na ostatniej liczył Zdzisław Ślusarczyk. Przy pierwszym głosowaniu nie mógł się doliczyć i radni podnosili ręce kilkakrotnie. Problemy z liczeniem były również, kiedy liczono głosy po wyborze ławników. Komisja skrutacyjna liczyła i doliczyć się nie mogła. „Liczenie do 15 nie powinno przekraczać waszych możliwości” – skomentował w końcu Jarosław Tarasiński.

Najbardziej nerwowo zrobiło się jednak w przypadku głosowania uchwały związanej z centrum miasta i likwidacją Manhattanu. Miesiąc temu uchwała przepadła, odbył się szereg konsultacji, spotkań z kupcami, więc wydawać by się mogło, że uchwała przejdzie. Nic bardziej mylnego. Radni prezydenckiej uchwały nie poparli i to dla prezydenta Romana Wojcieszka było już za dużo. Wbiegł na mównicę, krzyknął na radnych i dał im 30 dni na zaproponowanie, jaki jest ich pomysł co do Manhattanu.

Słowo typu: żenada, głupiec, matoł, debil i inne mniej i bardziej mocne, z ust niektórych lokalnych samorządowców w kuluarach słychać często. Cóż, emocje robią swoje. Po głosowaniu kwestii centrum miasta obecni na sali dziennikarze i radni z okolicy stołu, gdzie siedzą prezyden-

ci, usłyszeli komentarz: „To przecież debile są!”. Dziennikarze jednogłośnie przypisali te słowa sekretarzowi Janowi Jańcowi. Redaktor „Echa Dnia” Mateusz Bolechowski przepytywał prezydentów i sekretarza, czy słowo „debile” padło, czy może dziennikarze mają problemy ze słuchem.

„Nie wiem, o czym panowie mówicie. Ja nic takiego nie powiedziałem. Nic mi się w stosunku do radnych nie wyrwało” – mówi na łamach „Echa Dnia”.

Wiceprezydent Grzesiak stwierdził z kolei, że nie słyszał, bo ma przytępiony słuch, a wiceprezydent Grzegorz Małkus w przeciwieństwie do sekretarza nie powiedział, że takie słowa na pewno nie padły, ale zapewnił, że nie dotyczyły radnych.

„Coś takiego mogło być powiedziane, ale rozmawialiśmy o konkwistadorach w związku z peregrynacją kopii obrazu Matki Bożej z Gwadelupy. Może ktoś stwierdził, że to byli debile, bo zniszczyli wspaniałą kulturę Indian” – odpowiedział w „Echu Dnia” wiceprezydent. Tą ciekawą lekcją historii moglibyśmy zakończyć relację z ostatniej sesji, ale dodamy jeszcze, że radni nie przegłosowali również zmiany w statucie miasta, która umożliwiałaby przyznanie tytułu honorowego obywatela miasta osobie nieurodzonej w Skarżysku. Wszyscy radni byli świadomi, że chodzi tu o osobę kustosza Jerzego Karbownika, bo propozycja nadania mu takiego tytułu pojawiła się kilka miesięcy temu. Wielu radnych podeszło do niej sceptycznie, a w czwartek potwierdziło się, że takiej woli nie ma, bo za taką zmianą w statucie zagłosowało zaledwie trzech radnych. Piotr Gadecki stwierdził w rozmowie z nami, że jeden z głosujących za Zdzisław Ślusarczyk liczący głosy reakcję radnych skomentował: „Niemożliwe”. W Skarżysku-Kamiennej wszystko jest możliwe.

Jeśli nic się nie zmieni, Komisja Etyki w naszym lokalnym parlamencie może się przydać.

TVS Skarżysko, Jacek Kurpeta

http://www.tvskarzysko.pl/aktualnosci/4981-cyrk-i-kabaret-na-miejskich-sesjach.html

Senator pośredniczy w pożyczce

Dostaję od M. informacje, że pod Skarżyskiem jest biznesmen, właściciel stacji benzynowej i hotelu, który wpadł w tarapaty przez Senatora. Ostatnio doznał zawału serca i omal nie umarł. Kiedy pojawiam się u niego, rzeczywiście nie wygląda najlepiej. Zaprasza mnie na zaplecze stacji. Jest bardzo zdenerwowany.

– Jestem tak na psychice pojechany, że… Ja panu coś przeczytam, panie redaktorze, aż mnie ciarki przechodzą, jak o tym myślę, ja nigdy nie włóczyłem się po sądach. Byłem radnym w powiecie, on lekarzem…

Biznesmen bierze do ręki kilka kartek i zaczyna czytać swoje oświadczenie: – Sporządzono w obliczu narażenia mnie na straty finansowe w wysokości miliona złotych i 170 tysięcy euro przez Senatora. – Przerywa i wtrąca: – W białych rękawiczkach to zrobił. Niniejszym podaję szczegółowe okoliczności wyłudzenia pieniędzy przez Senatora. Pod koniec kwietnia 2009 roku odwiedził mnie Senator, podczas spotkania prosił mnie o pożyczkę pieniężną dla znajomego, w kwocie miliona złotych. Stwierdził, że pieniądze będą przeznaczone na zakup materiałów do produkcji kiosków handlowych, zapewniając jednocześnie, że jest to osoba wiarygodna, ma zapotrzebowanie na tego typu produkcję, gwarantuje duży zysk, więc zapewni mi, że w zamian otrzymam sto procent odsetek. Miało to dać mi dodatkowy milion złotych.

W dwa miesiące! Szybko przeliczam, takich zysków chyba nawet produkcja narkotyków nie daje, o czym mój rozmówca i Senator musieli dobrze wiedzieć.

Przedsiębiorca czyta dalej jednostajnym głosem, czyta tak, jakby wcześniej wielokrotnie już odczytywał swoje oświadczenie:

– Z uwagi na fakt, że pana Senatora bardzo dobrze znam, razem pełniliśmy funkcję radnych powiatu skarżyskiego, wydawało mi się, iż jest autorytetem i mówi prawdę. Gwarantuje mi swoją osobą zwrot pieniędzy. Zapewnił mnie, że będzie sporządzona umowa, omówił ze mną jej zapisy.

Biznesmen uznał, że to jego interes życia, i pożyczył pieniądze nieznanemu sobie wcześniej przedsiębiorcy polecanemu przez Senatora. Przed upływem terminu spłaty Senator skontaktował się z nim ponownie i zaproponował spotkanie w restauracji Zodiak pod Warszawą. Tam przedstawiono mu propozycję. Biznesmen może stać się liderem konsorcjum budującego autostradę. Jest przecież właścicielem dziesięciu wywrotek. Musi tylko pożyczyć kolejne pieniądze – dwieście tysięcy euro. Przystał na to, wypłacił pożyczkę w trzech ratach, w obecności Senatora. Zabezpieczeniem pożyczki miała być działka w Skarżysku-Kamiennej. Niestety, jak okazało się później, miała już obciążoną hipotekę.

– Napisałem to oświadczenie, gdy znalazłem się w szpitalu, tak na wszelki wypadek gdybym umarł, żeby żona miała dowód.

Jeden z Braci z Rejowa

Na spotkanie zgadza się tylko jeden z Braci. Młodszy. Zaprasza do siebie, na Rejów.

– Ja pana do pewnych rzeczy nie przekonam, pan ma już jakiś pogląd ukształtowany – rzuca na początek rozmowy.

– Wokół pana, panów, krąży pewna, nie najlepsza legenda – odpieram.

– Może i dobrze… Jak zaczynają się jakieś wybory, to ludziom jest potrzebny jakiś czarny lud… Senatora znam… Nasi rodzice się znali, jeździliśmy razem na wakacje. Jak się urodziłem, to się uczyłem chodzić na plecach Senatora… Znam wszystkich, począwszy od księży, poprzez chłopaków spod budki z piwem, prezydentów, radnych, dyrektorów itd.… Niektórzy będą odbierać to negatywnie, bo to jakiś negatywny styk czegoś tam z czymś… No, znam tych ludzi… Mnie też znają.

– Mówią, że w kieszeni macie miasto.

– Poznałem tych ludzi we Lwowie. Jeździli tam i policjanci, prokuratorzy, sędziowie, ludzie pracujący na zakładach. Jeździli wszy-

scy. Oni nie mogli mnie ominąć. Pojechali stąd sąsiedzi i się minęli, mnie nie mogli.

– Lwów to był biznes pana życia?

– Ja tam zarobiłem pięćdziesiąt procent swoich pieniędzy. Czy ja te pieniądze legalizowałem? Czy ja je zgłaszałem na granicy? Zgłaszałem.

– Ale wtedy nie wolno było bez zgody Rosjan wywozić stamtąd pieniędzy.

– Jak przewieźć 5 milionów dolarów? W spodnie się wszywało, w inne miejsca ciała się wkładało. Każdy musiał jakoś te pieniądze przewieźć. Czy w Polsce to było legalne? Nie, ale nie było to ścigane… Ja to robiłem trochę inaczej, jadąc przez Bułgarię, Węgry, wpisywałem w SAD. Wpisz mi tu tyle i tyle… Zarabiałem i raz na dwa tygodnie legalizowałem pieniądze, przyjeżdżając do Polski. Czy byłem w stanie zalegalizować takie pieniądze, jakie tam zarobiłem? Nie. Ale nikogo nie skrzywdziłem, nie znajdzie pan ani jednej osoby w Polsce, która powie panu, że krzywdę jej zrobiłem. Do dzisiaj mam doskonałe układy z ludźmi za wschodnią granicą. Masę znajomych przyjeżdża do mnie. Część z tych, z którymi handlowałem, jest w dziesiątce najbogatszych ludzi na Ukrainie. Czy moje biznesy tam były nielegalne, w świetle tamtejszego prawa? Oczywiście, że tak. Ale każdy to robił, który tam jeździł.

– Dlaczego pan się stąd nie wyprowadził, do Warszawy? Poznania?

– Jestem prostym człowiekiem, przyjechałem samochodem terenowym, mam na nim wiaderka z kukurydzą, po naszym spotkaniu pojadę do lasu i pokarmię sobie zwierzęta. Robię to codziennie… Nawet jak się mam spotkać ze znajomymi z Polski. Ostatnio przyjechał do mnie znajomy z Warszawy, było wielkie poruszenie, bo przyjechał najnowszym lamborghini. To są ludzie, których znam z tamtych lat. Znam ludzi z pierwszej pięćdziesiątki, którzy tam jeździli. Jest na przykład trzech braci L., oni u mnie wymieniali walutę we Lwowie… Wie pan, zaraz po tym okresie tranzytowym… Oni zawsze na mnie mówili Prezes… Mnie duże miasta nie pociągają, fakt, problemem jest czasami małomiasteczkowość, jak się ma gdzieś koleżankę, to od razu wszyscy widzą.

– Nadal robicie interesy na Ukrainie?

– Ukraina? Gdzie? Na Ukrainie interesów się nie robi. Ukraina stała się krajem bardzo nieuczciwym. Interesy robię na Białorusi. Na Ukrainie nikomu bym nie polecał. Oczywiście, że robię interesy poza Skarżyskiem. Głównie poza. Obsługuję budowę autostrad. Ileś tam mam spychaczy, ciągników… Przepraszam, pocę się, ale nie z emocji, tylko jestem po siłowni.

Wyjmuje chusteczkę i przeciera czoło.

– Mówi się, że uzależnia pan radnych. Tutaj w Rejowie odbywały się decydujące spotkania dla kształtu samorządu w Skarżysku.

– No…

– Listy wyborcze były ustalane… Były kupowane głosy…

– Hola, hola, co innego spotkać się, pomóc układać listy, co innego nawet namawiać ludzi, słuchaj, startuj z tej a tej listy, a co innego kupować głosy. Czy ja będę ludzi dopingował? Tak, takie jest moje prawo obywatelskie, jak każdego innego człowieka. Pan Iksiński może organizować listę, a ja nie mogę?

– Henryk D. bał się przyjeżdżać tutaj bez broni… Dlaczego?

Śmieje się.

– Jestem myśliwym, bardzo się przyjaźnię z łowczym okręgowym z radomskiego, gros myśliwych jest moimi przyjaciółmi. A D., u szczytu sławy, złożył akces do koła, zdał egzaminy, przypadek chciał, że trafił na pierwsze polowanie ze mną, to było polowanie na kaczki, była rada okręgowa plus goście zaproszeni. Byłem w radzie do zeszłego roku, zrezygnowałem. Zaczęło się od głupiej rzeczy, która do dzisiaj zostaje… Był przy tym Włodek S., Jasiu B…. Idziemy na swoje miejsca, Andrzej D. mówi, że chce mieć moje, a ja mówię dlaczego, niech spada…

– I się zemścił?

– To on powyciągał moje sprawy policyjne. A ta chodziła za mną jeszcze w latach osiemdziesiątych. Skąd mam pieniądze, dlaczego mam pieniądze… To się ciągnie do dnia dzisiejszego. Zdaję sobie sprawę, że mam telefon na podsłuchu. To jest normalne, prawda? On był taki sk…, że powiedział, że mnie zniszczy. Wszystkich, których mógł postawić na baczność, postawił… W dziewięćdzie-

siątym którymś roku, też łowczy, przez przypadek spotkałem się z osobą…

– Z Karolem K. z CBŚ?

Przytakuje głową.

– Spotkaliśmy się na stacji benzynowej. On mówi: chłopie, jedna szafa to jest szafa twoich dokumentów. No i jak? No, lelum polelum, lelum polelum, jesteś winny chyba wszystkiemu. Ale czy ja byłem chociaż raz wezwany na policję? Nie. Ile lat można prowadzić sprawy? Dwadzieścia osiem lat? Kiedyś byłemu szefowi PIS w świętokrzyskim powiedziałem publicznie, że jest kłamcą i manipulantem…

– Znał pan Leszka K., Człowieka z Lasu?

– Nie, tylko tak na zasadzie cześć, cześć. W siłowni go spotykałem. Widziałem go w życiu z 15 razy. Nie wierzę w to, że on miał pieniądze. On używał na siłowni moich zużytych rękawiczek, w których już nie chciałem ćwiczyć. Te jego spodenki gimnastyczne… To był taki konusik, po wiejsku mówił… Kiedyś potłukli się ochroniarze przy dyskotece.

– Chodzi o to zabójstwo w Stąporkowie?

– Jakby mnie pan zapytał, czy to mógł zrobić, tobym powiedział, że na 95 procent tak. Bo z charakteru widziałem, że taki… Ale nie wierzę w jego udział w mafii.

– A co w tym wszystkim robi Lech D., ksywa Komendant?

– Leszek jeździł ze mną na tranzyt do Lwowa. To był prosty chłopak. Zarobił pieniądze i kupił sobie stację benzynową. Później zaczął pracować u Wojteczków. Odsprzedał im stację. Moje drogi i jego się rozeszły.

– Miał zajmować się pośredniczeniem w wykupkach samochodów?

– Może.

– Lech D. uchodził za człowieka, który wszystko załatwi na komendzie.

– Bardzo możliwe. Tu się zgadzam. Jak zarabiał na tranzycie, a jego żona pracowała na komendzie, to tam zajeżdżał i dawał

wszystkim prezenty. Kupował sobie też samochody, które zawsze rozbijał.

– Jak to jest możliwe, że Senator utrzymywał kontakty z Lechem D., skoro wiedział, czym się ten zajmuje?

– Szczerze, oni się kolegowali.

– A pan jakie ma relacje z Senatorem?

– Senator głównie koleguje się z moim bratem. Senator opowiada takie fantasmagorie, że po koleżeńsku nie dałby pan rady z nim wytrzymać trzy godziny… On wygrywa pływanie z mistrzem świata, kiedyś ścigać się miał z nim na basenie w Tajlandii. On wszystko najlepiej…

– Senator bardzo lubi samochody.

Śmieje się, potwierdza kiwaniem głowy i wyjaśnia:

– Od lat dziewięćdziesiątych, jak nastąpił ten wysyp samochodów w Polsce.

– Mieliście państwo znany lokal w mieście. Ciekawi ludzie tam bywali.

– Jubilatka. Przyjeżdżali ludzie z Kielc i Radomia.

– Doszło tam kiedyś do wojny gangów.

– Dzwonię na policję, oni nie odbierali telefonów. Kto mnie obroni, pomyślałem sobie? Więc sam sobie człowiek musiał poradzić. Załatwiałem przez jakąś osobę pomoc, ludzi, nie będę wymieniał nazwiska. Skontaktował mnie z Żydem [otwocki gangster, w 1993 roku miał wynająć killera, żeby zabić Andrzeja Kolikowskiego ps. Pershing – przyp. aut.]. Dałem mu pieniądze. Powiedział, że przyjadą, ugoszczę ich i tyle. Dostaję telefon, jak tam do ciebie trafić? Wyjechałem pod Polmozbyt. Czekam. Oni tymczasem sami trafili na miejsce. Dzwoni do mnie brat, żebym przyjechał do Jubilatki. A tam pełno wypasionych samochodów, siedzą po boksach, widać od razu, kto to. Z jednego z moich ochroniarzy powietrze zeszło. Idę do stołu prezydialnego. Siadam między Kiełbasą a Żydem [Wojciech K., ps. Kiełbasa, był najbardziej wybijającym się gangsterem „młodego Pruszkowa", wspólnik świadka koronnego pseudonim Masa. Zginął w zamachu – przyp. aut.]. Kiełbasa mówi: powiedz, żeby kelnerka

dała jakiś półmisek, bo trzeci raz proszę i nie mogą mi podać. Kiełbasa trzepie torebką, zrozumiałem, aha. Idę do brata, lecę do kuchni, a tam widzę, są szykowane półmiski kurczaków. Mówię, dawajcie czysty półmisek… [Na nim to Kiełbasa rozsypał biały proszek z torebki, który potem wciągnął do nosa – przyp. aut.]. Opowiedziałem im, kto grozi, chce haraczu. Tego samego dnia wysłali po nich samochód, przyjechali z nimi, porozmawiali, od tamtej pory był spokój.

– Nie musiał się pan im później opłacać?

– Nie, dałem tylko za przyjazd, temu Żydowi. Dałem mu tylko dwa tysiące dolarów.

– A jaki mieli w tym interes?

– Żaden, Żydu dostał tylko te dwa tysiące dolarów. Ja trafiłem tam po znajomościach… Miałem kolegę, który był… nieważne… Znał się z tym Żydem… To było tylko raz. Później, po kilku latach, miałem także jedną interwencję…

– I czemu się pan dziwi, że potem ma pan etykietkę człowieka powiązanego z mafią.

– Wtedy to dla mnie było dobre.

Odstraszało. Czasy były trudne, a na policję nie miał co liczyć. Przekonuje. Trudno mi nie przyznać, że ma trochę w tym racji. Skarżysko było wtedy miastem wyjętym spod prawa. Niektórzy mówili, że jest to miasto prywatne.

Anonim Karola K.

1.

Po spotkaniu z jednym z Braci z Rejowa wracam do miasta. Mam spotkać się z byłym oficerem Centralnego Biura Śledczego, Karolem K. Na to spotkanie nalegał Senator, miało mi otworzyć oczy na to, co się dzieje w Skarżysku, pokazać, kto jest dobry, a kto zły. Mam

przeczucie, że tym razem Karol K. nie wystawi mnie, jak poprzednio. Umówiliśmy się w hotelu Promień, w ogródku hotelowej restauracji.

Dziwne miejsce na konspiracyjne spotkanie, bo ma się odbyć na widoku, odsłonięte dla ciekawskich spojrzeń. Jest słonecznie. Siadam przy pierwszym wolnym stoliku. Przede mną droga na Starachowice. Chwilę wcześniej włączyłem dyktafon. Osoba Karola K. nie wzbudza we mnie zaufania. Zastanawia mnie zażyłość Senatora z oficerem CBŚ. Postanowiłem zarejestrować całe spotkanie. To nie jest mój informator, ale ktoś, kto ma odegrać przede mną jakiś spektakl, wyciągnąć królika z kapelusza. Dla mnie jest byłym policjantem, który sprzedał się jednemu z układów, jakie kiedyś ścigał. Mam wątpliwości, czy nie sprzedał się jeszcze jako policjant.

2.

Pojawia się chwilę po tym, jak zasiadłem w restauracji. Krótko ostrzyżony, w spodniach bojówkach w kolorze khaki, pod ręką trzyma aktówkę.

– Pan czynnie w służbach? – żartuję, zagajając rozmowę.

– Jest pan bardzo ciekawy – odpiera.

– Wie pan przecież, że jestem bardzo ciekawską osobą – uśmiecham się.

– Jestem zdziwiony spotkaniem.

– Dlaczego? – Z trudem ukrywam śmiech, który we mnie wzbiera. – Przecież Senator mówił, że z panem trzeba się koniecznie spotkać.

– Ja z nim rozmawiałem służbowo i dlatego mnie dziwi, dlaczego…

O, służbowo. Rozmowa od początku robi się interesująca, myślę.

– Służbowo, czyli…? – proszę o wyjaśnienie.

– Służbowo.

– W charakterze świadka?

– Nie, po prostu… Co słychać w mieście itede.

Urywa. Chyba rozumie, że coś niefortunnego klepnął. Senator Rzeczypospolitej Polskiej był jego informatorem, tak zwanym OZI

Centralnego Biura Śledczego? Po spotkaniu z nim sporządzał operacyjne notatki? Senator oczywiście tego nie wiedział, zaśmiałem się w duchu.

– Jaki jest cel? Co pan chce wiedzieć? – pyta, widać, że jest trochę zaambarasowany.

– Dlaczego z panem? Ja o panu nie słyszałem. Spotykam się drugi raz z Senatorem, a on poleca…

Przerywa mi, chce zmienić temat rozmowy, pytając: – Teraz pan wraca z Rejowa, z rozmowy z jednym z braci?

Postanowiłem nie pytać, skąd wie, to było oczywiste, że od dłuższego czasu interesowano się moimi wizytami w Skarżysku i okolicach. Po mojej wizycie w barze Jagera weszły służby i zarekwirowały automaty do gier. Okazały się nielegalne. „Chodzą za panem. Ludzie boją się z panem rozmawiać, by potem nie mieć kłopotów" – usłyszałem od jednego z rozmówców.

– Tak – potwierdzam, także przytakując głową. – Trzeba ze wszystkimi rozmawiać.

– Bardzo dobrze, dobrze… Powiem panu, że…

– W przyszłym tygodniu będę rozmawiał z komendantem policji, prezydentem…

– Z komendantem może pan porozmawiać… Natomiast dobrze by było porozmawiać z Piotrem Z., z księdzem K.

– Wiem.

– Z niektórymi ludźmi… Oni są umoczeni… Jak całe Skarżysko…

Karol K. mówi tonem osoby dobrze poinformowanej, wiedzącej wszystko o tym mieście.

– Zatrzymanie grupy Człowieka z Lasu coś zmieniło? – pytam.

– Dużo dało… Sporo rzeczy wiem.

– To jest wasz sukces?

– Jest, jest… Było dużo czarnych owiec w służbie, niech pan sięgnie do lokalnej prasy.

Postanawiam wrócić do początku naszej rozmowy, do osoby Senatora, wyjaśnić, co go z nim łączy. W aktach operacyjnych policji jest sporo nieprawdziwych informacji na temat różnych ludzi. Czy Senator świadomie chciał wykorzystywać służby, wszczynać śledztwa lub działania operacyjne policji wobec tych, których uznawał za swoich wrogów? A może po to, by móc potem stać się ich wybawicielem? Na pewno dotyczyło to właścicieli Wtórpolu. Ich także zapewniał o swoim wsparciu, a tak naprawdę wbijał im nóż w plecy. Kontaktując się z oficerem CBŚ, wiedział dobrze, że ten nie potraktuje rozmowy jako prywatnej i sporządzi notatkę służbową. Inną sprawą jest ustalenie, jak potem Karol K. wykorzystywał zdobyte informacje. Na pewno mógł je opatrywać dopiskiem: „Pochodzą z wiarygodnego źródła", przecież te „rewelacje" usłyszał z ust Senatora. A może po prostu znany z gadulstwa i fantazji Senator natrafił na nierozgarniętego oficera CBŚ, który nie dostrzegł, że jego informator przynosi mu plotki i 99 procent z tego, co mówi, nie ma nic wspólnego z prawdą? Karol K. był jednym z tych funkcjonariuszy CBŚ, którzy podjęli niektóre wątki śledztwa dotyczącego Człowieka z Lasu i podpaleń Wtórpolu. Główne śledztwo prowadziła Komenda Wojewódzka Policji, której wicekomendantem był wtedy Michał Domaradzki.

– Zacznijmy od początku. Dlaczego Senator chciał, żebym rozmawiał z panem? – postanawiam nie kluczyć i zadać pytanie wprost.

Przebieg rozmowy nie podoba się Karolowi K. Być może zdenerwował się, że wsypał się na początku rozmowy, mówiąc o służbowym charakterze kontaktu z Senatorem. Czuje też, że mu nie ufam, że prawdopodobnie uważam, że razem z Senatorem grają w jednej drużynie. Tylko nie wiem jeszcze, co ich łączy i o co oni grają. Spotkanie z nim miało skierować moje zainteresowania na wygodne dla nich tory, oddalając je od wątków, w których obaj mogli się pojawić. Postanowił jednak wpierw odciąć się od Senatora, by się ratować, a potem i tak swoje uzyskać.

– Sporo rzeczy sobie od niego ustaliłem, sporo rzeczy poukładałem, sporo rzeczy potwierdziłem i sporo rzeczy nie potwierdziłem.

Nieźle. Potwierdza wyraźnie, że Senator był informatorem Centralnego Biura Śledczego. Naprawdę postanowił się od niego zdystansować. Nieważne, że to Senator zorganizował spotkanie. Teraz musi mnie przekonać, że nie jest człowiekiem Senatora i jego znajomych. Nie wiedział, że godzinę wcześniej jeden z Braci z Rejowa napomknął o ich wspólnych spotkaniach i rozmowach. Wątpię, czy miały charakter służbowy. Czy Karol K. sporządzał z nich notatki? I najważniejsze: czy pisał w nich prawdę? Może tylko zabezpieczał się przed tym, że kiedyś wyjdą na jaw jego niefortunne znajomości, dlatego o nich pisał, ale referował tylko to, co było mu wygodne?

– Czy Senator chciał walczyć z układem? – pytam, bo może dlatego Senator tak ochoczo rozmawiał z funkcjonariuszem Centralnego Biura Śledczego.

– Pan jest dziennikarzem… To niech pan sobie sam odpowie… Czy pan by wierzył ludziom, o których by wiedział to czy tamto? Czy pan, jadąc do Rejowa, spodziewał się, że ktoś panu powie prawdę?

– Nie, ale…

Mój rozmówca wybucha sztucznym śmiechem, rewanżuję mu się tym samym.

– Jaki ma pan obraz tego wszystkiego? Wtedy będę mógł pomóc – stwierdza.

Wreszcie czuję, że odnalazł się we właściwej roli, przecież on nie przyszedł po to, by mnie informować, ale przede wszystkim chciał dowiedzieć się, do czego doszedłem, jak głęboką mam wiedzę. Gdzie trafiłem, a kiedy zabrnąłem w ślepą uliczkę.

– Nie zajmuję się tylko Skarżyskiem. Napisałem ostatnio *Polską mafię*, jak pan wie… Chcę zrobić reporterską książkę o Polsce lokalnej. Takiej, która nie jest daleko, ale blisko Warszawy.

– Przy głównym pasie komunikacyjnym – wtrąca.

Skarżysko-Kamienna leży przy drodze Warszawa–Kraków.

– Tak… W książce *Przykrywkowcy*, którą napisałem z Piotrem Pytlakowskim, cały rozdział poświęciliśmy Starachowicom. Nie wchodzę na nieznaną mi ziemię.

Za wszelką cenę pragnę, żeby odniósł wrażenie, że moja wiedza jest powierzchowna. Musi taka być, skoro wziąłem na warsztat tak szeroki temat. A w jego osobie chcę odnaleźć weryfikatora i, co najważniejsze, uważam go za uczciwego gliniarza, który walczy z układem.

– Przez wiele lat najróżniejsze służby próbowały ruszyć ten układ i powiem panu, że się nie dało tego zrobić. Osoby, które są umoczone, patrząc historycznie, dwadzieścia–dwadzieścia pięć lat temu, dalej rozdają karty… Tam, gdzie jest kasa… W samorządzie, w spółdzielni mieszkaniowej Braci z Rejowa. Trzeba popatrzeć wstecz, ciekawa sprawa zarządu miasta, to jest rok 1996… Przejęcie Rejowa.

– Za kilkaset tysięcy złotych?

– Za pięćset tysięcy złotych. Jest taki człowiek, obecnie w urzędzie marszałkowskim w Kielcach, Jan M. On był przewodniczącym komisji rewizyjnej, sprawa targowisk…

– Rozmawiałem z nim.

– A czy on o tym powiedział?

– Proszę zrozumieć, że nie mogę mówić, o czym z nim rozmawiałem.

– Niech pan powie, żebym zweryfikował – naciska.

Uśmiecham się. Wreszcie jest we właściwej roli, ma uzyskać więcej informacji, niż mi przekazać.

– Zdał sprawozdanie? – pyta.

– Wyjechał na wakacje, po wakacjach mieliśmy się spotkać i porozmawiać – ucinam.

– Jest taka ciekawostka… Żeby pan miał dystans do rozmówców… W Skarżysku pewne osoby, które kiedyś walczyły z układem, dzisiaj są w układzie.

– Pan myśli o Senatorze i Krzysztofie G.?

– Krzysztof G. i Senator, niech pan ich rozdzieli.

– To dwie różne postacie, niepowiązane ze sobą?

– To dwie różne postacie, od około ośmiu lat. Niech pan lepiej złoży sobie taki schemat. Krzysztof G. i Bracia z Rejowa.

Nieważne, że Senator jest zaprzyjaźniony z Braćmi, tak jak Krzysztof G. Logika myślenia byłego cebosiaka jest zdumiewająca albo uważa mnie za osobę, której wszystko można wmówić.

– Krzysztof G. przyznał się do bliskiej znajomości z bratem A. z Rejowa – wyjawiam. – Wspólne polowania.

Z Krzysztofem G. spotkałem się kilka dni wcześniej. Był świeżo po przebytym zawale serca i po wyroku sądowym. Były zastępca pani minister K. dostał rok i osiem miesięcy więzienia w zawieszeniu oraz czteroletni zakaz wykonywania funkcji kierowniczych w służbie zdrowia. Taki wyrok zapadł przed sądem w Skarżysku-Kamiennej. G. był oskarżony o korupcję w czasie, kiedy kierował skarżyskim ZOZ-em.

– Krzysztof G. na trzydzieści dni dwadzieścia dziewięć przebywał w Rejowie. On tam żył, mieszkał. Zajmował także mieszkanie Braci, kiedy był w separacji z żoną.

– Na jakiej ulicy?

– Spółdzielczej. Oni byli cholernie blisko. Ale musi pan rozdzielić braci A. i W. Głównodowodzącym orkiestrą w Rejowie jest A. – W. jest wykonawcą.

Przerywa i dodaje: – Bracia obecnie są bankierami.

– Lichwa?

– Tak. Dla swoich 4 procent, dla innych od 17 do 25. Taką mają stawkę.

Nie dziwię się, kiedy pojawia się osoba Z. Musi bronić Senatora.

– Wojteczkowie z kolei biorą od 4 do 15–18 procent. Ciekawa konkurencja między nimi. Chodzi o to, kto komu pożyczy pieniądze. Ostatnio Ziółkowski miał od nich pożyczyć.

Postanawiam nie udawać aż tak naiwnego, który jak gąbka wessie każdą informację, nawet nieprawdziwą, i mówię: – W tle jednak są K. i Senator, a nie Bracia z Rejowa i Wojteczkowie.

Spływa to jednak po nim jak woda po rynnie. Nic się nie stało. Stwierdza:

– Trzeba być cholernie ostrożnym, uważać na osoby, które kręcą się wokół Ziółkowskiego… Hmm… Był jeden człowiek, który

w pewnych kręgach legitymował się dokumentem Interpolu… A jednocześnie można znaleźć jego fotę w mundurze marszałka Ukrainy… Ziółkowski był powiązany ze służbami w dawnych czasach… Znowu pojawia się ciekawa postać, Marek Ungier, kojarzy pan?

– Tak.

– Pochodzi ze Skarżyska.

Rzeczywiście, szef gabinetu i sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego (od 23 grudnia 1995 do 30 grudnia 2004) urodził się w 1953 roku w Skarżysku-Kamiennej. Ukończył II Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Skarżysku i wyjechał z miasta.

– A z kimś miał związki? Z Wojteczkami i Braćmi z Rejowa?

– I tu, i tu. I z wielkim biznesem z Kielc. Z Michałem S.

– W Skarżysku była dyskoteka Jubilatka. Czasy „Wołomina" i „Pruszkowa". Jedna z grup była zaproszona przez Braci na gościnne występy.

– Nie wypierają się tego. Mieli problem, chciano od nich haracz, zwrócili się o pomoc do ludzi „Pruszkowa". Przyjechali i porozmawiali z ludźmi z Kielc.

– Żadnej rozmowy nie było. Znam to od tych, co tynkowali ściany w Jubilatce. Poszedł ogień z broni maszynowej. Policjanci, którzy wiedzieli o tym, nie przyjechali. To jest miasto, to jest, k…, taki grajdoł, który dawno powinno się zamknąć.

– Tłumaczą się tym, że nie mieli innego wyboru, bo nie było sensu dzwonić na policję, ta by im nie pomogła.

– Bzdura. Jubilatka była miejscem do robienia brudnych interesów Braci.

– Bracia powiązani są z Marianem G. z Jędrzejowa, tiry spirytusu. Wielki, bardzo bogaty człowiek… Koło łowieckie Kaczka… Mają prywatne tereny łowieckie, dygnitarze i parlamentarzyści przyjeżdżali zapolować… Wie pan, kto był obrońcą Braci? Lech Falandysz. Sprawa Rejowa była wyłączona i prowadzona przez rzecznika

prokuratury okręgowej w Kielcach. Sprawę umorzono. Tutaj w układzie byli policjanci, prokuratorzy… Zna pan sprawę męża pani minister K.?

– Dziwna sprawa podpalenia samochodu prokuratora, o której było w Polsce cicho.

– To była legenda w Skarżysku, że od dwóch do trzech. A wie pan, co to znaczyło? O, Marek K. wychodzi z pracy. Ma od dwóch do trzech promili.

Przerywa i śmieje się.

– Krzysztof G. Pamiętam, jak pani minister przyjechała. Krzysiu… Przyjaciel jak sk…

– Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę pana o nazwisku C., pseudonim Czoper. W latach 1999–2000 zatrzymany przez wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. To jest szwagier kolegi pana B., a B. jest osobą bliską Braciom, jednocześnie, na dzień dzisiejszy, bliski kolega Leszka Wojteczka.

– Do tej pory?

– Oni razem biegają. B. współdziałał z Lechem D., który teraz siedzi.

Małe miasto, każdy się zna z każdym, myślę.

Karol K. otwiera skórzaną teczkę i wyciąga dokumenty.

– W tym piśmie jest o nim mowa, to było pismo do Wojteczka – mówi tonem, jakby odkrywał przede mną jedną z ważniejszych tajemnic śledztwa, i pokazuje zadrukowaną kartkę formatu A4. – B. był wspólnikiem pani N. [tej, której spłonął gabinet stomatologiczny – przyp. aut.].

Karol K. za pomocą anonimu chce mnie przekonać do wersji zdarzeń związanych z podpaleniem gabinetu stomatologicznego, w której nie występuje osoba Senatora. Tak jak Senator w rozmowie ze mną, kieruje podejrzenia na B. Cóż za zbieżność. Nieważne, że jako policjant dobrze wie, iż anonim nie ma tej samej wartości dowodowej co zeznanie złożone przed prokuratorem.

– Ale w aktach sprawy jest, że zlecał to Senator – rzucam udawanym, niepewnym głosem.

– Nie zdziwię się, co wyjdzie ze sprawy… Ja nie wierzę w zapewnienia kogoś, że nie ja to zrobiłem, to on zrobił. Wszystko jest możliwe w tym mieście. Dla mnie na każdym kroku jest odcisk Braci i Wojteczków.

– Może teraz zarobili kasę i już weszli w legalny biznes?

– Rozmawiałem z kolegami. Nie weszli. Spółdzielnia mieszkaniowa, inwestycje to Bracia.

– Ale to legalne interesy.

– Zapraszam 29 czerwca, ja tam będę, będą nowe wybory, udzielenie absolutorium nowemu zarządowi spółdzielni. Cztery lata temu towarzystwo grubych karków uciszało tych chętnych, którzy chcieli wejść do władz spółdzielni. Jestem ciekawy, czy teraz też tak będzie. Chcę zobaczyć, jaki jest ich plan działania. Następna sprawa: spalarnia śmieci, szpital. To jest farsa. Niech to pan sprawdzi. Tylko ostrożnie. To są ludzie bezwzględni. Ja w swoim czasie miałem informację, że jeździli i sprawdzali, gdzie moje dziecko chodzi do szkoły.

Czytam anonim, a raczej udaję, bo znam jego treść.

– Niech pan sobie zapisze nazwisko Piotr W. – mówi. – Dobrze, żeby pan do niego dotarł.

– Komenda Główna Policji?

– Tak, komenda główna. Odszedł ze Skarżyska. Wybitna jednostka, sporo opowie na temat wszystkich układów. Jemu podpalono mieszkanie. Całe szczęście, że obudził się w nocy, złapał psa, obudził dziecko, żonę i uciekł. Pracował w Wydziale Kryminalnym Komendy Powiatowej w Skarżysku. Jeśli rozmawiam z kimś ze Skarżyska [chodzi o policjantów – przyp. aut.], to patrzę na niego jak na obcego.

– Nowy komendant tego nie czyści?

– Wie pan, my się znamy kupę lat z komendantem Wojtkiem, piętnaście. To jest stanowisko polityczne, musi chodzić po urzędach. Jeśli idzie o obecnego komendanta, może pan z nim spokojnie roz-

mawiać. Były naczelnik wydziału komendy wojewódzkiej, drogówki, wcześniej pracownik PG komendy miasta. Pozytywna jednostka. Poprzednik, niestety, odszedł na rentę, ze mną pracował w CBŚ. Próbował to czyścić, ale miał przykry przypadek z córką i odszedł na rentę. Stało się, jak się stało. Nie pociągnęliśmy tego do końca, co zamierzaliśmy, czyli wyczyścić to tałatajstwo.

1358

1280

Szanowny Panie Wojteczek

Ja osobiście podobnie jak Pan doznałem wielu krzywd od „Leona" to jest Leszka [redacted] Za przekazane informacje nie chcę od Pana pieniędzy zaproponowanych w ogłoszeniu, chcę, żeby Pan wiedział, z jaką mafią ma Pan do czynienia. Będą Pana cały czas zastraszać, powodować kontrole i będą chcieli doprowadzić do upadku albo przejęcia Pana firmy.

W opisanych dalej zdarzeniach zamieszane są osoby na bardzo wysokich stanowiskach.

Osoby te mogą chronić i uprzedzać bandytów o prowadzonym śledztwie, wpływać na kierunek i zatuszowanie sprawy pożarów we Wtórpolu, ponieważ aresztowani bandyci mogliby dużo powiedzieć o wcześniej popełnianych przez nich przestępstwach.

Jest duże prawdopodobieństwo, że osoby niżej wymienione są szantażowane przez bandytów.

Są to:

- senator [redacted] wspólnik w interesach jednego z najgroźniejszych bandytów w Skarżysku Lecha D[redacted] „Leona". Senator [redacted] z D[redacted] prowadzili wspólnie kopalnię kamienia w Szydłowcu. Gdyby skontrolowano tę już rozwiązaną spółkę, wyszłyby ciekawe sprawy. [redacted] i D[redacted] nie ukrywali zażyłych stosunków - samochód „Leona" często stoi pod domem [redacted] (teraz mniej, bo [redacted] przebywa w Warszawie),
- poseł G[redacted] (dobry kolega „Leona"),
- niektórzy wyżsi i niżsi rangą policjanci ze Skarżyska,
- policjanci CBŚ z Kielc np. C[redacted] rodzina Leona,
- dyrektorzy firm i biznesmeni

Osoby te kupowały od D[redacted] kradzione samochody (na siebie lub na rodzinę). Tych samochodów sprzedał „Leon" bardzo wiele.

Kradzione samochody kupowali najważniejsi ludzie w mieście, niektórzy policjanci z komendy z Kielc CBŚ, niektórzy policjanci ze Skarżyska: W[redacted] Łysy, So[redacted] R[redacted] (R[redacted] i Se[redacted] ostatnio zginęły w dziwny sposób samochody), N[redacted] K[redacted] naczelnik RD, prokurator K[redacted] żona adwokata Pt[redacted] masarz W[redacted] [redacted] grabarz K[redacted], kilkunastu biznesmenów- np. Ja[redacted] księża, lekarze np. poseł dr G[redacted] senator [redacted] Z[redacted] (dyrektor MPK) - kolega Leona, dziesiątki innych prominentów i bandytów – „Leon" chwalił się, że załatwił ponad setkę „lewych" samochodów.

Wiem, że Pan też jest na liście klientów „Leona". Prawdopodobnie jak i inni nie przyzna się Pan do zakupu (na siebie czy członków rodziny) kradzionych samochodów – były ich dwa, prawda? Z tego co wiem policja je odebrała, ale czy „Leon" miał jakieś kłopoty?

Na prywatnej stacji paliw u D[redacted] w latach 1997-1999 na kradzione samochody były zapisy jak w salonie. Na tej stacji można było załatwić wszystko od

Za zgodność świadczy

dnia 2007 -07- 13

obrabanki np. u senatora [redacted] po kradziony samochód (oficjalnie stały zaparkowane), odbywały się spotkania bandytów z całej polski: Wrocławia, Gdańska, Radomia i Końskich.

Z handlem kradzionymi samochodami związany jest wątek PZU: D[redacted] wspólnie z W[redacted] dyr. PZU w Skarżysku, likwidatorami szkód, zakładem blacharskim M[redacted]ską z wydziału komunikacji, wyłudzali bardzo duże pieniądze za rzekomo kradzione, spalone samochody i lewe stłuczki. Była tylko jedna sprawa przeciwko dyr. W[redacted] W ostatnich latach takich wyłudzeń było mnóstwo.

W gabinecie W[redacted] wyciągał informacje np. brak AC do drogich aut i przekazywał informacje złodziejom. Jego wspólnicy z Radomia kradli auta, a następnie wyłudzali kasę od właścicieli aut. Osoby pokrzywdzone wiedziały, że należy się zgłosić do „Leona" i on im pomoże i z „ kimś" skontaktuje.

Gabinet W[redacted] podobnie jak komenda Policji był drugim domem „Leona". Na komendzie uzyskiwał informacje o wielu sprawach dotyczących bandytów i mógł niektórych ostrzegać.

D[redacted] przekupywał policjantów tankując im za darmo samochody, kilka lat robił nawet zakupy na komendę, kupował policjantom alkohol i załatwiał dla nich kradzione samochody.

A teraz coś o pożarach we Wtórpolu.

Sprawcami pożarów w Pańskiej firmie są:

Lech D[redacted] „Leon" oraz K[redacted] „Śruta" - podejrzany o morderstwo przywódca gangu narkotykowego.

Motywy:

- zemsta za zwolnienie „Leona" i córek „Śruty" z Wtórpolu

- chęć zysku, zastraszenie

Nie wiem jak dobrze poznał Pan D[redacted] ale to bardzo groźny bandyta i psychopata (za jedno złe słowo pod jego adresem potrafi się zemścić - skatować kogoś, spalić mu samochód, albo zrobić krzywdę bliskiej mu osobie, lubi mówić, że "wyprawi komuś święta".

Podpalenia we Wtórpolu (TIR-y, hala produkcyjna, prywatne samochody, ostatnio mieszkanie w Zakopanem) – to zemsta i zastraszanie za zwolnienie z Wtórpolu.

Jest chorobliwie mściwy – zorganizował spalenie mieszkania i samochodu Mirka J[redacted] którego nienawidzi, bo ośmielił się zająć stanowisko, jakie on miał we Wtórpolu.

Odgraża się, że zabije Krzysztofa J[redacted] bo uważa, że to on namówił Pana, aby zwolnić „Leona" z pracy.

W samochodzie „Leon" wozi granaty i pistolet maszynowy z tłumikiem, często się tym chwali. Taki granat wrzucono na podwórko C[redacted] kierownika we Wtórpolu, któremu wcześniej spalono samochód, bo zwolnił córki „Śruty" z Wtórpolu.

To tylko mała część jego ostatnich bandyckich dokonań.

Aby upewnić Pana, z kim Pan ma do czynienia podam jeszcze kilka przykładów.

Za zgodność świadczy
dnia 2007 -07- 13
[redacted]

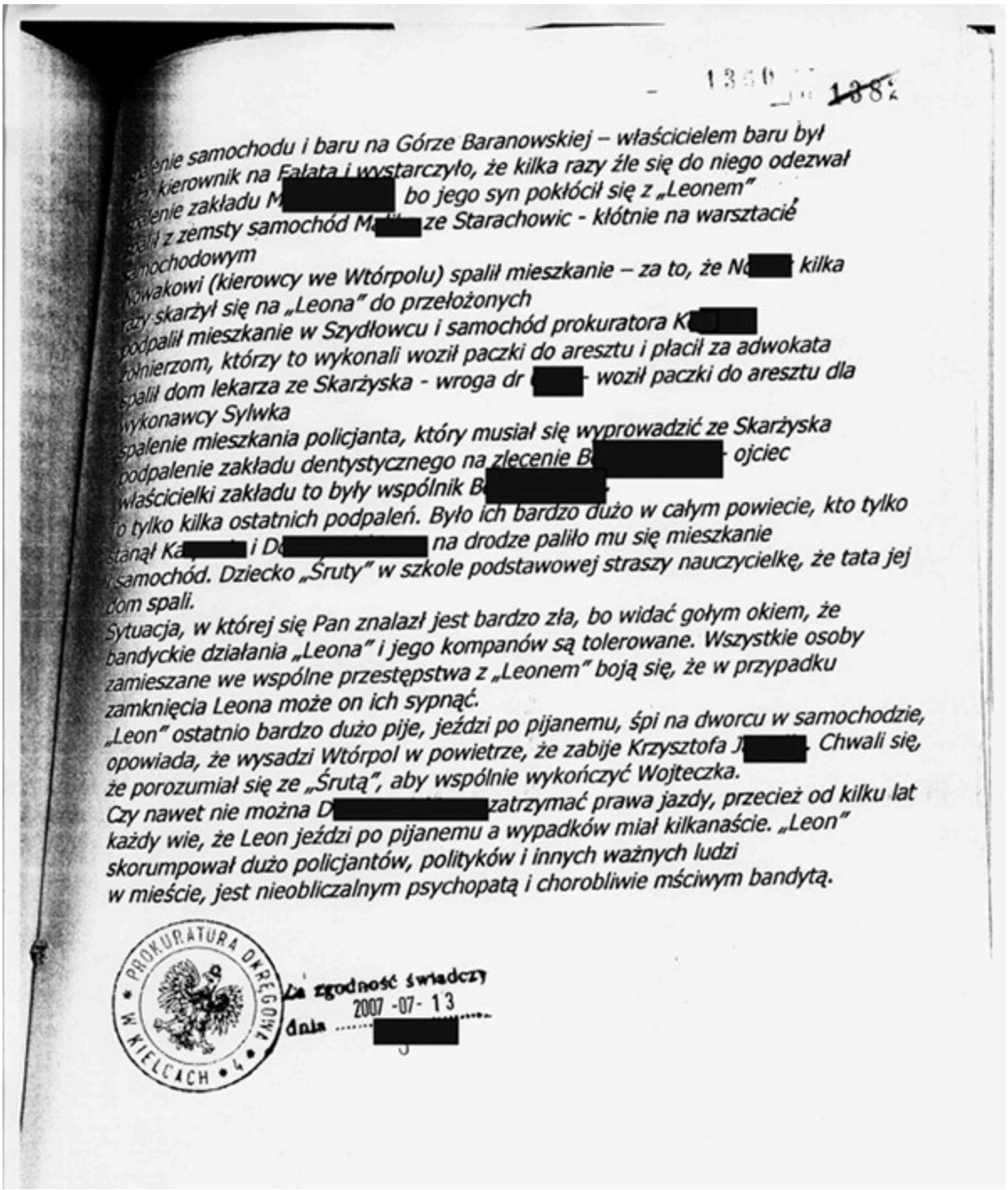

– Piotr Ż. był świetnym komendantem przez pierwsze trzy miesiące, może pół roku, do czasu, gdy zaczął polować z nimi – mówi Karol K.

– Ale zapłacił wysoką cenę. Mówią, że się zabił, żeby nie wyprowadzili go w kajdankach?

– Czy ja wiem? Musieliby mieć na niego coś konkretnego. Zeznania W. [Kajtka – przyp. aut.] to za mało, teraz W. może mówić wiele… To były czasy podpaleń.

– Jak będzie pan rozmawiał z Markiem Wojteczkiem, niech go pan zapyta o to: W pewnym momencie przyszedł do niego człowiek w wieku około czterdziestu lat. Mówił, że wie wszystko i mu pomoże. Marek oczywiście nie chciał mu wierzyć. Ciekaw jestem, do kogo pan dojdzie z Komendy Wojewódzkiej Policji? Do zastępcy komendanta?

– Nie wiem, gdzie…

– Mówił, że mu pomoże, że wie, na czym co polega… Marek nie chciał z nim za bardzo rozmawiać. A ten, żeby go uspokoić, że jest prawdomówny, pokazał mu dowód osobisty… Marek Wojteczek spisał dane z tego dowodu. I nagle powstała niezła panika w jednym z wydziałów komendy wojewódzkiej. Jestem ciekaw, jak się to skończyło. Cholernie jestem ciekaw… Jak to się ma teraz do obecnych ustaleń.

– Co chce mi pan powiedzieć?

– Niech pan porozmawia z Markiem Wojteczkiem, niech się pan go o to zapyta.

Czytam dalej anonim.

– Tu będzie takie nazwisko, funkcjonariusza CBŚ, Ch.… Był taki, Leon D. jest wujkiem tego funkcjonariusza… Sporo tych rzeczy jest tu prawdziwych…

– Czemu nie może mi pan dać kopii, to jest przecież anonim…

– Nie mogę.

Czytam dalej, a on komentuje:

– P. z CBŚ wyleciał za łapówki, jest obecnie trenerem Granatu. Właścicielem jest Marek Wojteczek. P. Ireneusz, sk… jeb…, wiceszef z CBŚ. Ja bym tych klientów pod ścianę…

Kończę czytać i spoglądam na niego.

– Pan oczywiście tego nie wiedział? – mówi konfidencjonalnie.

– Dobrze. – Kiwam głową, choć trudno mi utrzymać powagę w teatrze, w którym mam grać kogoś, komu zaprezentowano całą prawdę o tym, co się działo i dzieje w Skarżysku, dając mu do przeczytania anonim.

– Kto finansuje obronę Leona D.? – pytam.

– Na 99 procent B., Lech D., prowadziłem z nim rozmowy w swoim czasie. Na zasadzie dobry i zły policjant. On absolutnie upierał się, że nie robił nic złego. To nie był człowiek do rozmowy. Dlatego byliśmy wtedy pewni, że to Leon zlecił załatwienie spraw Śrucie, Człowiekowi z Lasu. Nie chciał się przyznać do niczego… On ma potężną wiedzę, jakby chciał, toby wp… prokuratorów, sędziów, osoby publiczne, nie wiem, jak by wysoko to poszło. Chcieliśmy cząstkę z niego wyciągnąć.

– Czemu tego nie robi, grozi mu przecież wysoki wyrok?

– Gdy się spotkamy, za 2–3 tygodnie, załatwię cichy pokój i puszczę panu kilka moich rozmów z Leonem. Kilka fajnych rzeczy, które powiedział zbyt szybko, z których się później wycofał… Wojteczkowie, C., Lech K.… Najciekawsze rzeczy powiedział na Marka Wojteczka, nie na Leszka. O zleceniu podpalenia konkurencji w Starachowicach.

Tak jak przeczuwałem, Karol K. kieruje rozmowę na braci Wojteczków, właścicieli firmy Wtórpol. To nimi się mam zainteresować, a nie Senatorem.

– Wojteczkowie w swoim czasie legalizowali łapówki. Wie pan, jak to się odbywa? Powiedzmy, pan bierze łapówkę. Wcześniej podpisuję z panem umowę na pożyczkę. Na sto tysięcy złotych. Odprowadza pan podatek. Niech pan się potem przyzna, że umowa pożyczki była łapówką.

– Jak zrobili fortunę?

– Wojteczkowie?

– Tak.

– Słyszałem o SAD-ach, dokumentach celnych, kiedy firma Wtórpol wysyłała do Afryki Środkowej dziecięce kozaczki i kurteczki zimowe. W pewnym czasie we Wtórpolu pojawił się Marek

Ungier, bardzo mocno siedzący w służbach wojskowych. Oni zaczynali od tranzytów, z tym Leonem… Nie wierzę, że oni samodzielnie działają we Wtórpolu. Mówiło się sporo o Marku Ungierze, że ma swój pokój we Wtórpolu. Oczywiście nie ma żadnych namacalnych dowodów na to. Oni się otaczają byłymi funkcjonariuszami. Jeżdżą dobrymi samochodami. Należałoby zerknąć na sprawę PCK. Ciekawe były kontakty Marka Wojteczka ze świętej pamięci ministrem Religą. Ja mówię chaotycznie, ale nie można tak naprawdę inaczej opowiedzieć, jak jest w Skarżysku. Cała patologia to ostatnie dziesięć lat. Na tym wyższym poziomie patologii. Wcześniej były różne rzeczy, ale to były sprawy polityczne. Bracia ustawiali swoich ludzi, świętej pamięci Cezary C., radny Skarżyska, dyrektor szkoły M., współodpowiedzialny za sprawę targowisk miejskich, później nieżyjący poseł N., sprzedaż Fosko, nieruchomości. Pani Urszula, była posłanka SLD, ona teraz mieszka w Warszawie, pracowała na kolei, myła wagony i nagle z dnia na dzień została posłem, wszystkie jej działania zmierzają, żeby pomóc Braciom. Takim mafioso, szefem grup przestępczych działających wokół Braci, jest Piotr T. Nigdy nie był zatrzymany. Tylko przesłuchiwany. Bandyta z dobrymi kontaktami. Później takie małe ogniwko, też jest w sprawach W. [Kajtka – przyp. aut.], Dariusz Z. Siedział, ale wyszedł.

Przez cały czas, mówiąc, spogląda w notatki i dokumenty. Przyjechał przygotowany na to spotkanie. Miałem go zapytać, dlaczego powiela nieprawdziwe informacje o Wojteczkach, o Ungierze i ich układach ze służbami. Cytował notatki operacyjne, który służyły potem do inwigilacji Wojteczków. Czy uważa, że nabiorę się na anonim? Uwierzę, że to B., a nie Senator zlecił podpalenie gabinetu stomatologicznego N.?

– Czyszczenie Skarżyska powinno zacząć się od czyszczenia na komendzie, wymienić ludzi – rzuca. Powinienem pamiętać, że on, tak jak ja, jest przeciw układowi, nie ma nic z nim wspólnego. – Później prokuratura i sądownictwo.

Dwa miesiące po rozmowie z Karolem K. otrzymuję e-maila. Autor się nie podpisał. Kolejny anonim. Wspomina o firmie należącej

do syna G., biznesmena od spirytusu z J., o którym Karol K. wspominał jako o powiązanym z Braćmi z Rejowa.

„Czy zwrócił Pan uwagę na widoczną w Skarżysku firmę ochroniarską X? Tajemnicą poliszynela jest to, że to azyl dla «szemranych gości», którzy pod legalną przykrywką mogą prowadzić swoją nielegalną działalność i jednocześnie (przy współpracy z policją) eliminować konkurencję. (…) Ciekawostka – centrum monitorowania tej firmy mieści się na poddaszu siedziby… [pada nazwisko wysoko postawionego członka hierarchii Kościoła!!! – przyp. aut.]. A rodzina G. to multiprzedsiębiorcy z okolic J., których początki biznesu sięgają czasów rozlewni alkoholu. A czym handluje w Wiedniu promotor G. i dyrektor diecezjalnego XXX? Włoska mafia to jest pryszcz wobec polskiej pajęczyny”.

Część dziewiąta

Dziennikarz lokalnej gazety

1.

From: XXX
Sent: Tuesday, August 30, 2011 10:05 AM
To: sylwester@latkowski.com
Subject: pytanie

Witam,

jestem dziennikarzem lokalnej gazety – XXX, przyszłam tu w marcu tego roku. Wiem, że w tym czasie był Pan w tym mieście, jak przypuszczam, uzupełniając informację do swojej książki. Chciałabym z Panem porozmawiać. Może wyślę pytania e-mailem, a Pan odpowie na nie, dzięki czemu łatwiej będzie z autoryzacją;–)

Jestem szalenie ciekawa tej książki, bo to miasto, które mnie zadziwiło, i im głębiej wchodzę, tym głębsze widzę bagno. A szokiem i taką kwintesencją tego miasta było dla mnie spotkanie sprawozdawczo-wyborcze do Rady Nadzorczej Spółdzielni, gdzie łamanie prawa okazuje się być akceptowalne i nikogo (chyba z wyjątkiem mnie) nie dziwi. Po raz pierwszy poczułam się bezsilna jako dziennikarz, który przeszedł z roli obserwatora w rolę stróża prawa na chwilę. I… dostałam w twarz… w przenośni, rzecz jasna…

Ale tak widać tu jest i ludzie się na to godzą. Pomyślałam sobie, że żyją w takim mieście, na jakie zasługują. 80 zł za głos do głupiej Rady Nadzorczej Spółdzielni, która nie służy ludziom, a interesom wąskiej grupy! Po moich publikacjach otrzymałam informację, że takimi jak ja nikt się nie przejmuje, bywali „więksi” – jak choćby Pan…

Dalej robią, co chcą…
Ale, nie o tym.
Pytam więc: czy zgodzi się Pan na wywiad e-mailowo, o Pana książce?

Pozdrawiam serdecznie

2.

Spotykamy się kilkanaście dni później. Nie wygląda na zastraszoną. Wie, czego chce, i potrafi uwzględniać realia, w jakich jej przyszło pracować. Odważna jak na Skarżysko, myślę. Opowiada o ostatnich wyborach w spółdzielni. Spotkała tam Jagera, towarzyszył mu osiłek. Przysiadł się do niej i zaczął z nią rozmawiać. Była to dwuznaczna rozmowa. W tle pojawiała się groźba. Kreował się na gangstera, w pewnym momencie nie wytrzymała i przerwała mu, nie wierzyła własnym uszom.

– „Będzie pan gwałcił i zabijał?". On mówi: „Nie, nie… Prawdziwy gangster takich rzeczy nie robi". Odparłam: „To jakie rzeczy robi prawdziwy gangster? Popalenia?". „Nie, nie, od tego to są ludzie". Rzuciłam mu: „Pan tworzy wokół siebie jakiś mit". Zaczął mówić o gangu, szlachcie koneckiej. On tam zna wszystkich ludzi, Pigmeja, Barana. W połowie lat dziewięćdziesiątych uchodzili za najgroźniejszą grupę przestępczą w regionie. Na swoim sumieniu mieli haracze, rozboje, handel kradzionymi samochodami. To były czasy, kiedy Jager też tam rozrabiał. Mówię mu, że nie ma czym się specjalnie chwalić. Pigmej jest dzisiaj nikim, Baran znowu poszedł siedzieć. Wreszcie go zapytałam: „Co pan tu właściwie robi? Przyjechał pan tu z gościem, łysym. Widzę, że przywozicie tu ludzi, bardzo wam zależy na wyniku wyborów". Jak się dowiedziałam, jego lokal Abazja jest w zasobach spółdzielni i w jego interesie było, żeby jego człowiek znalazł się we władzach spółdzielni. Później potwierdził, że zależało mu, żeby pewna osoba przeszła.

Pokazuje mi zdjęcia z wyborów władz spółdzielni. Nie widzę na nich Karola K.

– Miałam się tym zająć, ale nie mam czasu na to, mam na głowie wszystko, od składania numeru po reklamę, nie ma ludzi w redakcji. W Skarżysku jest słabo, jeśli chodzi o prasę, trudno być tutaj dziennikarzem. Śmieszna sprawa. Skarżysko huczy wyborami, tym, co się na nich dzieje, a nikt z dziennikarzy poza mną się na nich w spółdzielni nie pojawił.

– Z tego, co pani mówi, wynika, że białoruskie klimaty tutaj panują.

– Później dowieźli na wybory jakieś osoby. Przyszli pijacy, nawaleni. Zabrali karty do głosowania i dali temu łysemu od Jagera, potem on dał je jakiemuś gościowi z zarządu spółdzielni. Pytam, co się dzieje? Co tu się wyrabia? Jakim prawem pan wypełnia te karty? A on, że wypełnia wszystkim, mamie, babci, dziadkowi. „Chce pani wiedzieć, komu jeszcze wypełniłem? Mogę robić, co chcę". Poczułam się, jakbym dostała w twarz, jestem tutaj z mediów i obserwuję, a oni się nie przejmują.

– I wtedy usłyszała pani, że byli tutaj „więksi" i nic?

– Tak.

– Dzień wcześniej też miała miejsce akcja z kupowaniem głosów, wręczaniem pieniędzy. Zostałam do godziny 2.30 na tym zebraniu. Były takie sytuacje, że pan C. ze spółdzielni prowokował mnie swoimi głupimi tekstami. Moja obecność nic nie dała. Nie przejmowali się lokalnym dziennikarzem. Potem, jak pojechałam do siebie… Następnego dnia dzwoni mój kolega z Końskich, który zna światek przestępczy. Pyta: „Coś ty tam narozrabiała?". Odpowiedziałam: „Byłam na zebraniu spółdzielni". Wyśmiałam go. A on: „Chłopaki dzwonią, że coś ci się może stać". „Co?". „No wiesz, jakieś ostrzeżenie w Skarżysku". „A co to jest ostrzeżenie w Skarżysku?" – pytam. „Podpalenie samochodu?". Fakt, tydzień później zdjęto bramę na mojej posesji. Po publikacji artykułu Jager zamilkł, zaczął mnie unikać.

3.

Za „Echem Dnia":

Tak zwana szlachta konecka na swoim sumieniu miała także zabójstwa. W grudniu 1994 roku koneccy policjanci dowiedzieli się, że w lasach w okolicach miasta zamordowano i zakopano mężczyznę. Ponad pół roku później, podczas poszukiwań z wykorzystaniem kamery termowizyjnej i specjalnie szkolonego psa, znaleziono ciało 31-latka. O zabójstwo śledczy oskarżyli wówczas dwóch mężczyzn. Pierwszy, obecnie 51-latek, został skazany na 25 lat więzienia. Drugi – obywatel Ukrainy, mający obecnie 39 lat – został wtedy skazany na dziewięć lat za kratami. Wyrok został uchylony i sprawa miała trafić do ponownego rozpatrzenia, tak się jednak nie stało, bo 39-latek znikł.

W ostatnim dniu marca 2011 roku funkcjonariusze Straży Granicznej zatrzymali do kontroli w okolicach Krakowa toyotę na ukraińskich numerach. Jechali nią dwaj mężczyźni. Widać było, że to bliźniacy, ale w dokumentach mieli inne nazwiska. Jeden z nich tłumaczył, że przyjął nazwisko żony. Funkcjonariusze dokładnie go sprawdzili. Okazało się, że to 39-latek od kilkunastu lat poszukiwany przez świętokrzyski wymiar sprawiedliwości.

W czerwcu 2011 roku przed sądem okręgowym w Kielcach rozpoczął się jego proces.

Zarząd partii

Rozmawiam z członkiem zarządu Platformy Obywatelskiej.

– Czym tak podpadłeś premierowi?

– Nie rozumiem?

– Nazwał cię nierzetelnym dziennikarzem.

– Chodzi o Senatora? – pytam; w tym czasie układano listy wyborcze do Sejmu i Senatu.

– Tak. Premier myślał, że zarząd wojewódzki go wystawi, a Marzena [Okła-Drewnowicz – przyp. aut.] sprzeciwiła się. Najwyżej niech premier to zrobi, powiedziała.

– I?

– Minister K. ostro walczyła o Senatora. Uważają, że jesteś inspirowany.

– Przez kogo?

– Trudno z ciebie zrobić PiS-owskiego dziennikarza, więc jest wersja, że przez Kostka Miodowicza.

– Nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Wiem o tym, nie lubicie się od sprawy Papały.

– Premier spotkał się z Senatorem?

– Tak.

– Ale nie przy Alejach Ujazdowskich?

– Wpierw tam miało dojść do spotkania, ale jak zapytałeś CIR [Centrum Informacji Rządowej – przyp. aut.] o spotkanie Donalda z Senatorem, odwołano je. Zastanawiali się, skąd o tym wiedziałeś.

– Od niego. Chwalił się na prawo i lewo tym spotkaniem. Ktoś mi przekazał.

– Spotkali się więc poza KPRM.

To także wiedziałem.

– I na czym stanęło? – pytam.

– Obawiają się, że wyrzucisz sprawę Senatora, choćby w internecie, na swoim blogu, więc wymyślili salomonowe rozwiązanie. Nie wystawią go jako kandydata Platformy Obywatelskiej, ale też nie dadzą kogoś innego na listę. Odrzucili proponowanych kandydatów. Senator będzie startował jako niezależny.

– Przecież jest członkiem Platformy Obywatelskiej?

– Dostanie ciche wsparcie. Choćby takie, że Platforma nikogo nie wystawi w jego okręgu wyborczym.

– Pomimo tego, co już się o nim dowiedzieli?

– Każdego innego by wyrzucili z partii, ale Donald ma słabość do minister K. – z rezygnacją stwierdza mój rozmówca.

Kilka tygodni później, gdy Donald Tusk przyjechał swoim Tuskobusem do Skarżyska-Kamiennej, jego sztab pilnował, aby Senator nie pojawił się na żadnym ze spotkań. Przekazano mu, że premier tego sobie nie życzy.

Związki Senatora

Kolejny raz przesłuchałem nagrania rozmów z Senatorem i z innymi osobami, z których wyłaniał się obraz bliskich relacji między wicekomendantem Michałem Domaradzkim a nim. Senator zawsze lobbował za komendantem. Bywa. Ale jak mam przejść do porządku nad tym, że policjant poinformował Senatora, jakie zeznania złożono przeciwko niemu? Zakładam także, że Senator kłamie, pomawia Domaradzkiego, choć nie rozumiem jego intencji. Prawdopodobnie jest tak, że komendanta zgubiło gadulstwo Senatora.

Postanowiłem się zwrócić do niego oficjalnie, aby wyjaśnił, co jest prawdą, a co kłamstwem. Otrzymałem zaskakującą odpowiedź.

From: Rzecznik Prasowy KEP [mailto:rzecznikkwp@swietokrzyska.policja.gov.pl]
Sent: Friday, August 12, 2011 2:59 PM
To: sylwester@latkowski.com
Subject: Odpowiedź

Witam,
W związku z nadesłanym przez Pana mailem z pytaniami przesyłam nasze stanowisko:

1. Jakie relacje łączą mł. insp. Michała Domaradzkiego z Senatorem XXXXX?

Mł. insp. Michała Domaradzkiego nie łączą z Senatorem XXXXX, jak i innymi parlamentarzystami żadne relacje, zarówno osobiste, jak i służbowe. Obaj pochodzą z jednego miasta i obaj pełnią funkcje publiczne.

2. Czy mł. insp. Michał Domaradzki spotykał się i na jakim gruncie z Senatorem XXXXX w latach 2010–2011 (ewentualnie czy rozmawiał z nim telefonicznie w owym czasie)?

Jeśli mł. insp. Michał Domaradzki spotykał się i kontaktował z Senatorem XXXXX, to czy miało to także miejsce w maju, czerwcu, lipcu i sierpniu 2011 r. (kontakt osobisty lub telefoniczny)?

W podanym okresie mł. insp. Michał Domaradzki nie spotykał się z Senatorem XXXXX, zarówno z własnej inicjatywy, jak i z inicjatywy Pana Senatora. Mogły być oczywiście sytuacje, że obaj uczestniczyli w jakichś uroczystościach (np. Święto Niepodległości, Święto Policji czy inna). Mł. insp. Michał Domaradzki nie przypomina sobie, aby w latach 2010–2011 kontaktował się telefonicznie z Senatorem XXXXX.

3. Czy mł. insp. Michał Domaradzki zna byłego funkcjonariusza policji XXXXXXXX? Jakie relacje z nim go łączą obecnie? Czy doszło do spotkań z nim w 2010 i 2011 roku, ze szczególnym wskazaniem okresu maj, czerwiec, lipiec i sierpień 2011 roku (kontakt osobisty lub telefoniczny)?

Mł. insp. Michał Domaradzki z uwagi na to, że w świętokrzyskiej Policji służy już 19 lat, zna XXXXXXXX – jako funkcjonariusza CBŚ w Kielcach, a obecnie byłego funkcjonariusza. W okresie 2010 i 2011 roku spotkał się z nim jeden raz w końcu miesiąca czerwca 2011 r. z inicjatywy XXXXXXXX, który prosił o spotkanie. W trakcie spotkania ww. poinformował mł. insp. Michała Domaradzkiego o tym, że mężczyzna podający się za Sylwestra Latkowskiego interesuje się jego osobą, pyta, gdzie Michał Domaradzki zamieszkuje, więc XXXXXXXX w obawie o jego bezpieczeństwo czuł się w obowiązku go o tym fakcie poinformować. Bezpośrednio po tym spotkaniu o treści rozmowy mł. insp. Michał Domaradzki poinformował swojego przełożonego Świętokrzyskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji insp. Mirosława Schosslera.

Szanowny Panie redaktorze, w przypadku wykorzystania wypowiedzi mł. insp. Michała Domaradzkiego bardzo proszę o autoryzację.

mł. asp. Justyna Błaszczyk Zespół Prasowy KWP w Kielcach

Zrozumiałem, że Karol K. odegrał jeszcze inną rolę, poza tą, w której miał mnie przekonać, że to B., a nie Senator zlecił podpalenie gabinetu stomatologicznego N. Pomógł uzyskać możliwość

„prawnej inwigilacji mojej osoby”. Zwróciłem się z kolejnymi pytaniami.

From: Sylwester Latkowski [mailto:sylwester@latkowski.com]
Sent: Tuesday, August 16, 2011 11:05 AM
To: ‘Rzecznik Prasowy KEP’
Cc: ‘rzecznikkgp@policja.gov.pl’
Subject: dot odp udzielonych przez mł. insp. Michała Domaradzkiego

W związku z otrzymanymi odpowiedziami proszę o uściślenie i wyjaśnienie:

1. Czy mł. insp. Michał Domaradzki przekazywał Senatorowi XXXXX jakiekolwiek informacje dotyczące śledztw, w których przewijało się nazwisko Senatora?

2. Czy mł. insp. Michał Domaradzki nie zasięgał informacji o śledztwach, w których przejawiało się nazwisko Senatora XXXXX, m.in. od byłego funkcjonariusza CBŚ XXXXXXXX (uczestniczył on w śledztwie, gdzie pojawiało się nazwisko Senatora)? Czy między innymi temu naprawdę miały służyć jego ostatnie kontakty z Karolem K.?

W otrzymanej odpowiedzi czytam:

(…) w końcu miesiąca czerwca 2011 r. z inicjatywy XXXXXXXX, który prosił o spotkanie. W trakcie spotkania ww. poinformował mł. insp. Michała Domaradzkiego o tym, że mężczyzna podający się za Sylwestra Latkowskiego interesuje się jego osobą, pyta, gdzie Michał Domaradzki zamieszkuje, więc XXXXXXXX w obawie o jego bezpieczeństwo czuł się w obowiązku go o tym fakcie poinformować. Bezpośrednio po tym spotkaniu o treści rozmowy mł. insp. Michał Domaradzki poinformował swojego przełożonego Świętokrzyskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji insp. Mirosława Schlossera.

Pytam więc dalej:

Czy istnieje sporządzona na piśmie notatka potwierdzająca wyjaśnienia?

Bezpośrednio po tym spotkaniu o treści rozmowy mł. insp. Michał Domaradzki poinformował swojego przełożonego Świętokrzyskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji insp. Mirosława Schosslera…?

Rozumiem, że w związku z powyższym dokonano sprawdzenia mojej osoby, skoro stwarzało to zagrożenie bezpieczeństwa mł. insp. Michała Domaradzkiego. Na czym polegało to sprawdzenie? I na jakiej podstawie wszczęto czynności sprawdzające, by wyjaśnić, kim jest „człowiek podający się za Sylwestra Latkowskiego"? Bo jeśli prawdziwe jest wyjaśnienie mł. insp. Michała Domaradzkiego, to powinno nastąpić.

Jak mł. insp. Michał Domaradzki wyjaśni, że XXXXXXXX spotyka się „z nieznanym mu mężczyzną, który podaje się za Sylwestra Latkowskiego i wypytuje o miejsce zamieszkania mł. insp. Michała Domaradzkiego". Rozumiem, że spotkanie nie mogło odbyć się przypadkowo na ulicy w Skarżysku-Kamiennej? W jakiś sposób „mężczyzna podający się za Sylwestra Latkowskiego" albo XXXXXXXX musiał do niego dotrzeć?

Jak mł. insp. Michał Domaradzki wyjaśni fakt, że z XXXXXXXX skontaktował mnie Senator XXXXX. To od Senatora otrzymałem jego telefon z informacją, że ww. były funkcjonariusz CBŚ chętnie się ze mną spotka.

Wyjaśniam, że w czasie „zarejestrowanego przeze mnie" spotkania były funkcjonariusz CBŚ XXXXXXXX nie kwestionował braku znajomości mojej osoby, wiedział, z kim się spotyka, komu przekazuje informacje i okazuje dokumenty. Więcej, w czasie spotkania nigdy nie padło moje pytanie, gdzie mieszka mł. insp. Michał Domaradzki. Nie osoba mł. insp. Michała Domaradzkiego była przedmiotem spotkania. Otrzymaną ode mnie wizytówkę XXXXXXXX okazywał potem, po spotkaniu, kilku osobom, m.in. ostrzegając ich i zniechęcając do spotkań ze mną.

Zaprzecza to całkowicie twierdzeniu, że XXXXXXXX nie wiedział, z kim się spotyka.

Kto w związku z tym kłamie – XXXXXXXX czy mł. insp. Michał Domaradzki? A może jest to wspólnie ustalona wersja, która umożliwiała

podjęcie wobec mojej osoby działań sprawdzających i usprawiedliwienie ostatnich kontaktów XXXXXXXX z mł. insp. Michałem Domaradzkim?

Czy wykorzystano fałszywe informacje (wersję o nieznanym mężczyźnie podającym się za Sylwestra Latkowskiego) dotyczące mojej osoby, by poznać operacyjnie, choćby w postaci zapoznania się z billingami, z kim spotykam się w ramach pracy dziennikarskiej w województwie świętokrzyskim i do jakich ustaleń doszedłem?

Zapadła cisza. Telefony do rzecznika Komendy Głównej Policji nie pomagały. Większość znajomych dziennikarzy uznała, że nie ma sensu angażować się w jakąś lokalną dziennikarską sprawę. Pominę milczeniem nazwiska tych osób. Piotr Pytlakowski z „Polityki" i Wiktor Świetlik, reprezentujący Centrum Monitoringu Prasy, postanowili mnie wesprzeć i zapytali Komendę Główną Policji:

Uprzejmie prosimy o wyjaśnienie okoliczności dotyczących działań policji w Kielcach związanych z osobą red. Sylwestra Latkowskiego. Wicekomendant Świętokrzyskiej Policji mł. insp. Michał Domaradzki został powiadomiony, że „nieznany mężczyzna podający się za S. Latkowskiego" interesuje się osobą wicekomendanta i dopytuje o jego adres zamieszkania. Michał Domaradzki sporządził na ten temat notatkę dla przełożonych, bo miał prawo podejrzewać, że zagrożone jest jego bezpieczeństwo. W takich przypadkach zgodnie z procedurą policja musi podjąć działania mające na celu ustalić źródło zagrożenia. Red. Latkowski, zbierający na terenie woj. świętokrzyskiego materiały do książki, zauważył, że jest obserwowany. Odczuł to jako próbę inwigilacji jego osoby. Dlatego prosimy o informacje, czy faktycznie podjęto obserwację red. Latkowskiego i czy po ustaleniu, że to on we własnej osobie, a nie ktoś podszywający się pod niego, obserwacji zaprzestano. Interesuje nas też, czy podjęto kroki prawne wobec osoby, która świadomie wprowadziła w błąd mł. insp. Michała Domaradzkiego, fałszywie informując go o nieznanym osobniku podszywającym się pod Sylwestra Latkowskiego, chociaż wiedziała, że nikt się nie podszywa i nie ma żadnego zagrożenia.

Z naszego punktu widzenia sprawa jest bardzo poważna, bo inwigilacja dziennikarza jest naruszeniem zasad wolności mediów.

Wreszcie nadeszła odpowiedź, którą można posumować krótko – nie było inwigilacji, a sformułowania w odpowiedzi rzecznika Komendy Wojewódzkiej Policji w Kielcach były niefortunne.

Kariera policjanta

1.

Wysoki pomógł mi nawiązać kontakt z dwoma funkcjonariuszami kieleckiej policji. Rozmowa ma dotyczyć funkcjonowania komendy policji w Skarżysku, a zwłaszcza Michała Domaradzkiego.

Przechodzę od razu do rzeczy:

– Dlaczego Domaradzki awansuje w górę, skoro za czasów gdy był zastępcą komendanta policji, a potem szefem, w Skarżysku gang Człowieka z Lasu był bezkarny? Miasto płonęło. Po komendzie bandyci chodzili jak po swoim terenie. Jest to aż tak obszerny budynek, by tego nie zauważył?

– W kluczowym momencie przeszedł do Ostrowca.

Milczę, patrząc pytającym wzrokiem.

– Po podpaleniach Wtórpolu, chyba dwa miesiące później.

– Wtedy było już o tym głośno i wszystkim wiadomo, że sprawę przejmą policjanci z komendy wojewódzkiej.

– Tak.

– Grupa „Człowieka z Lasu" największe zarzuty miała postawione w latach 2003–2006 i jak twierdzi Kajtek, w tym okresie była najbardziej chroniona przez policję.

– Domaradzki miał plecy. Każdy inny musiałby się wytłumaczyć z tego, co się działo w komendzie. Czy pan wie, że ojciec Domaradzkiego był zatrudniony we Wtórpolu?

– Miał to załatwić Lech D., „Komendant", z jego polecenia Wojteczkowie to zrobili. W sumie zatrudniono 25 byłych policjantów,

w tym Piotra R. jako magazyniera części zamiennych dla samochodów Wtórpolu.

– Zazwyczaj pochodziły one z kradzionych samochodów. Lech D. tak sobie dorabiał do pensji.

– Wojteczkowie się nie domyślali?

– Za późno. A jak się postawili, to zaczęły wybuchać granaty, podpalano zakład, samochody, domy pracowników.

Pokazuję im zeznanie Kajtka.

Następnego dnia ja powiedziałem Leszkowi K., że ukradliśmy samochód innemu policjantowi z „tej ekipy nadgorliwych policjantów. My postanowiliśmy, że weźmiemy za ten samochód okup 8000 zł". Ja wiem, że ten policjant poskarżył się komendantowi policji w Skarżysku-Kamiennej, a potem oficjalnie „skarżył się" w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Kielcach, że wiadomo, kto ukradł mu ten samochód, a nic się z tym nie robi. Komendant Policji w Skarżysku-Kamiennej, nie pamiętam nazwiska, miał być zły, że sprawa trafiła aż do Kielc i on ma nieprzyjemności z tego powodu. Leon D. przyjechał wtedy do Leszka K. i powiedział, że po tej kradzieży trzeba coś postanowić i rozwiązać problem. Powiedział, że on z komendantem policji w Skarżysku-Kamiennej złoży się i zapłacą okup za ten samochód. Leszek zgodził się na to i wspólnie ze mną zadecydowaliśmy, że oddamy ten samochód za kwotę 4000 zł, Leon D. zgodził się na taką kwotę i wpłacił ją Leszkowi K.

Spoglądają na siebie, uśmiechają się.

– Kiedy zatrzymano Leona D., ten poprosił, żeby skontaktowali go z Michałem Domaradzkim, którego, jak twierdził, „wychował na swoich kolanach".

– A co go łączy z Senatorem?

– Spotykali się w restauracji u Ziółka. Bywał tam ze swoją bliską znajomą prokurator, odpowiadającą za nadzór innych prokuratorów. Senator niejako prowadził go z infułatem. Wspólnie bywali u niego na obiadach.

2.

Kiedy na początku 2012 roku gościłem w Komendzie Głównej Policji, wspomniano, że na korytarzach mówi się o mojej sprawie; każdy jest zaskoczony, że bez sprawdzenia i wyjaśnienia Michał Domaradzki został awansowany z Kielc na zastępcę komendanta stołecznego policji, nadzorującego pion kryminalny.

Rycerze Kolumba

Osoba 1: – W Skarżysku jak się patrzy z daleka, to jest płynność przechodzenia od jednej kliki, koterii, układu do drugiej kliki. Najpierw SLD – mówiło się mafia – to wtedy Henryk D. wspominał, że bez pistoletu do Skarżyska nie jeździ – ich też obstawiali Bracia; potem Senator i przyległości, teraz układ w poprzek wszystkiego – bardzo dziwny i nie wiadomo, o co chodzi. To znaczy pytanie, czy tylko o władzę i synekury dla znajomych królika, czy o coś więcej. Słyszałeś o Rycerzach Kolumba? Wydawało mi się to śmieszne i głupie, więc nawet ci nie wspominałem, ale rozmawiałem z kolegą ze Skarżyska. Powiedział, że to prawda, bo sam miał zaproszenie do tego grona, ale mu się nie podobało towarzystwo i jakaś konspiracyjna forma. Więc odmówił. To taki niby „zakon świecki" – oficjalnie charytatywna konfraternia [bractwo – przyp. aut.] – jak masoneria, tylko inne korzenie.

Trudno znaleźć informację o tym bractwie. O Zakonie Rycerzy Kolumba w artykule Joanny Apelskiej „Politycy w Habicie" pisał tygodnik „Wprost" (2014):

Ta elitarna organizacja powstała 130 lat temu w USA. Założył ją ksiądz irlandzkiego pochodzenia Michael J. McGivney, by pomagać wdowom i sierotom po górnikach, którzy ginęli w kopalniach. Rycerze Kolumba składali się po dolarze, by pomóc rodzinom, które dotknęło

nieszczęście. Obecnie na świecie Zakon Rycerzy Kolumba zrzesza 1,8 mln mężczyzn. W Polsce należą do niego politycy, m.in. poseł PO Andrzej Gut-Mostowy, poseł Jan Dziedziczak (PiS), Ireneusz Raś (PO), Kazimierz Gołojuch (PiS) czy senator Zdzisław Pupa (PiS). Dawniej do Rycerzy Kolumba należał też poseł PO Michał Szczerba. Do wspólnoty może przystąpić każdy mężczyzna, który ukończył 18 lat, jest katolikiem i ma akceptację swojego proboszcza. Wiele emocji wzbudzają powiązania biznesowe braci. W USA Zakon Rycerzy Kolumba funkcjonuje jako firma ubezpieczeniowa.

Dzięki temu rycerze mają środki, z których mogą finansować swoje akcje. Pytanie, w którym miejscu się kończy religijność, a gdzie zaczyna zbijanie na niej kapitału politycznego.

Jak wyglądają spotkania Rycerzy Kolumba w Skarżysku-Kamiennej? Są to zamknięte spotkania i rytuały, o których uczestnicy mówią niewiele lub wcale. „Wprost" opisuje:

Wiadomo, że w zależności od stopnia wtajemniczenia otrzymują kolejne „rangi". W Rycerzach Kolumba, w których zgodnie działają politycy PO i PiS, bracia o najwyższym, czwartym stopniu wtajemniczenia mają prawo nosić specjalny strój, na który składają się m.in. charakterystyczny kapelusz z kolorowymi piórami, peleryna i miecz u boku. Bracia o niższych rangach noszą jedynie szarfy zakonu. Na pierwszy rzut oka widać, że obrzędy świeckich zakonników kojarzą się z mistycyzmem i ze średniowiecznymi zakonami rycerskimi.

Część dziesiąta

Podpalenia Wtórpolu

1.

Nie chce ujawniać twarzy, podawać nazwiska. Minęło kilka lat od tamtej nocy. Ale strach pozostał.

– Powinieneś zrozumieć, nie wszyscy siedzą, a ci, którzy tam są, kiedyś wrócą – mówi.

Pracował w bazie transportowej Wtórpolu. Dzisiaj jest ona opustoszała. Na placu pozostało kilkadziesiąt naczep i kontenerów.

– Byłem w pracy, miałem przerwę. Godzina druga pięćdziesiąt pięć. Kierownik nadzorował, kto jest na zmianie, co i jak. Stało wtedy dziewięć samochodów. Nagle zobaczyłem, jak palą się dwa tiry, po jednej stronie kabiny, i kontener. Poszedłem do kolegi, że tiry się palą, dzwoń po straż. Wkrótce ogień przeniósł się na inne samochody. Straż przyjechała i zaczęła gasić. Ale nie miała jak. Każdy samochód był zatankowany do pełna, dwa zbiorniki po 120 litrów. Część z nich była załadowana towarem. To było piekło, jednym słowem. Spłonęło wszystko.

2.

Szydłowiec. Umawiam się przed domem z kierownikiem z Wtórpolu. Wychodzi do mnie z gazetą. Pokazuje zdjęcia podpalonego domu. Najchętniej o tym, co się wydarzyło, by nie rozmawiał. Zapomniał.

– Dziesiątego marca 2006 roku w tym to domu, w garażu, podpalono mi samochody – mówi. – Gdyby nie moja żona, doszłoby do tragedii, na szczęście się obudziła w porę, bo być może wszyscy byśmy się zaczadzili. A tu mieszka sześć osób.

– Domyśla się pan, dlaczego to zrobili?

– Nie mam bladego pojęcia. Ja w życiu wrogów nie miałem. Nikomu nic nie byłem winny.

– Pan jest pracownikiem Wtórpolu?

– Tak, być może dlatego, że pracuję tam na stanowisku kierowniczym. Panie, potem długo spokojnie nie żyłem. Praktycznie przy każdym wyjściu na podwórko, po drewno czy po cokolwiek, oglądałem się za siebie.

3.

Pracownica Wtórpolu: – Pamiętam, jak pilnowaliśmy zakładu przed podpaleniami. Dwie kobiety chodziły od strony torów, panowie po dachach. To był szok dla nas wszystkich. Szło się do zakładu z duszą na ramieniu. To był stres. Panie, praktycznie to jedyny tutaj zakład dający ludziom pracę, płacący na czas, reszta to supermarkety. Jakby go spalili albo Wojteczkowie go zamknęli, strach pomyśleć, ilu ludzi by na zasiłek poszło i zaczęło biedować.

4.

Kajtek: – Podpalenia Wtórpolu były następstwem kłótni, jaka miała miejsce pomiędzy Wojteczkami a Leszkiem D. z jednej strony a Człowiekiem z Lasu z drugiej. Było to w okresie tak zwanej ochrony świadczonej przez Człowieka z Lasu. Wojteczek twierdził, że za dużo płaci, i zaczął się przeciwstawiać Człowiekowi z Lasu. Rodzina Wojteczka i kierownictwo Wtórpolu zaczęli wpływać na niego, że niepotrzebnie wchodzi w układ z przestępcami. Leszek Wojteczek przestał pić i zaczął myśleć. Leszek K. nie chciał, żeby Wojteczek wycofał się z „ochrony”.

Leszek Wojteczek nie uległ. Leszek K. postanowił jednak nie odpuszczać.

Kajtek: – Po podpaleniu tirów policja bardzo wzmogła ochronę na terenie zakładów Leszka Wojteczka, a także chroniono jego rodzinę (…) Ta sytuacja uniemożliwiała działanie na zakładzie Wojteczka lub w miejscu jego zamieszkania i dlatego Leszek K. postanowił, żeby trochę odczekać, aż sytuacja się uspokoi, i dopiero potem uderzyć. Leszek Wojteczek nadal nie cofał swojej wcześniejszej decyzji o rezygnacji z tak zwanej ochrony i liczył na skuteczną pomoc policji. (…) Wymyśliliśmy więc wspólnie, że można mu podłożyć bombę pod samochód (…) Głównym naszym celem było zmuszenie Wojteczka do powrotu do starych układów i płacenia haraczu za niepopełnienie przestępstw na jego szkodę, co my nazywaliśmy ochroną.

Ścigali mnie, a nie tych, co podpalali

Leszek Wojteczek, właściciel firmy Wtórpol, przyjmuje mnie w domu. Nie był chętny do rozmowy. Po jego głosie i oczach wyczuwam, że wszystko jeszcze się w nim tli, wspomnienia nie wygasły i ciągle wracają. Przygotował się do rozmowy. Przed sobą ma odręcznie zapisane kartki.

– Chciałem sobie wszystko uporządkować, by czegoś nie pomylić – wyjaśnia. – Firmę budowałem dwadzieścia lat, razem z żoną utworzyliśmy jeden z największych zakładów w Skarżysku-Kamiennej. Zatrudniamy – tu się waha – około tysiąca–tysiąca dwustu osób. Kilka lat temu w mieście działała grupa przestępcza, dowodził nią Śruta, nazywają go też Boruta, Człowiek z Lasu. Ta grupa dopadła również moją firmę, moją rodzinę.

Zacina się. Milknie. Spogląda na kartkę.

– Kiedy się to zaczęło? – pytam.

– W 2002 roku nastąpiła seria podpaleń.

I znowu urywa. Po chwili mówi, a raczej wyrzuca z siebie, by mieć to już za sobą:

– Zaczęło się od podpalenia samochodu kierownika mojego zakładu, Dariusza C. Następnie na terenie mojej firmy podpalono dwa samochody. Później podpalono mieszkanie i samochód pracownika zakładu. Wkrótce znowu zaatakowano Dariusza C., wrzucono granat na jego posesję. Podpalono mi bazę transportową, spłonęło dziewięć tirów. Kolejne wydarzenie? To podpalenie wiaty. Potem nastąpiła przerwa, trwała pół roku. I znowu atak, podpalili moje mieszkanie. Na początku 2007 roku, kiedy byłem na basenie, usłyszałem nagle wybuch, wyszedłem i zobaczyłem, że to mój samochód eksplodował.

– Jak pan to wytrzymywał?

– To był trudny okres, szczególnie dla mojej rodziny, żony, już mieliśmy zamiar zamknąć firmę. Tym bardziej że w tym czasie nie mieliśmy pomocy znikąd. Niestety, była taka sytuacja, że ci bandyci – taka panowała ogólna, powszechna opinia – byli powiązani z niektórymi policjantami. I to na mnie rzucano podejrzenia, że to ja podpalałem samochody, że to wszystko na skutek konfliktu z konkurencją. Pojawiły się głosy, że jestem powiązany z tymi przestępcami.

– O pana problemach usłyszano w Polsce dopiero, jak pan postanowił zamknąć zakład.

– Miałem dość. Nie miałem innego wyjścia, jak zatrzymać zakład. Przyjechały do Skarżyska media, zostałem zaproszony do TVN-u.

– Pomogło?

– Za nagłośnienie sprawy spotkała nas kara. Media odjechały, a na drugi dzień przyszła do firmy kontrola skarbowa. Ruszyła lawina kontroli różnych instytucji. Pamiętam, że w latach 2007–2008 chyba tylko siedem dni było bez kontroli. Przychodziły anonimy. To one rzucały na nas pomówienia. Wypisywano tam różne bzdury. Że niby mam powiązania z Markiem Nigerem, przewożę broń do Iraku, robię wielomilionowe nadużycia z tytułu niepłacenia podatku i ZUS-u, handluję narkotykami. Po tych anonimach policja podjęła wobec mnie działania operacyjne. Założono podsłuchy.

– Skąd pan o tym wie?

– Poinformowała mnie o tym pani prokurator, pokazała mi te podsłuchy. Wystąpiliśmy o to z mecenasem Ireneuszem Wilkiem. Ścigali mnie, a nie tych, co podpalali.

– Ale to nie wszystko?

– Rozpoczęła się przeciwko mnie wieloletnia sprawa pracownicza. Przesłuchano około 1600 pracowników mojej firmy. Wzywano ich do Kielc, jakby nie można było na miejscu, a często były to osoby niepełnosprawne. Ktoś musiał za tym stać. Wreszcie kontrole zakończyły się. Nic nie wykryły. Zostały tylko sprawy o nadgodziny. Już wtedy oboje z żoną nie wytrzymywaliśmy psychicznie, złożyliśmy nawet skargę na prokuraturę, trzy skargi wysłaliśmy. I co się wtedy okazało? Że nagle tę sprawę ucięli i wszczęli inną. W 2009 roku prokuratura zaczęła lawinowo przesłuchiwać świadków, chodziło o niepłacenie ZUS-u. Uchybienia są znikome, ja zawsze uczciwie płacę ZUS i podatki. W tym okresie ZUS-u zapłaciłem bodajże na kwotę czterdzieści milionów, a ewentualne – podkreślam – zaniechanie wynosi około stu tysięcy złotych. Według mnie to też jest wynikiem tego, że ktoś mocno naciska na tę sprawę. Zauważyłem, że jest jakaś analogia ze sprawą Olewników, zwróciłem się wtedy do mecenasa Ireneusza Wilka [pełnomocnika rodziny Olewników – przyp. aut.]. Wcześniej niby złapali tych bandytów, ale powypuszczali ich. Wynajęliśmy prywatnych detektywów. Złożyliśmy z mecenasem Wilkiem wniosek do prokuratury o wznowienie postępowania i wtedy nastąpił przełom w sprawie. Policja i prokuratura stanęły na wysokości zadania i połapały tych bandytów.

– Ale pan nadal czuje się zagrożony.

– Bo nie wiem, co będzie dalej. Sprawa toczy się w sądzie. I ta sprawa pracownicza, która się dopiero rozpoczęła. Pani prokurator powołała około tysiąca świadków, czyli czeka mnie kolejne kilka lat procesu sądowego. Żona też już jest wykończona.

Milknie. Po chwili się odzywa:

– Te miejscowe układy robią w mieście dużą szkodę… Powiązania między policją a bandytami. Bandyci potrafili nawet wykraść z komendy policji butelkę z odciskami, która była dowodem w jakiejś sprawie, albo wywieźć kogoś samochodem w bagażniku. Jeden z tych podejrzanych wchodził na komendę, wychodził, pił alkohol,

spał tam. Czuł się jak u siebie. Komendant składał się na wykupki, na wykupienie samochodu skradzionego policjantowi. Podpalano sklepy, gabinety lekarskie. Nie było weekendu, by coś nie spłonęło, żeby kilka samochodów nie zaginęło w mieście. Niestety byli w te sprawy zamieszani niektórzy policjanci. Dotyczy to nie tylko Skarżyska, ale też okolic: Borkowa, Radomia, Końskich, uważam, że to jest dziwne…

– To niech pan to w cholerę zostawi, wyjedzie stąd. Stać pana.

– Wie pan, czujemy się z żoną odpowiedzialni za te osoby, które zatrudniam, to jest jednak tysiąc osób i nie ukrywam, że zależy mi na tym. Wystarczy już może, jeśli można prosić.

W jego oczach pojawiają się łzy.

– Dużo pana zdrowia to kosztowało?

– No, trochę.

Część jedenasta

Uciekłem ze Skarżyska, bo bałem się o swoje życie

1.

Na to spotkanie czekałem wiele miesięcy. Rozmówca obawiał się jego konsekwencji. Pośrednikiem między nami jest jeden z najważniejszych oficerów Komendy Głównej Policji. W czasie rozmowy towarzyszy mi dziennikarz śledczy tygodnika „Wprost" Michał Majewski. Spotkanie odbywa się w sposób uniemożliwiający wykazanie, że kiedykolwiek w ogóle do niego doszło. Mój rozmówca to policjant z długoletnim stażem. Ma już dość tego, co dzieje się w policji. – Rządzą ci, których powinno się ścigać – mówi. To kolejna osoba, która opowiada o bezprawiu w komendzie policji w Skarżysku.

Swoją opowieść zaczyna od wydarzeń sprzed lat. Jego znajomy pracował wówczas w powiatowej komendzie policji. Jego miejsce pracy świadomie utajniam.

– Po dwóch tygodniach pracy w komendzie powiatowej w Skarżysku w czasie rozmowy rzucił: „Przyszedł komendant, który nas sprzedał. Sprzedał nas w karty". Ja na to: „Chłopie, chyba cię pogięło. Jak można komendę sprzedać w karty?". On: „No tak to. Zobaczysz w niedługim czasie, jakie stanowiska będą obsadzone i przez jakich ludzi". Na początku nie traktowałem tej sprawy serio, bo nie do końca wiedziałem, czy facet jest poważny, czy nie. Ale w bardzo krótkim czasie po tej rozmowie faktycznie nastąpiły zmiany w kierownictwie komendy. Naczelnikiem ruchu drogowego został policjant, który z ruchem drogowym nie miał nic wspólnego. To

był człowiek Braci z Rejewa. Bracia mieli duże wpływy w komendzie powiatowej w Skarżysku.

2.

– Zatrzymano na komendzie złodzieja. Wkrótce pojawił się sam naczelnik wydziału kryminalnego W. i mówi: „Podaj temu człowiekowi, który został zatrzymany, paczkę”. Na to Andrzej [imię policjanta zmieniono – red.] pyta: „Jaką paczkę?”. „No taką tam… coś tam do jedzenia, jakieś kanapki, papierosy”. Andrzej zgodził się przekazać zatrzymanemu tylko papierosy. Coś go jednak tknęło i dokładniej przyjrzał się paczkom. Na jednej z nich była oderwana banderola. W środku drucik. Wyciągnął go, a tam greps. Nie wytrzymał i powiedział do naczelnika: „Co ty robisz, człowieku?! Nie dość, że k… siedzisz z tymi ch… umoczony po szyję, to jeszcze chcesz mnie wpier…?! Weź sobie daruj. Zabieraj te papierosy i spier…”. Nie minęły dwa miesiące, a podpalili mu mieszkanie. Wszystko działo się tuż przed północą. Całe szczęście nie skończyło się tragedią. Miał psa, który zareagował i wcześniej niż właściciel wyczuł rozlaną benzynę. Dzieci spały w pokoju, żona przygotowywała kąpiel, pies się zerwał i wbiegł do przedpokoju, a tam ogień. Andrzej akurat miał pełną wannę wody i wiadrami udało mu się ugasić płomienie. Od razu zadzwonił do komendanta. Powiedział mu: „Panie komendancie, ktoś u mnie rozlał benzynę i podpalił”. A ten na to: „Niech cię, k…, ręka boska broni powiadamiać dyżurnego, wojewódzkiego, kogokolwiek. Wlicz to w ryzyko zawodowe”. Zrozumiał, że jest sam. Postanowił wyjechać ze Skarżyska. Był trzecim policjantem, który uciekł z tamtejszej komendy powiatowej. My wszyscy wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Nic nie można było zrobić, do nikogo nie można było pójść i się poskarżyć. Góra przyzwalała na to wszystko, co się działo w Skarżysku.

3.

– Leszek D. w sprawie Człowieka z Lasu to istotny klient, natomiast w sprawie grup przestępczych, które się wokół komendy powiatowej w Skarżysku kręciły, żeby nie okłamać i nie przedobrzyć, chodził w drugim rzędzie. Były także inne osoby, które mogły w tej komendzie zrobić wszystko. Mówię o grupach przestępczych, o przestępcach, którzy jeżeli chcieli wyciągnąć informację o toczonych przeciw nim śledztwach, to wyciągali, i to nie był problem. Naczelnicy siedzieli im w kieszeniach. Od przestępstw gospodarczych po drogówkę.

– Czyli ile prawdy jest w tym, co mówił o Leszku D. Kajtek, Jager i inni?

– Fakt, w sferze samochodów bez Leszka nic się nie mogło w Skarżysku wydarzyć. Jeżeli ktoś brał samochód nie z jego wolty, to w dobę go oddawał. Co ja mówię w dobę, w kilka godzin.

– A jego wpływy w komendzie?

– Swobodnie chodził po komendzie i wyciągał potrzebną mu wiedzę. Leszek D. to nie tylko samochody, ale też papierosy i spirytus. On to kontrolował, a ludzie ze Skarżyska, policjanci, nie mogli tego nakryć. Nie znajdziecie w historii powiatowej policji w Skarżysku czegoś spektakularnego, co by wyszło. Owszem, czasami Leszek sprzedał jakiegoś drobnego dilera. Chłopaki chwytali, cieszyli się, że jest wynik, a on robił swoje. Leszek D. bywał na odprawach. Wyobrażacie sobie? Odprawy komendanta powiatowego w Skarżysku, Michała, i zastępcy Michała odbywały się bardzo często w obecności Leszka D. Nie mówię, że zawsze, ale bardzo często. Wyobrażacie sobie taką rzecz, że jesteśmy w instytucji, gdzie wchodzą ludzie w mundurach, a cywil słucha, co planujemy?! To się w głowie nie mieści! I tak się działo. Ludzie widzieli, co się dzieje, i po kolei uciekali. Standardem było malowanie samochodów, cięcie opon. Jak się szło do komendanta, opowiadało o tym wszystkim, ten odpowiadał krótko: „Spier… Co ty, nie widzisz? Przecież to normalne, każdemu to się dzieje”.

4.

– Naczelnik Marek wydawał się sympatyczny, robił dobre wrażenie. To serdeczny kolega Senatora. Przyznam, że w Skarżysku każdy policjant znał Senatora, bo był dyrektorem, wcześniej szefem porodówki. Nie było w Skarżysku policjanta, którego dzieciak przy porodzie nie przechodziłby przez jego ręce. Dlaczego o tym mówię? Żeby pokazać, jak daleko sięgał układ koleżeński grup przestępczych. Senator to dobry znajomy Leszka D. A naczelnik Marek i Leszek D. to byli kumple od wszystkiego. Czy wiecie, gdzie pracował Marek, zanim został policjantem? Zbierał dla Braci z Rejewa bilety, tak zwane placowe na bazarze Manhattan. Nagle przyjęli go do policji. Facet tak szybko awansował, że kosmos. Każdy zastanawiał się, co jest tutaj grane. Miał potężne układy. Dla niego nie było problemem żeby cokolwiek załatwić. Robił pewne rzeczy i pilnował ustaleń dla niektórych grup przestępczych.

5.

– Kobieta ważnego policjanta odebrała sobie życie. Rozmawiałem z chłopakami, którzy byli na miejscu, robili oględziny i tak dalej. Mówią: „Nikt nie strzela sobie dwa razy w głowę. Ktoś może strzelić raz, ale dwa razy?”. Policjant miał trzymać broń pod poduszką. Nikt nie wszczął postępowania, by wyjaśnić, co się naprawdę stało. Sprawdzić, dlaczego broń nie była zabezpieczona. W sprawie tego policjanta miał interweniować infułat.

Infułat z małej miejscowości w świętokrzyskim to ksiądz, który przez wszystkich, od polityków, przez biznesmenów, po zwykłych ludzi, uważany jest za bardzo wpływową osobę. Po raz kolejny słyszę o nim i jego możliwościach.

6.

– Teraz wrócę do momentu, kiedy naczelnikiem został Karol. Od razu idą informacje do góry, do samej Komendy Głównej Policji, że

to jest oszust, łajdak, kobieciarz, itd. Doniesiono, że podbiera pieniądze z policyjnej kasy. Dziewczyna, która mu te pieniądze z kasy dała, trzęsła się, bo sobie zażyczył forsę na dwa czy trzy dni. A czas mijał i nie oddawał. Wpada kontrola z Warszawy. Wchodzą do niej, ale się spóźnili. Kilkanaście minut wcześniej Karol był u niej i rzucił jej 10 tysięcy złotych, które pożyczył z kasy. Skąd on te pieniądze wziął w tak krótkim czasie? Nie wiadomo.

7.

– Są trzy osoby, które mają wpływ w policji świętokrzyskiej. Ukształtowały ją. Mirosław Schossler, Rafał Derlatka i Michał Domaradzki. Pierwszy był komendantem wojewódzkim. Obecnie jest zastępcą komendanta głównego policji do spraw kryminalnych.

– Skąd Domaradzki u boku Schosslera? Cały czas Schossler ma go przy sobie. Sprowadził go do Warszawy, jak został szefem komendy stołecznej. Zrobił go swym zastępcą. Teraz przypilnował, by nie popadł w niebyt. Domaradzki został komendantem wojewódzkim w Lublinie.

– Domaradzki ma wpływy poprzez teścia, Senatora i kościół. Właśnie poprzez wspomnianego infułata. Co jakiś czas się spotykali u księdza infułata: Schossler, Derlatka i Domaradzki. Co tam omawiali, to wiedzą tylko ci, którzy zasiadali wśród tego towarzystwa. Teraz spotykają się tam rzadziej. Ludzie ich nie lubią. Najbardziej Domaradzkiego. Ten postanowił uciąć złe języki. Najbardziej dokuczało mu Skarżysko, bo stamtąd szła informacja do góry o jego prawdziwych początkach kariery. Więc postanowił pozbyć się świadków z tamtych czasów. Wyciął wszystkich. Odpadali jak muchy od ściany. Odchodzili nie wiedzieć czemu. Przepraszam, nie wszystkich, zostało dwoje.

– Nie przesadza pan?

– Michał po kolei wyciął ze Skarżyska wszystkich, którzy mogli mu zaszkodzić. Wielu ludzi się bardzo boi. Przyznam się wam szczerze, z ręką na sercu, jeżdżę tam czasami, ale też się boję i zawsze oglądam się za siebie. To są ludzie bezwzględni, sami wiecie. Na

koncie grupy Człowieka z Lasu jest kilka trupów. Nie znaleziono wszystkich ciał. Opowiem wam o jednym nieboszczyku. Bandyci z tej grupy dowiedzieli się, że problemem dla nich może stać się zabity mężczyzna, zakopany w lesie. Jeden z zatrzymanych zaczął pękać, było ryzyko, że się wysypie, w którym miejscu ukryte jest ciało. Postanowili pojechać na cmentarz. Zobaczyli pogrzeb jakiegoś mężczyzny. Wyciągnęli go w nocy, świeżego, przepraszam, że tak mówię. Wcześniej tamtego z lasu zabrali, podmienili ciała i teraz w grobie na cmentarzu leży nie ten człowiek, który powinien. A tego z lasu wywieźli w całkiem inne miejsce. Już nie w tamten dół, bo szło im o to, żeby zatrzeć ślady.

– O kogo chodziło?

– Nie wiem. Nie mogłem zapytać, bo to by mnie życie kosztowało. Żołnierze Leszka D., Człowieka z Lasu i innych… Oni są nadal w obiegu. Miał pan rozmowę z Jagerem. Wie pan, co mu zrobili? Mówił panu? Taki wpier… dostał, że ledwo się pozbierał. On panu wspomniał, że „Komendant”, czyli Leszek D., lubił rządzić, pokazywać swoje możliwości. Powiedział prawdę, ale zmusili go potem, żeby wycofał się z tego i odszczekał wszystko w lokalnych mediach.

– A pan się nie boi?

– Niech spróbują mnie jeszcze raz ruszyć, mam wszystko opisane. Zostawiłem to żonie i schowałem w jeszcze innym miejscu.

O autorze

Sylwester Latkowski (ur. w 1966 r.) – reżyser, scenarzysta, dziennikarz, producent filmów i wydawnictw fonograficznych; autor filmów: *To my, rugbiści* (2000), *Blokersi* (2001; wyróżniony tytułem „As EMPiK-u"), *Pub 700* (2002; uznany za Najlepszy Dokument na festiwalu filmowym w Kazimierzu), *Gwiazdor* (2002), *Nakręceni, czyli szołbiznes po polsku* (2003), *Klatka* (2003), *Kamilianie* (2003; w 2004 otrzymał nagrodę na Ogólnopolskim Przeglądzie Katolickich Programów Telewizyjnych i Radiowych), *Śledczak* (2004), *Pedofile* (2005). *Zabić Papałę* (2008), *Ścigany* (współautor Piotr Pytlakowski, 2010), *Wszystkie ręce umyte. Sprawa Barbary Blidy* (współautor Piotr Pytlakowski, 2010), *Ostatnia Wieczerza* (2011). *Człowiek z Lasu. Polska lokalna* (2012). Prowadził i reżyserował programy telewizyjne: *Nakręcona noc* i *Konfrontacja*. Autor cyklu telewizyjnego *Granice kariery* (2012), *Tajemnice Polskiej Mafii* (2013). W 2001 roku otrzymał wyróżnienie Fundacji Kultury za książkę *Pamiętam jak…* Jest także autorem książek *Zabić Papałę* (2008) i *Polska mafia* (2011) oraz napisanych wspólnie z Piotrem Pytlakowskim: *Olewnik. Śmierć za 300 tysięcy* (2009), *Przykrywkowcy* (2010), *Wszystkie ręce umyte. Sprawa Barbary Blidy* (2010), *Biuro Tajnych Spraw. Kulisy Centralnego Biura Śledczego* (2012). W 2012 roku ukazała się jego powieść kryminalna *Czarny styczeń*. Obecnie pełni funkcję redaktora naczelnego tygodnika „Wprost".